

Canthir
Dziab_Dziab
Gizbarus
KOSHI
Marcel
Ric
saku
Voldi

kompilacja z 26 czerwca 2014

Spis treści

Voldi – informacje o autorze	3	Gizbarus – informacje o autorze	65
O jeden blok za daleko	4	Samotność w zonie	66
KOSHI – informacje o autorze	16	Marcel – informacje o autorze	93
Kodeks Hammurabiego	17	Powrót	94
Grób Agamemnona	49	Tormentor – informacje o autorze	105
Ric – informacje o autorze	54	Piętno	106
15 000 rubli	55	Dziab_Dziab – informacje o autorze	155

Spis treści

3

Biała zona	156
saku – informacje o autorze	180
W cieniu	181
Canthir – informacje o autorze	186

Śpiąc w popiołach	187
Valentino – informacje o autorze	204
Degradacja	205



Voldi

Ulubiona broń: TRs 301

O jeden blok za daleko

Witam! Mam przyjemność przedstawić wam kolejne moje „dziecko”, które powstało w wyniku zbiegu okoliczności. . . A właściwie, dzięki nudzie w trakcie powrotu ze szkoły i pewnej przypadkowej osobie. Tak przynajmniej powstał tytuł. Fabułę i bohaterów wymyśliłem po kilku kolejnych minutach. Uważam to za shorta, choć podejrzewam, że będzie miał ok. 5, 6 stron A4. Rozgrywa się w przeciągu dwóch dni.

CZĘŚĆ I

- Bazyl, udało się! To tu, dotarliśmy! – Wykrzyknął Andriej, wyczołgując się z tunelu ukrytego w starej toalecie publicznej.
- Już? Chryste, jak dobrze. Jestem taki zmęczony. – Odparł towarzysz, padając na popękaną posadzkę.
- Podnieś się. Zaczyna się robić ciemno, trzeba znaleźć jakieś bezpieczne schronienie.

Andriej zgasił swoją latarkę, po czym pchnął lekko zbutwiałe, drewniane drzwi. Te jednak nie ustąpiły. Zawiasy zapiekły się przez prawie trzydzieści lat tak bardzo, że trzeba było użyć naprawdę dużej siły, by je poruszyć. Spróbował ponownie. Silniej. Metal skrzypnął, drzwi uchyliły się, a pomieszczenie zalało ciepłe, czerwone światło. Słońce chyliło się już ku zachodowi.

- Pamiętaj, zachowujemy się tak cicho, jak tylko można. Nie mam ochoty oddawać krwi jakiejś pierdolonej pijawce ani zostać nadzianym na pal przez Monolit! – szepnął Andriej.

- A myślisz, że ja mam?! Po tym, co dziś przeszedłem chcę tylko w spokoju zasnąć.
- To rozumiem. Idziemy!
- Czekaj! – Bazyl szarpnął kompana za ramię. – Przecież mamy mapę, może sprawdzimy chociaż, gdzie jesteśmy?
- Niegłupie. Dawaj tą mapę, Koczownik. – odpowiedział Andriej, cały czas szepcząc.

Bazyl sięgnął do kieszeni w spodniach i wyciągnął złożony w kostkę kawałek papieru. Drugi mężczyzna wyrwał mu ją z ręki po czym pospiesznie rozwinął. Przykucnął i włączył swoją czołówkę. Mocny strumień światła padł na papier, przy okazji oświetlając toaletę. Andriej spojrzał na nagłówek: „*Karta Prip'jat, 1985 rik. Wykorystowujcie tilki armija UNR*”, co oznaczało: „Mapa Prypeci, rok 1985. Wyłącznie do użytku Armii Czynnej Ukraińskiej Republiki Ludowej”. Schematyczna mapa pokazywała wszystkie budynki: bloki mieszkalne, szpitale, szkoły, naniesiono na nią lokalizację urzędu miasta, basenu, a nawet sklepu ogrodniczego. Zawarto w niej również informacje tajne

dla ludności cywilnej takie jak schrony, podziemne magazyny, tunele, w tym ten prowadzący do fabryki Jupiter, czy drogi ewakuacyjne. Teraz jednak te dane nie były potrzebne. Andriej znalazł punkt, w którym się znajdowali. Określony został „Wyjściem awaryjnym z tunelu Prypeć-1”.

- Sto, może sto trzydzieści metrów za nami mamy szkołę średnią. Tam przenocujemy. Chowaj mapę. Przyda się jeszcze.
- Dobra, gotowy do drogi? Idź pierwszy, Włóczęgo.

Andriej zgasił latarkę. Wyprostował się i podszedł do drzwi. Wychylił z nich samą głowę, tylko nasłuchując. W oczy rzuciła mu się znajoma sylwetka diabelskiego młyna, teraz okraszona rudymi promieniami słońca. Pływała ona spokojnie w błyszczących na zielonkawy kolor liściach, tak jakby nigdy się tu nic nie wydarzyło, jakby nie było to miejsce jednego z największych dramatów XX wieku. Cisza panująca w Prypeci aż dzwoniła w uszach.

Andriej otrząsnął się z tej zadumy i skinął ręką, dając znak

Bazyłowi, by ten ruszył za nim. Wyszli z toalety. Obeszli ją wzdłuż ściany po czym, powoli przedzierając się przez krzaki, skierowali się do betonowego gmachu przed nimi. Cały park był zarośnięty różnymi krzewami, trawami, a gdzieś tam ponad zielony mur przebijały się jakby wieże, wzniesione z młodych brzoź i dębów.

Mężczyźni byli obcy z przedzieraniem się przez chaszcze. Nie bez powodu jednego nazwano Włóczęgą, a drugiego Koczownikiem. Andriej znany był z tego, że potrafił przedostać się do niemal każdego miejsca, nie poruszał się chyba tylko wtedy, kiedy spał. Bazył podobnie. Jak wskazuje jego przydomek – nigdzie nie zostawał w tym samym miejscu dłużej niż dwa, góra trzy, dni.

Przedarcie się przez małą dżunglę nie trwało długo. W ciągu trzech minut znaleźli się przy ścianie budynku, do którego zmierzali. Pozostało im jedynie odnalezienie wejścia do gmachu i wyszukanie jakiegoś cichego miejsca, w którym mogli przenocować.

Okrążyli budynek, do środka dostali się drzwiami prowadzącymi na salę gimnastyczną. Były zablokowane, toteż Bazyl posłużył się solidnym kopnięciem, by ustąpiły. Narobił przy tym nieco hałasu, więc mężczyźni wbiegli do hali, po czym postarali się zatrzeć za sobą ślady. Zwrócili uwagę na korytarz łączący salę z resztą szkoły. Ostrożnie, unikając sprzętu sportowego rozrzuconego bezładnie pod nogami, ruszyli w jego stronę.

– Tam powinna być jakaś szatnia, albo chociaż kanciapa dla nauczycieli. – rzucił Bazyl.

Weszli po spróchniałych stopniach na jakiś tandetny parkiet. W korytarzu panował półmrok, na prawym jego końcu widać było promienie słońca, przebijające się przez zakurzone okna i stare framugi. Tam był główny hol szkoły. Z lewej strony mieściły się szatnie. Stalkerzy ruszyli w ich stronę, nie zapalając jednak latarek w obawie przed zwróceniem na siebie uwagi.

Jedne z drzwi były uchylone. Weszli do pomieszczenia. Na obu ścianach zamocowane były rzędy wieszaków. Na niektórych z nich do dzisiaj wisały przegnite koszulki, spodenki czy

lniane torby na strój gimnastyczny. Na jednym z wieszaków Andriej zauważył nawet skórzaną torebkę, pewnie jednej z uczennic. Wokół walało się też kilka masek gazowych. Zapewne ogłoszenie o ewakuacji dotarło do pracowników szkoły w trakcie lekcji. Ciekawe, co teraz dzieje się z tymi ludźmi. Żyją? Jeśli, tak, to gdzie i w jakich warunkach? Andriej nie mógł znać odpowiedzi na to pytanie. Pewnie nikt, poza samymi przesiedlonymi, nie zna na nie odpowiedzi.

Położyli się pod ścianą, przy drzwiach, by słyszeć każdy ewentualny szmer. Nie od dziś wiadomo, jak bardzo trzeba uważać, nocując w nieznanych miejscach. Tym bardziej, jeśli takie miejsca wybiera się w zamkniętej strefie, tak blisko elektrowni.

– No, całkiem przytulnie. Hotel Mir to to nie jest, ale spać się da. – Zagaił Bazyl.

– Masz rację, spać się da. – Odparł półprzytomnie Andriej.

– Mogę cię o coś spytać?

– Pewnie, pytaj śmiało.

– Dlaczego właściwie tu jesteśmy? – Spytał Koczownik, było

jednak słysząc, że niełatwo przeszło mu to przez gardło.

- No tak. Najwyższy czas, byś się wreszcie dowiedział... – Zaczął Andriej. – Ja... Ja tu kiedyś mieszkałem, przed katastrofą.
- Co?! Znamy się od studiów, czemu wcześniej mi o ty...
- Nie tak głośno. Chcę dożyć jutra. – Przerwał Bazylowi. – Nie mówiłem o tym wcześniej, bo znając ciebie, zbytnio byś się napalił. A ja potrzebowałem cierpliwości i czasu.
- Mamy teraz po trzydzieści dwa lata... – Zastanowił się. – Ile miałeś, kiedy to się stało?
- Sześć, może siedem, nie pamiętam. Jednak ja... – Andriej przerywał. Mówienie nie przychodziło mu zbyt łatwo. Było widać ból w jego oczach. – Przenieśli nas do Doniecka. Tam kazali zapomnieć o wszystkim co się wydarzyło, zacząć nowe życie. Dopiero dziesięć lat później, grzebiąc w starych albumach zrozumiałem, czego byłem świadkiem. Zamarzyłem odwiedzić rodzinny dom. Dom, w którym się urodziłem. Miejsce, z którego pochodzę. Rozumiesz? W tym roku minęło

dwadzieścia pięć lat... Do tego, na studiach w Kijowie, trafiłeś się ty, pamiętasz? Zafascynowany Czarnobylem i Zoną.

- Znasz adres? – Nieśmiało odezwał się Bazyl.
- Tak. Przyjaźni Narodów 13/73.
Naprzeciwko szpitala. – Odpowiedział Andriej obojętnie, patrząc w przestrzeń przed sobą. – Chodźmy spać.
- Chodźmy, jutro ciężki dzień. Śpij spokojnie.

CZĘŚĆ II

Obudzili się o świcie. Poranek nie był tak ładny, jak zmierzch poprzedniego dnia. Budził raczej nastrój niepokoju i w pewnym sensie grozy. Andriej wstał, przejechał ręką po twarzy po czym zabrał się za zwijanie śpiwora. Bazyl jeszcze dosypiał. W pewnej chwili Włóczęga zauważył małe okienko w ścianie stojącej naprzeciw niego. Nie dostrzegł go poprzedniego dnia. Podszedł i oglądał przez nie mgłę, która rozlewała się wokół szkoły jak mleko, otulając wszystko dookoła gęstym, szarym puchem.

– Niedobrze... – powiedział sam do siebie. – Widoczności...
góra na pięć metrów.

Po chwili ciszy, mruczając pod nosem, dodał:

– Cholera.

Obrócił się i wrócił do ściany przy drzwiach. Usiadł przy towarzyszu, a następnie lekko trącił go łokciem. Bazyl natychmiast się obudził. Andriej dał mu trochę czasu na oprzytomnienie, poczekał, aż spakuje wszystko, z wyjątkiem jedzenia. Sam sięgnął do plecaka i wyciągnął bochenek chleba oraz butelkę wódki. Koczownik zaś przygotował wodę, konserwę i jakiś owoc.

Nim zaczęli jeść, odmówili krótką modlitwę, dziękując Bogu za dotarcie do Prypeci, za znalezienie schronienia i przeżycie nocy, a także prosząc Go o pomoc w drodze do celu podróży i o szczęśliwy powrót.

– Amen.

– Amen.

– No dobrze, panie kolego. Polejcie, za przeżytą
noc. – Zawołał cicho Bazyl.

– Już się robi.

Andriej sięgnął po flaszkę, uderzył trzy razy w dno butelki, potem obrócił ją właściwie i trzy razy „spoliczkował” szyjkę. To był taki ich żartobliwy zwyczaj „wyganiania diabła”. Następnie odkręcił zakrętkę i nalał po równo do kieliszków, wykonanych z rozciętych puszek. Mężczyźni podnieśli naczynia, a po chwili wlewali sobie ognisty płyn do gardeł.

Śniadanie jedli takie jak co dzień. Dwie kanapki z konserwą, popijane wodą, a na koniec jakiś owoc, na pół. Ponoć dawało im to siły na większość dnia.

Po kilkunastu minutach milczenia w czasie spożywania posiłków stalkerzy zaczęli szykować się do wyruszenia w dalszą drogę. Spakowali butelkę wódki, pozostałą wodę i chleb. Wszystko szczelnie owinęli i wrzucili do plecaków, które następnie solidnie zamknęli. Pomogli je sobie założyć na plecy. W sumie, z całym osprzętem taszczyli do piętnastu, dwudziestu kilo. A dodając kombinezon, broń i amunicję wychodzi całkiem spory ładunek.

Wyszli z szatni. Nie skierowali się jednak na salę gimnastyczną. Postanowili, że opuszczą szkołę głównym holem. Ruszyli przed siebie, posuwając się przez korytarz bardzo powoli, ostrożnie stawiając każdy krok. Rozglądali się bardzo uważnie, z kolbą karabinu opartą o ramię zaglądając do każdego zaciemnionego miejsca. Kto wie, czy budynek nie był miejscem spotkań Monolitu, lub skupiskiem anomalii? Śmierć czyhała wszędzie, dosłownie wszędzie.

Dotarli do wyjścia, które niemal niczym nie różniło się od korytarza. Ten sam tandetny parkiet, te same obdrapane ściany, ten sam sufit z kasetonami pomalowanymi na brązowo, te same ławki porzrzucone po całym korytarzu. Inny był tylko przewrócony stolik leżący pod ścianą, budka woźnego i nieco szersza niż zwykle odnoga, prowadząca do wyjścia. Inne było też ciało, w stanie zaawansowanego rozkładu, leżące gdzieś pod ścianą. Obok leżał jakiś połyskujący metal, może broń denata. Mężczyźni nie zwrócili na niego większej uwagi, skręcili w prawo chcąc opuścić budynek. Wyszli przez duże, przeszklone

drzwi. Były otwarte. Przykucnęli przy murku, rozglądając się za jakimkolwiek zagrożeniem, jednak mgła otulająca martwe miasto była taka, jak przypuszczał Andriej – widoczności na pięć metrów.

Nie byli pewni co do godziny, o której się obudzili. Może to była piąta rano, może szósta, a może nawet i ósma. Przez tą mgłę nie można było niczego wywnioskować. Była tak gęsta, że nie przepuszczała nawet słońca.

– Nie ma wyjścia. Ruszamy. – Powiedział Andriej.

– Pamiętasz drogę?

– Tak. Już teraz tak.

Przez chaszcze zaczęli przedzierać się w kierunku szpitala. Z tej strony było ich jakby mniej, ale mgła i tak skutecznie utrudniała poruszanie się. Po kilkunastu sekundach dotarli do budynku domu kultury „Energetyk”. Idąc wzdłuż ściany znaleźli się przed gmachem, na betonowym placu, pełnym porzuconych, napromieniowanych samochodów. Stały Łady, Ziły, Kamazy i inne dzieła radzieckiej myśli technicznej.

– Teraz uważaj. – Szepnął Andriej towarzyszowi. – Na „trzy” biegniemy w tym kierunku. – Wskazał ręką południowy wschód. – Przeskakujemy plac, musisz uważać na anomalie. Pewnie jest ich tu sporo. Dobiegamy do ulicy i wpadamy w osiedle. O ile mnie pamięć nie myli, tam jest jakiś sklep. Będzie można się w nim skryć, jeśli nikogo nie będzie w środku. Jasne?

– Jak słońce.

– Słońca to dziś akurat nie uświadczysz. Gotowy? Raz... dwa... trzy!

Mężczyźni puścili się pędem po przekątnej placu. Mijali samochody, kolejne młode drzewka, przebijające się przez asfalt. Bazyłowi wydało się w pewnej chwili, jakby błysnął mu przed oczami jakiś artefakt, jednak nie miał czasu, by się przyjrzeć. Przebiegali właśnie przez ulicę, kiedy powietrze przeszył huk wystrzału. Obaj w jednej chwili, jakby na rozkaz, przyspieszyli. Przeskoczyli przez pas zieleni, potem przez chodnik i wpadli do klatki dziesięciopiętrowego bloku mieszkalnego. Jednego z

wielu w Prypeci.

– Cholera, słyszałeś to? – zapytał Bazyl zdyszany.

– Trudno było nie słyszeć.

– Myślisz, że nas odkryli?

– Kto?

– No... Monolit.

– A, no tak. – Zamyślił się Andriej. – Nie, myślę, że nie.

Podejrzewam, że strzelali do mutantów. Z której strony było słychać strzał?

– Jakoś w prawo od nas.

– Czyli z zachodu. Jesteśmy bezpieczni. Odsapnij. Już blisko. Moje mieszkanie jest po drugiej stronie osiedla.

– Jesteś pewien?

– A udowodnić ci to na mapie?

– Okej, okej...

– Z tym blokiem też mam miłe wspomnienia. Tu mieszkał Dima, mój najlepszy kolega. Był trochę starszy, ale bardzo się lubiliśmy.

- To ciekawe.
- Ciekawe... – Powtórzył Andriej, po czym obaj mężczyźni zamilkli.

CZĘŚĆ III

Parę chwil później znów byli gotowi przedzierać się w stronę szpitala. Zanim jednak wyszli z bloku upewnili się, czy jest to bezpieczne. Tym razem Bazyl pełnił rolę zwiadowcy. Wychylił się przez metalowe, zardzewiałe drzwi i słuchał. Słuchał milczenia zamkniętego od dwudziestu pięciu lat w tych drewnianych oknach, przerdzewiałych samochodach, popękanych ulicach. Cisza była wręcz ogłuszająca. Nigdy dotąd nie spotkał się z podobnym uczuciem. W mieście duchów panował spokój, od którego aż dzwoniło w uszach. Żadnych dźwięków, ani odgłosów. Nie szeleścił żaden liść, nie trzeszczała żadna gałąź poruszana wiatrem, nie było słychać ptaków czy owadów. Nie było słychać nic. Po prostu ogłuszająca, martwa cisza.

- Bezpiecznie, chodźmy. Prowadź. – Szepnął po chwili Andriejowi.

Wyszli z klatki na chodnik, przez który przebiegali kilka sekund wcześniej i skręcili w prawo. Poruszali się wzdłuż ściany dzieściopiętrowca przez jakąś minutę, ostrożnie stawiając każdy krok. Miasto wydawało się martwe, tak jak większość miejsc w Zonie, ale naprawdę życie w nim wręcz tętniło. Dziesiątki, jak nie setki, Monolitian, religijnych popaprańców wyznających jakąś kosmiczną skałę ukrytą w bloku czwartego reaktora, gotowych zabić każdego, kto nie mówi ich językiem, nie ma tych samych wartości ani, krótko mówiąc, wypranego mózgu; niezliczona ilość mutantów, dzieci Zony; wojsko, pojawiające się tu raz na jakiś czas, i wiele innych rzeczy, o których istnieniu mogli nawet nie wiedzieć.

Mężczyźni doszli do końca budynku. Ponownie skręcili w prawo, tym razem w alejkę przecinającą osiedle. Do celu pozostało im jakieś dwieście metrów. Ten etap wydawał się najłatwiejszy. Dzień, w świetle którego można było zawczasu do-

strzec niebezpieczeństwa, gęsta mgła otulająca okolicę, zapewniająca w pewnym sensie niewidzialność, cisza, w której da się usłyszeć każdy szmer. Prypeć tego dnia była jakby utopią, sprawiała wrażenie niezwykle pustej i łaskawej dla podróżników. Mimo to, mężczyźni ani na chwilę nie tracili koncentracji.

– Zobacz. Moja podstawówka... – Andriej wskazał palcem budynek stojący z lewej strony. – Za nią jest alejka, która prowadzi prosto do bloku.

Osiedle nie było tak zarośnięte drzewami jak okolice parku, czy domu kultury, choć dzieliło je raptem pół kilometra. Owszem, wokół pełno było młodych brzoź obrastających budynki, jednak aleje przecinające ten teren wciąż były alejami wyłożonymi twardą, betonową płytą, a nie niebezpieczną dżunglą.

Po jakichś trzech minutach niemal dotarli do celu. Z blokowiska wyszli wprost na chodnik przy ulicy Przyjaźni Narodów. Z prawej strony mieli blok numer 13.

– Pierwsza klatka. Wchodzimy. – Drżącym już głosem szepnął Andriej do kolegi.

Drzwi były nieco ponad poziomem chodnika, musieli pokonać kilka stopni, by tam dotrzeć.

W końcu znaleźli się w środku. Włócząc podszedł do wiszącej na ścianie tablicy ze spisem mieszkańców, zdjął rękawiczkę i przejechał po niej ręką. Tak, jak robią to dzieci zaglądające do sklepu z cukierkami przez szybę. Zatrzymał się przy numerze 73.

– Gorbunow Irina... – Szepnął. – Babcia...

Po chwili milczenia dodał:

– Chodźmy na górę.

Odszedł od tablicy, włączył swoją latarkę czołową i ruszył powoli schodami. Miał do pokonania cztery piętra. Całą drogę bił się z myślami, chciał się nawet wycofać, uciekać stamtąd jak najprędzej, jednak nie zrobił żadnej z tych rzeczy. Po prostu szedł. Mijał mieszkania kolejnych sąsiadów: państwa Inumienko, starszego małżeństwa, które zawsze wszczynало awantury o to, że telewizor za głośno, że dzieci za głośno, że samochód źle postawiony i o wiele innych mniejszych lub większych,

głupot. Minął dom pani Prokopienko, której mąż, pan Iwan, był strażakiem, jednym z pierwszych, którzy dotarli do elektrowni po wybuchu.

Wreszcie dotarł na czwarte piętro, do mieszkania numer 73. Jego mieszkania. Wahał się jakiś czas, czy wejść do środka, czy stać na klatce i wpatrywać się w drzwi. Po chwili jednak pchnął je. Okazało się, że były zdjęte z zawiasów. Pchnięte po prostu przewróciły się na szafę stojącą prawie naprzeciw nich. Andriej przekroczył próg. Zrzucił na ziemię plecak, odłożył broń, odpiął od paska nóż, który niedbale rzucił gdzieś w kąt i smętnie powlókł stopami do salonu.

Dobrze pamiętał ten czarny regał z bordowymi zdobieniami, który kiedyś omal się na niego nie przewrócił. Wciąż stał na nim telewizor. Ten sam, przez który tak często płakał, kiedy nie mógł oglądać bajek. Pamiętał rozkładany stół, na którym do tej pory, mimo upływu dwudziestu pięciu lat, stał szklany flakon na kwiaty i popielniczka. W kącie, przy wyjściu na balkon, leżała przewrócona donica, w której kiedyś stał jakiś duży kwiat. Na

podłodze walało się mnóstwo książek, ubrań i zabawek.

Andriej zawrócił i smętnie, przesuwając rękę po ścianie, skierował się do sypialni. Bazyl, stojący cały czas w progu mieszkania, zauważył w jego oczach łzy. Opuścił wzrok.

– Wejdz, przyjacielu... – Szepnął Andriej.

Koczownik posłusznie przestąpił próg. Stał przy wybitym oknie wychodzącym na ulicę Przyjaźni Narodów i wpatrywał się w gmach szpitala, znajdującego się po jej przeciwnej stronie. Mgła opadała, coraz więcej słońca przebijało się przez chmury, których ilość też jakby się zmniejszała.

Andriej wrócił do salonu i siadł pod ścianą wśród sterty zakurzonych papierów i ubrań. Skulił się, ukrył twarz w dłoniach i po prostu się rozpłakał. Bazyl wciąż milczał. Byli przyjaciółmi, jednak ten podjął decyzję, by nie wspierać kolegi w obecnej sytuacji. Andriej Włóczęga musiał poradzić sobie z nią samodzielnie.

Mijały kolejne, ciągnące się w nieskończoność, minuty. Prypeć budziła się do życia. Mgła zniknęła, chmury się rozwiały,

świeciło piękne, wiosenne słońce, miło ogrzewające twarz. W dole dało się słyszeć szczekanie psów, czasem nawet można było zauważyć jakieś stado biegnące w stronę zagajnika znajdującego się kilkaset metrów dalej. Tylko mieszkanie numer 73 zamarło. Andriej wprawdzie już się opanował, jednak wciąż siedział w milczeniu, tępo wpatrując się w ścianę naprzeciw. Bazyl zaś stał nieruchomo przy oknie. Trwało to dla niego wieczność, ale nie widział innej możliwości zachowania się w tej chwili. Do tej pory żaden jeszcze nic nie powiedział.

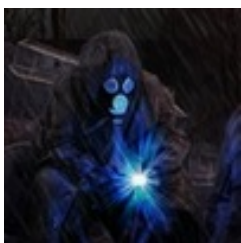
Było to bardzo nietypowe. Bazylowi trudno wytrzymać kilka minut bez odzywania się. Jednak od wkroczenia do Prypeci jakby coś się zmieniło. Spochmurniał nieco, przybladł, oczy straciły część blasku i zapału, jakim emanowały zawsze w czasie studiów. Zachowywał się zupełnie inaczej, niż zwykle. Może robił to dla przyjaciela, a może powód jego zmiany był kompletnie inny? Chyba nawet on sam tego nie wiedział...

Andriej powoli otrząsał się z szoku. Zaczął wodzić wzrokiem po ścianach, szukać znajomych okładek na podłodze. Nadal

jednak żaden z nich nie odważył się odezwać, choć czasu minęło bardzo dużo.

- Monolit. – Szepnął Bazyl po kolejnych kilku minutach dzwoniącej w uszach ciszy.
- Co?! Gdzie?! – Andriej wprawdzie wciąż siedział, ale już wyprostowany i gotowy do działania.
- Monolit. – Koczownik obrócił się w stronę towarzysza i sięgnął do kieszeni.
- Gdzie Monolit, co się dzieje? – W jego głosie było słychać wyraźne podenerwowanie.
- Monolit. – Bazyl wyjął z kieszeni pistolet i przeładował go.
- Stary, co z tobą?! Co się, do kurwy nędzy, dzieje?!
- Monolit. – Szepnął Bazyl i wycelował broń w kierunku Andrieja.

STRZAŁ



KOSHI

Frakcja: Bandyti

Ulubiona broń: Sniper Rifle
SVDm2

Kodeks Hammurabiego

Kolejna moja radosna twórczość, tym razem w klimatach Stalkera. Luźna wariacja na temat Zony bez trzymania się ściśle fabuły czy miejscówek którejkolwiek z części.

CZĘŚĆ I

Krople deszczu bębniły miarowo po pokrytym blachą dachu tworząc monotonną melodię, która w duecie ze skrzypiącą, stalową, konstrukcją budynku tworzyła upiorną pieśń podsycaną raz po raz skowytem wiatru buszującego w wybitych oknach. Diabelska piosenka, która nieodmiennie towarzyszyła nadciągającej emisji, nie była w stanie zagłuszyć piękna utworu sączącego się z jednego z pomieszczeń na piętrze. Melodia spływała po schodach w dół rozpluwając się pomiędzy siedzącymi przy ogniskach ludźmi.

Bandycka brać, mordercy, złodzieje i kryminaliści, którzy uciekli do Zony przed prawem, by szukać lepszego jutra. Nikt z siedzących w starej, opuszczonej hali, nie przejmował się nadchodzącym dniem. Ważne było tu i teraz.

Był jednak człowiek, który czuwał nad wszystkim, a każdy nadciągający dzień spędzał mu sen z oczu. Stanowił serce i mózg organizacji skupiającej zebranych tu ludzi, planował akcję, rzą-

dził, dzielił łupy i rozdawał karty.

Człowiek ten siedział w jednym z pomieszczeń na piętrze. W dyskretnym mroku, przecinanym tylko migoczącą na stole świecą, delektował się grą na fortepianie popijając przemyconego do Strefy Cristobala. Ubrany w czarny, skórzany płaszcz z wyhaftowanym na plecach chińskim, czerwonym, smokiem słuchał dźwięków sączących się z ocalałego Bechsteina, którego parę lat temu przywieziono z jednego z domów w Prypeci.

Wystrój pomieszczenia stanowiła dodatkowo brązowa, skórzana sofa, należąca kiedyś do jakiegoś prominenta lub dyrektora, tego samego, z którego domu Bandydzi wywieźli fortepian kilkadziesiąt dni po ewakuacji Prypeci. Dziś sofa lata świetności miała już za sobą. Stała pod ścianą na betonowych pustakach zastępujących coś, co kiedyś było misternie rzeźbionymi, drewnianymi nogami

W pokoju stały też dwa krzesła, metalowa szafa na akta, leżący w kącie materac oraz ogromny, stalowy sejf, który górował swym cielskiem nad resztą mebli. Na jednej ze ścian wisiał

na kołku Vintorez, na drugiej, naprzeciwko broni, ogromna mapa okolic Czarnobyli, w którą powbijano dziesiątki kolorowych pinezek i szpilek z chorągiewkami.

Wieko fortepianu opadło wprawione w ruch delikatną kobiecą dłonią. Galina skończyła grać i obróciła się w stronę siedzącego na sofie mężczyzny. Dima był jej mentorem, przyjacielem, kochankiem oraz jedną z najpotężniejszych osób w Zonie – szefem Bandytów. Zaopiekował się nią, kiedy uciekła z domu przed ojcem pijakiem i trafiła do Zony z oddalonej o setki kilometrów Moskwy. Uratował jej też życie, kiedy w Kordonie trzech Stalkerów próbowało ją zgwałcić. Dwóch, Dima zatłukł na miejscu w ataku furii. Nie zdążyli nawet wyciągnąć broni. Trzeciego, z przestrzelonymi kolanami i dziurą w brzuchu, zostawił, aby mógł się wykrwawić. To, co się tam wydarzyło, Galina pamięta do dziś. Wydarzenia tamtego dnia znów wróciły pobudzone melancholijną muzyką.

– Wracaj skąd przybyłaś – powiedział Dima podając jej plecak, kiedy było już po wszystkim. – To nie miejsce dla

ciebie. Nie mam pojęcia co tu robisz, ale nie wróżę ci tutaj świetlanej przyszłości.

– Nie mogę... – odpowiedziała dziewczyna łkając. – Nie do tej świni! Znów się będzie do mnie dobierać... A jeśli nawet się zdecyduję wrócić... to co będę robić? Żebrać nie zamierzam, a dawać dupy na ulicę nie pójdę. Mam swoją godność! Zostaję tutaj i szlus!

To, co usłyszał, zszokowało go. Nie takiej odpowiedzi się spodziewał. Zresztą nie liczył na żadną odpowiedź. No może tylko na coś w stylu: „Dziękuję za uratowanie mi życia” lub coś podobnego. Myślał, że wyjdzie od tak z poczuciem dobrze wykonanego obowiązku, a dziewczyna weźmie plecak i wróci do domu czy tam gdziekolwiek, skąd przybyła. Obojętnie gdzie, byle zniknęła i przestała być problemem. Mylił się. Skonsternowany zatrzymał się w drzwiach.

– A co tu niby masz zamiar robić!? Umiesz strzelać? Zabiłaś kogoś, ukradłaś coś? Nie masz pojęcia czym jest Zona i jakie zasady w niej panują. Zginiesz prędzej czy później,

jest to jasne jak słońce. A skoro jest to jasne to nie wiem po co marnuję swój czas tłumacząc ci to. Weź swoje łachy i idź stąd. Tak będzie dla ciebie najlepiej!

- Poczekaj! – rzuciła do odwracającego się mężczyzny Galina. – Nauczysz mnie strzelać i tych wszystkich rzeczy, no wiesz... co są potrzebne, żeby przetrwać tutaj... mam trzy tysiące rubli – powiedziała wyjmując z plecaka garść pomiętych banknotów. Może to starczy na początek?
- Chyba cię pogięło! – odpowiedział Dima. – Nie będę cię niczego uczył. A te trzy kafle, które trzymasz w ręku, już wykorzystasz. Jakbyś zapomniała, właśnie uratowałem twój tyłek.
- Masz! – rzuciła w jego stronę pieniądze zdenerwowana Galina. Weź je sobie! Zarobisz, są twoje! Nie chcesz mnie uczyć to nie. Wracam do tej bazy, co byłem tam wcześniej. Może tam mi pomogą...
- Taaa, pewnie. Tak się akurat składa, że Strefa pełna jest różnej maści szumowin i kryminalistów. Przyciąga ich jak

magnes. Ci też są nie lepsi. Wskazał na martwych mężczyzn.

- Stalkerzy, *job twoju mać*. – Splunął w kierunku dwóch ciał leżących na środku budynku. – Niektórzy z nich nie są gorsi od naszych – dodał po chwili.
- Nie trafiłaś zbyt dobrze dziecinko, to nie miejsce dla dam. – Zaśmiał się Dima. – Taki cukiereczek w Zonie jak ty, to jak gwiazdka z nieba dla żyjących tu skurwysynów. – Nie ci, to inni spróbują się do ciebie dobrać. Myślisz, że Stalkerzy są tacy prawi? Właśnie miałaś przykład, jacy są szlachetni. No już, bierz plecak i wypierdalaj stąd! – warknął Dima do zdumionej dziewczyny. – Nie będę cię niańczył. Nie mam czasu!
- Nigdzie nie pójde! – rzuciła hardo dziewczyna. – Nie skończę jak szmata i nie pozwolę, żeby jego łapska znów mnie obmacywały! Idę z tobą.
- Taka jesteś cwana! – powiedział zdenerwowany Dima. – To go zastrzel! – Wskazał jęczącego w kącie budynku

mężczyznę. – Przecież to dla ciebie przyszcz! To będzie twój pierwszy test – dodał po chwili podając jej starego Makarowa należącego do jednego z zabitych.

– Zdasz, idziesz ze mną. Nie zdasz, zabierasz się stąd i więcej cię na oczy nie widzę. Idę na szluga, masz pięć minut – rzucił bandyta i wyszedł z budynku.

Minęło pięć minut odkąd Dima skończył rozmawiać z nieznajomą. Bandyta dopalił Marlboro po czym rzucił go w krzaki i już miał ruszać w kierunku wysypiska, kiedy z budynku wyszła Galina. Roztrzęsioną ręką podała mu pistolet, lecz nic nie powiedziała. Nie słyszał wystrzału, ilości naboju w komorze się zgadzała, więc nie było mowy o pomyłce. Nie zabiła go. Dokładnie tak, jak myślał. Była za miękka, by odebrać komuś życie.

– Oblaś. – powiedział, kiedy odbierał z jej rąk broń. – Mówiłem ci, to nie jest miejsce dla ciebie.

Rozstajemy się zgodnie z umową. Żegnaj.

– On... on nie żyje... – wymamrotała coś dziewczyna łapiąc go za ramię, kiedy odchodził.

– O co ci chodzi do cholery? – spytał zdenerwowany Dima odwracając się. – Mów o co biega, bo nie mam czasu!

– Nie żyje... – wymamrotała dziewczyna. – Zabiłam go.

– A niby kurwa jak? – spytał zdziwiony mężczyzna. – Nie słyszałem ani jednego wystrzału.

Nie usłyszał odpowiedzi. Kobieta stała przed budynkiem trzęsąc się w szoku. Spytał ją jeszcze o coś, ale już nic nie odpowiedziała. Wszedł więc do budynku, by sprawdzić, co się stało z rannym mężczyzną. Leżał na wznak na stercie drewna z podciętym gardłem. Charczał jeszcze coś w agonii, próbując coś powiedzieć, ale krew zalała mu już widocznie struny głosowe przez co gulgał jak indor, niż mówił. Dima kompletnie go zignorował, nie wart był nawet, by patrzeć jak umiera. Mężczyzna omiótł pomieszczenie wzrokiem natrafiając na leżący w kącie zakrwawiony nóż. Było to narzędzie, którym dziewczyna skróciła nędzne życie leżącego obok nikczemnika.

– Miała pistolet, a poderżnęła mu gardło nożem... Po co? – zapytał sam siebie zdumiony bandyta po czym

opuścił pomieszczenie.

Wychodząc z budynku dostrzegł śmierć lubieżnie obejmującą konającego, która przytuliła się do niego głaszcząc go czule kościstą ręką po włosach.

- Zgadza się, nie żyje – powiedział do Galiny, która dalej stała przed budynkiem patrząc nieobecny wzrokiem w jakiś niewidoczny punkt na horyzoncie. Tylko zastanawia mnie, czemu nie strzeliłaś temu pacanowi w łeb, jak Bóg przykazał, tylko poderżnęłaś mu gardło?
- Szkoda było amunicji na takiego śmiecia... – odpowiedziała beznamiętnie dziewczyna.
- Ach tak... – skwitował Dima. – Jakaś ty rezolutna... Może coś jeszcze jednak z ciebie będzie. Dobra, dość gadania – dodał po chwili. – Bierz graty i spadamy stąd. Wracamy do obozu. Makarowa weź sobie, to i tak stary lump.

Dziewczyna tylko skinęła głową na znak zgody, ale nic nie powiedziała. Wciąż była oszołomiona tym, co się przed chwilą sta-

ło. Kiedy Dima ruszył w stronę bazy, podniosła plecak i podążyła za nim niczym cień. Minęły dwie godziny, odkąd opuścili miejsce, gdzie się poznali. Dziewczyna wykonywała wszystkie polecenia bandyty, jakby była w transie, ale nic nie mówiła. Za odpowiedź służyło jej kiwnięcie głowy w pionie lub poziomie w zależności, czy chodziło jej o TAK lub NIE. Dimie pasował taki układ. Zero zbędnych pytań, tłumaczenia. Sam nie wiedział, po co prowadził ją do obozu bandytów. Była tam narażona na zdecydowanie większe niebezpieczeństwo, niż w osadzie, gdzie zatrzymywali się nowo przybyli do Zony. Ale słowo się rzekło, test zdała. Poza tym zaimponowała mu. Co innego zabić w walce, a co innego zabić bezbronnego podcinając mu gardło.

– Ma dziewczyna jaja – pomyślał.

Pożyjemy, zobaczymy, co z tego wyniknie. Dywagacje mężczyzny przerwało pytanie.

– Striełok... Znasz go?

Dima obrócił się i spojrzał na dziewczynę. Ledwo stała na no-

gach trzymając w ręce plecak, którego spód nieomal przetarł się od ciągnięcia go po asfalcie i ziemi.

- Alleluja! – krzyknął Dima. – Ty mówisz... Super! Striełok... Taaa, znałem go. Każdy w Zonie zna jego historię. I co z tego?
- Słyszałam, że tu gdzieś jest coś, co spełnia marzenia...
- Neeee, kurwa nie!!! Kolejna, która uwierzyła w te bzdury! Kto ci naopowiadał takich bajek???
- W metrze był taki jeden... co mówił...
- Eeee... Daj spokój... – powiedział Dima i machnął zrezygnowany ręką. Powiem w skrócie, bo nie chcę mi się dużo gadać. Było tak:

Była awaria w elektrowni, i wszystkich ewakuowali, a tereny dookoła jej zostały skażone. Ale katastrofa i cała ta radiacja coś popieprzyły i zaczęły się tutaj dziać dziwne rzeczy. Ja tu przybyłem gdzieś na początku lat dziewięćdziesiątych, jak promieniowanie zmalało na tyle, że można było zwiedzać okolicę Czarnobyla. To były czasy, kiedy nie było podziału na Bandytów i Sta-

kerów. W Zonie wylądowali ci, którzy chcieli poszukać swojego szczęścia, uciec przed kimś, czymś, rozpocząć nowe życie, zniknąć. Było nas niewielu, ale dość szybko odkryliśmy, że to, co sprawiło, że miejsce to stało się takie porąbane, spowodowało, że można było nieźle zarobić. Artefakty i ich szukanie w anomaliach to była żyła złota. Niektórzy się naprawdę nieźle obłowili i wyjechali stąd bogaci, inni zostali, a jeszcze inni... no cóż... zginęli szukając szczęścia. Wieści o czarnobylskim Klondike szybko rozniosły się. Do Zony zaczęli zjeżdżać różni ludzie skuszeni wizją szybkich pieniędzy. Większość z nich to byli kryminaliści, bandyci, mordercy i inne szumowiny, którym nie chciało się robić, a chcieli się wzbogacić kosztem innych. Mordowali, grabili, kradli artefakty. W skutek tego powstały dwa obozy, które zaczęły ze sobą walczyć o wpływy, tereny i kontrolę nad tym zapomnianym przez Boga miejscem. Wtedy Striełok zdecydował się pójść ze znajomymi w głąb Zony, tam, gdzie nikt nie odważył się wcześniej wybrać w samą paszczę diabła, do elektrowni... Po wizycie twierdził, że znalazł tam maszynę, któ-

ra spełnia życzenia, ale sądząc po stanie w jakim wrócił, myślę, że radiacja i promieniowanie psioniczne zdewastowało mu tak mózg i cały organizm, że dostał urojeń i omamów. Spełniacz życzeń to była jego obsesja. Ciągłe o nim gadał, kombinował jak tam wrócić, aż wreszcie poszedł. Sam... I przepadł jak kamień w wodę. Słuch po nim zaginął. Wniosek jest prosty – nie ma tam żadnej maszyny spełniającej życzenia, tylko ogromna radiacja i jakieś inna siła zwana psioniką, o której praktycznie nic nie wiemy. Nikt się w okolicy elektrowni nie zapuszcza, bo kończy momentalnie jak warzywo, czyli żywy trup. I Striełok pewnie też tak skończył, albo zabiło go promieniowanie. Oto cała historia. Historia faceta, któremu po prostu usmażyło mózg i sfiksował. Chcesz coś jeszcze wiedzieć kochana?

- Czyli nie ma żadnej maszyny, co spełnia życzenia??? – spytała zdumiona Galina
- Nie. Nie ma, nie było i nie będzie. Marzenia może sobie spełnić, jak znajdziesz trochę artefaktów i je sprzedasz z zyskiem, albo popracujesz dla którejś z frakcji, ale raczej

wątpię, czy odłożysz na tyle, żeby ustawić się do końca życia. Tylko nielicznym się udaje. Teraz nie tak łatwo się wzbogacić co kiedyś... Do tego to pieprzone wojsko, które wszystko chce kontrolować...

- To po co ja tu przyjechałam? Nie będę szukać jakiś arte – czegoś tam... i nie będę dla nikogo pracować, bo co niby miałabym robić? Dziwką nie zostanę!
- Nie taki rodzaj pracy miałem na myśli – zaśmiał się Dima. – Co nie znaczy, że nie zrobiłabyś na tym kariery. Ile ty w ogóle masz lat dziewczyno?
- Siedemnaście. – odpowiedziała Galina.
- No tak... To nie dziwię się, że łyknęłaś taki bałach. Do rodzinki pewnie nie wrócisz, spełniacza nie ma... to co ty chcesz tu robić? Pomijam, że dwie godziny temu poderżnęłaś koleśowi gardło i byłaś świadkiem dwóch morderstw. Normalka. Dzień jak co dzień.
- No właśnie nie mam pojęcia. Do Moskwy nie pojadę. Mam co prawda ciotkę mieszkającą niedaleko stolicy, mogłabym u

niej zamieszkać, ale prędzej, czy później mój ojczulek zbok – milicjant mnie wytropi i raczej będę go musiała zabić, niż wrócę do domu. Na ulicę nie pójdę, a w sumie to nic też konkretnego nie umiem. Co tu robić???

- No to masz przechlapane. A gotować chociaż umiesz?
 - Tak, całkiem nieźle. – Uśmiechnęła się dziewczyna.
 - Dobra, powiem chłopakom, że znalazłem nowego kucharza. Ostatniego zeżarła chimera, a Baleron tak marnie gotuje, że ostatnio pół załogi dostało sraki po jego genialnym obiedzie. Jak się sprawdzisz, to zostaniesz, a jak nie to trzeba będzie wysłać kogoś do Moskwy, żeby zlikwidował tą świnię twojego tatuśka, a ty wrócisz później do matki jako skruszona córka i wszyscy będą szczęśliwi. Amen!
- podsumował Dima. – Dobra idziemy do obozu, to już niedaleko.

CZĘŚĆ II

Chmury dryfowały po niebie przypominając strzepy jakiejś gigantycznej waty cukrowej, którą ktoś porozrywał i niedbale rozrzucił po firmamencie. Leniwie sunęły po nieboskłonie niczym parowóz, który próbuje pokonać ostatnie wzniesienie resztką sił. Wiatr nieśmiało szumiał pośród konarów nagich drzew przewalając po ziemi stosy mieniących się jesienią liści. Kiedyś stanowiące okrycie rozłożystych dębów, rozcapierzonych grabów, czy smukłych topól, dziś tańczyły razem w powietrzu niewidzialny taniec, aby osiąść wreszcie na zachlapanych błotem drogach, porzuconych, rdzewiejących samochodach czy brudnych reliktach komuny, jakimi były różnego rodzaju żelbetowe prefabrykaty, które nigdzie nie miał już być wbudowane. Jedną z takich dróg maszerowało dwoje ludzi. Kobieta i mężczyzna. Zmierzali w stronę obozu Bandytów, co nie umknęło też uwadze wartowników pilnujących obozu. Szybko rozpoznano, że jedną z osób jest bandyta – Dima Tatarenko. Drugiej osoby nie ziden-

tyfikowano. Stwierdzono tylko, iż jest to kobieta i to w dodatku dość młoda. Wieść o tym rozprzestrzeniła się po obozie niczym błyskawica. Kiedy Dima wraz z towarzyszką dochodzili do obozu, huczało tam już jak w ulu. Otwarto bramę, za którą ustawił się komitet powitalny złożony z kilkudziesięciu Bandytów. Dima, widząc jak huczne przyjęcie chcą mu zgotować koledzy, odwrócił się do Galiny i rzekł:

- Nie odpowiadasz na żadne pytania i zaczepki, nie zatrzymujesz się i nie gapisz się na nikogo! Podążasz za mną krok w krok i nie oddalas się dalej, niż na pięć metrów. Czy to jasne? – spytał retorycznie.
 - Tak. – odpowiedziała cicho dziewczyna.
 - To dobrze. Zaoszczędzi to nam kłopotów. Idziemy.
- Wraz z malejącą dystansem, który dzielił ich od obozu, hałas dochodzący z bazy wzmagał się. Mijali właśnie miejsce zwane Golgotą, kiedy z jednego z wbitych w ziemię drewnianych krzyży doleciał ich cichy szept:
- Dimaaa, pomóż, błagam cię...

Tatarenko przystanął i spojrzał w kierunku, z którego doleciał głos. Na jednym z krzyży wisiał jeden z Bandytów zwany przez kolegów Kłamcą. Pozostałe dwa krzyże, które stały obok, były puste. Kłamca jeszcze raz się wysilił i zachrypiał:

- Pomózzz... Zastrzel mnie...
- Doigrałeś się Iwan, doigrałeś. – skwitował Dima ignorując jego rzężenie.
- Wiedziałem, że prędzej czy później cię złapią. Może i bym ci pomógł, ale powiedz przyjacielu, gdzie jest mój pistolet, który zginął mi dwa tygodnie temu? Nie widziałeś go czasem?
- Dima, to nie byłem ja. Przysięgam... Nie miałem z tym nic... Zrezygnowany Dima machnął ręką, po czym powiedział:
- Wiesz, jest takie stwierdzenie, które idealnie pasuje do twojej osoby. Brzmi tak: Kłamca zawsze będzie kłamcą. Nawet, jakby cię żywcem obdzierali ze skóry, nie przyznałbyś się...
- Ja naprawdę go nie ukradłem... – tłumaczył się mężczyzna.

– Ehhh... Chodź Galina, idziemy. Szkoda marnować czas na rozmowę z nim. Choćby miał umierać jeszcze trzy dni to i tak nie powie, co się stało z moim gnatem. Zajeł go jak nic. Dlatego dostał ksywę Kłamca. Bo wiecznie kłamał, kłamie i kłamać będzie dopóki nie umrze. Módl się, może szybko przyjdzie Emisja i skróci twój nędzny los. – powiedział Bandyta w stronę konającego, po czym ruszył wraz z dziewczyną w stronę obozu.

Kłamca jęczał coś jeszcze, gdy oddalali się, ale Dima nie słuchał, co mężczyzna miał do powiedzenia. Był to stek wyzwisk, błagań i gróźb, które nie robiły na Bandycie żadnego wrażenia. Werdykt Piłata był niepodważalny. Kłamca został skazany na śmierć, bo okradał swych towarzyszy i nic nie mogło tego zmienić.

– Niech się cieszy, że szef nie kazał go nabić na pal – pomyślał Dima wkraczając do obozu.

Obóz przywitał ich szarością. Metalowe konstrukcje chłostane wiatrem i kwaśnymi deszczami rdzewiały czekając z utęsknie-

niem na konserwację, która nigdy nie miała nastąpić. Żelbetowe konstrukcje obnażały swoje stalowe żyły i arterie w wymuszonym przez mróz ekshibicjonizmie. Każdej zimy proces zamrażania i rozmrażania coraz bardziej dewastował betonowe molochy powodując odpadanie z nich kolejnych fragmentów betonu. Pokryte mchem, który rozprzestrzeniał się po nich niczym liszaj, umierały powoli niszczone siłami natury. Dima wraz z dziewczyną minęli właśnie dawny budynek portierni, którego ściany pokrywały niegdyś piękne płytki elewacyjne – jedne z najlepszych, jakie swojego czasu można było dostać na Ukrainie. Dziś płytki leżały potłuczone wokół budynku porozrzucane niczym liście opadające z drzew jesienną porą. Przez puste otwory w budynku przewalał się wiatr. Bandyta, i uciepiona rękaw jego płaszcza dziewczyna, minęli na wpół zdewastowany budynek i skierowali swoje kroki w stronę dwóch budowli połączonych ze sobą wiatą. Tłum podążył za nimi drąc się i wyjąc. Raz po raz z stłoczonej za nimi ciżby dolatywało:

– Dima, ale żeś se towar znalazł!!! Daj wypróbować! – darł się

jeden z Bandytów.

- Maleńka, przyjdź do mnie wieczorem! Pokażę ci mojego rumaka! – krzyczał inny.
- Idioci – pomyślał Tatarenko wchodząc pod wiatę. Spojrzał na Galinę. Dziewczyna była blada, a w jej oczach czaił się strach.
- Mam trochę fantów po tych zabitych Stalkerach. – powiedział Dima, aby rozładować napięcie i odwrócić uwagę dziewczyny od wrzeszczącej hołoty.
- Trzeba by to opchnąć, bo raczej mi się to nie przyda. Są tu dwa bary, w których można sprzedać taki szmelc. – Wskazał ręką w kierunku drzwi do budynków, które stały naprzeciwko siebie po obu stronach wiaty. Knajpa na lewo zwie się "Pod zamulonym sterem". Ogólnie mówiąc jest to mordownia, gdzie serwuje się podły alkohol. Łądują tam zazwyczaj ci, którzy nie mają kasy, albo których wyrzucono z drugiego baru. Prowadzi ją gość zwany Kapitanem. Taki tam złodziejasek i oszust, służył kiedyś w marynarce, ale

go wywalili dyscyplinarnie za kradzieże. Drugi bar jest nieco bardziej ekskluzywny. Zwie się "Pod wulgarną małpą" i prowadzi go facio zwany Małpą. Małpa nie sprzedaje trefnego alkoholu, ma normalną klientelę, można też u niego coś zjeść. Jest tam taki mały grill. No i podest. Czasami ktoś tam występuje nawet na nim. Ma natomiast ceny dwa razy wyższe... no i robi się agresywny, jak stwierdzi, że ktoś jest już za bardzo pijany. Najpierw prosi o kulturalnie wyjście. Jeśli klient nie posłucha rady staje się mniej miły. Otwiera jego głową drzwi, czasem zdarzy się, że i okno, jeśli do wyjścia ma za daleko...

- Kapitan to rozumiem, to jakiś stopień wojskowy. Pewnie był kapitanem... – przerwała mu Galina. – Ale czemu ten drugi nazywa się Małpa?
- Małpa jest obrośnięty na całym ciele. Ma włosy dosłownie wszędzie. Na plecach, na kłacie, na rękach. Kłęby włosów. Wygląda jak jakiś zwierz. Mieszkańców poznasz później. – Uciął dyskusję Dima. – Teraz trzeba opchnąć

graty, a potem idziemy do Piłata omówić twoją sprawę.

– W porządku. Ty tu rządzisz. – odparła dziewczyna.

– Nie inaczej. – skwitował Bandyta. – Idziemy do Małpy.

Musisz coś zjeść, marnie wyglądasz.

Knajpa była pusta. Jedynie za kontuarem na końcu sali siedział właściciel wsparty na łokciu o blat lady. Z obojętną miną przyglądał się, jak Dima lawirował pomiędzy poprzewracanymi krzesłami, oponami i wielkimi bębnami po kablach telefonicznych, które zastępowały stoliki. Za Dimą podążała dziewczyna. Małpa zlustrował dziewczynę. Długie, blond włosy, twarz anioła, usta koloru jarzębiny. Pod obcisłą bluzką kryło się coś, co mogło śmiało konkurować z najwyższymi szczytami w Himalajach. Kiedy dziewczyna wyszła z za jednego z bębnow odslaniając swe długie, zgrabne, nogi chronione jedynie krótką spódniczką, Małpa aż jęknął z wrażenia.

– No Dima... Słyszałem, że sprowadziłeś dziewczynę do obozu, ale nie podejrzewałem, że jest tak olśniewająco piękna... Skąd ją wytrzasnąłeś???

– To długa historia. Nie mam czasu ci wszystkiego tłumaczyć.

Muszę zaraz pogadać z Piłatem. Mam tu też parę rzeczy, których chciał bym się pozbyć. Rzucisz okiem?

– Naprawdę nic mi nie powiesz na jej temat?

– Nie. Potem ci wszystko wyjaśnię. Teraz nie mam czasu.

Zaraz się tu wszyscy zlecą.

– Daj, co tam masz. – powiedział zrezygnowany barman.

Bandyta wyłożył na stół rzeczy zabitych w Kordonie mężczyzn. Były wśród nich dwa dozymetry, kompas, wielofunkcyjny scyzoryk, pistolet Fort-12 oraz kilkanaście sztuk naboju kalibru 9 mm. Małpa obejrzał fanty i pokręcił głową.

– Kurwa, ale szajs... Nie było nic lepszego? To wygląda jakbyś ograbił jakiś frajerów. Sam złom...

– Istotnie tak było. Jakby to było coś wartościowszego to wiesz, że udałbym się z tym do Miazgi. On dobrze płaci za wartościowe rzeczy.

– A co, ja nie płacę dobrze? – odezwał się obrażony Małpa.

– Tak. Dajesz naprawdę wysokie ceny. – zadrwił Dima

wskazując za plecami Małpy stoły pełne przeróżnych dupereli.

- Dam ci za to czterysta rubli. Pasuje?
- Może być. Ale dorzuć to tego jeszcze setkę wódki i szaszłyka. Mała jest chyba głodna.
- Setkę i szaszłyk... Niech pomyślę... Daj jeszcze jakiegoś fanta, żebym nie był stratny.
- Dobra. Masz książkę. – powiedział Dima wyciągając z kieszeni płaszcz niewielkie zawiniątko.
- A na chuj mi książka Dima? Widziałeś, żebym coś, kiedyś czytał?
- To jakiś pieprzony poradnik o przetrwaniu. Znalazłem go w plecaku jednego z tych idiotów. Myślę, że wart jest szaszłyka. Miałem poczytać, co za bzdury tam wypisują...
- W porządku. Daj to dziadostwo. Jesteśmy kwita. Może będzie na to kupiec.

Bandyta popchnął książkę po ladzie w stronę Małpy. Ten odwrócił się w stronę stojącego w kącie grilla, po czym podał Galinie

dymiący kijek z nabitymi nań mięsami. Dziewczyna wzięła go z rąk barmana, przystawiła do nosa i powąchała. Zapach okazał się jej nieznany.

- Co to za mięso?
- Dziczyzna. – odpowiedział barman lakonicznie.
- Dziwnie pachnie...
- Nie marudź, jedz. – odezwał się Dima, chociaż wiedział, że może jedną czwartą zawartości dania stanowił dzik. – Mam jeszcze z Małpą coś do obgadania, ale to już moje prywatne sprawy. Zajmij się mięsem i nie obracaj się. Cały obóz gapi się na twój hmmm... Kapujesz?
- Myślę, że tak. – stwierdziła dziewczyna. – Jeść i nie obracać się. Proste.
- Dokładnie. A teraz pozwól, że omówię pewne kwestie z barmanem. – powiedział Tatarenko i obrócił się w stronę Małpy.

Galina nie słyszała dalszej części rozmowy. Mężczyźni rozmawiali szeptem. Zajęła się jedzeniem skrupulatnie obgryzając

mięso z patyka. Kiedy patyk był już prawie ogołocoony ze swojej zawartości, Dima kończył właśnie rozmowę z Małpą. Chwilę później Dima odezwał się, kiedy poustalał już wszystko z obrośniętym mężczyzną.

- Małpa dał mi klucze na zaplecze. Wymkniemy się tylnym wyjściem. Chyba rozumiesz, że wyjście frontowymi drzwiami nie skończy się dobrze? Nie będę się bił o twoją cnotę z całym obozem...
- Uhm... – powiedziała dziewczyna połykając ostatni kęs szaszłyka.
- To posłuchaj uważnie, co robimy. Za parę sekund przejdę za ladę i ty zrobisz to samo. Tam, w głębi pomieszczenia, są drzwi. Pobiegniemy tam, a potem przez zaplecze wydostaniemy się na zewnątrz. A potem walimy prosto do Piłata. Wszystko jasne?
- Tak.
- W taki razie wiejemy! – krzyknął Dima omijając kontuar.

Chwilę później Bandyta i dziewczyna byli już przy drzwiach prowadzących na zaplecze. Podniecony nagłą ucieczką tłum ruszył za nimi próbując dostać się za bar. Tratując krzesła i stoliki natarli w stronę lady, za którą stał Małpa.

- Wypierdalać z mojego baru!!! – ryknął barman. – Nie będziecie mi tu demolować knajpy!
- No co ty Małpa... – krzyknął ktoś.
- My tylko chcieliśmy... – odezwał się ktoś inny.
- Chuj mnie obchodzi co chcieliście. – powiedział barman wyciągając spod stołu obrzyna. – To mój bar i obowiązują tu moje zasady. Jedna z nich mówi, że w barze ma być cicho i kulturalnie. A ja tu nie widzę kultury do kurwy nędzy tylko drącą ryja hołotę, która myśli w tym momencie fiutami, a nie głową! Coś się nie podoba??? – spytał barman zaczepnym głosem słysząc pomruki niezadowolenia z głębi sali.
- Dobra, dobra wychodzimy. – rzucił ktoś z tłumu.
- Spadajmy zanim Małpie znów odbije szajba. – zawtórował mu drugi.

– To jazda stąd! – ryknął na odchodne barman. – Przyjdźcie, jak już wam sperma przestanie bić do głowy. Wypad! Tłum wycofał się na zewnątrz lokalu. Z wkurzonym Małpą nie było żartów. Potrafił być nieobliczalny, jeśli się zdenerwował. Po Dimie i Galinie nie pozostał ślad. Bandyci obeszlili budynek, w którym znajdował się bar, ale nie natknęli się na parę. Sprawcy zamieszania zniknęli.

CZĘŚĆ III

Podczas, gdy Galina rozmyślała o swoim pierwszym dniu w Strefie, zza jednej z nóg Bechsteina wygramolił się niewielki pająk. Szybko ruszył poprzez bezkres popękanej, betonowej posadzki, w stronę dwóch wyrastających z podłoża gigantycznych filarów, które obrał za cel swojej podróży. Chwilę później wspiał się po jednym z słupów, którym okazała się jedna z nóg Dimy, i wylądował na jakimś miękkim, nieznanym liściu. Świetne miejsce pomyślał rozpoczynając tkąć sieć pomiędzy dwoma

połami płaszcza. Pająk systematycznie i mozolnie konstruował przyszłą pułapkę niepomny istnienia Bandyty. Nic dziwnego, organizował pierwszą w życiu zasadzkę w swym krótkim, zaledwie kilku minutowym, życiu. Kiedy dzieło było już praktycznie ukończone, na oparciu zniszczonej sofy ukazał się drugi, znacznie większy pająk. Przyglądał się chwile, jak jego młodszy kolega pracuje, po czym podszedł bliżej i powiedział.

– Daremna twoja praca przyjacielu.

Niezbyt szczęśliwe miejsce wybrałeś na zastawienie sieci...

– Dlaczego? – odparł zaskoczony tymi słowami budowniczy.

– Olbrzym zaraz się poruszy i porozrywa sieć. – oznajmił większy pająk.

– Olbrzym? A któż to taki???

– Ahhh... Widzę, że jesteś bardzo młody i nie poznałeś jeszcze ludzi. Kim są ludzie... Dobre pytanie. Długo by tłumaczyć... Powiedzmy, że są to ogromne istoty, które uwielbiają na nas polować.

Tyle ci powinno wystarczyć na początek, reszty dowiesz się

sam.

- Jak to polują??? Żywią się nami? – spytał zdumiony mały pająk.
 - Hahhha. – zaśmiał się drugi z pajaków. – Nic z tych rzeczy. Wystarczy im, że walną nas gazetą lub strącą ze stołu pstryknięciem palców. Nie stanowimy dla nich żadnego zagrożenia i nie jesteśmy im do niczego potrzebni. Popatrz w górę, a przekonasz się.
- Mniejszy pająk spojrział we wskazanym kierunku za radą kolegi. Ujrzał oblicze jakiejś ogromnej istoty. Olbrzym spoczywał na sofie w bezruchu z na pół przymkniętymi powiekami.
- Chodź, pokażę ci, gdzie można rozstawić sieć. Znam dobre miejsce całkiem niedaleko. – zaindagował większy osobnik. – Można tam złapać niezłą muchę czy ćmę. Taką jak ta. – Wskazał fruującego dookoła świecy owada. Ćma igrała z losem co rusz to podfruwając, to odlatując od wabiącego ją źródła światła. Ciekawość wzięta jednak górę, ćma zbliżyła się zbyt blisko ognia. Sekundę później skrzydła

owada stały się wspomnieniem. Owad runął w dół niczym Dedal lądując w miniaturowym morzu, wypełniającym brzegi kieliszka, z którego Bandyta sączył wino.

- Tak szkoda. – podsumował większy pająk. – Chodźmy nim olbrzym się zbudził! ponaglał kolegę.
- Mniejszy pająk posłuchał. Ruszył za swoim nauczycielem. Chwilę później Dima sięgnął po kieliszek. Nitki pajęczyny pętkły niczym bańka mydlana. Po sieci nie pozostał ślad.
- Kurwa mać! – powiedział Bandyta wylewając resztkę Cristobala do stojącego pod stołem wiadra. – Pieprzone robactwo, wszędzie go pełno. Chyba musimy znowu pobielić ściany wapnem... Jak sądzisz? – zwrócił się Dima do siedzącej przy fortepianie Galiny.
 - Mam nadzieję, że uda im się. – odpowiedziała wyrwana z zamyślenia kobieta.
 - Komu? Malarzom? – spytał Dima zaskoczony odpowiedzią. – Co za problem pobiałkować ściany. Nawet największe cymbały spośród naszych nie są w stanie tego

spierdolić.

- Ach... – westchnęła kobieta. – Zamyśliłam się. Muzyka mistrza zawsze wprawia mnie w melancholijny nastrój. Myślałam o pierwszy dniu w Zonie. O co pytałeś?
- Już o nic. Trzeba odświeżyć pokój, bo szwenda się tu masa robactwa. Wyłażą dosłownie z każdej dziury i szczeliny. Jeden taki chuj spróbował nawet utkać pajęczynę pomiędzy połami mojego płaszcza, ale gdzieś się ulotnił. – Zaśmiał się Bandyta. Bardzo ładna melodia, tylko strasznie smutna. Wagner?
- Oj Dima. Słabą masz pamięć. Wagnera puszczałam ci przed szturmem na bazę Powinności. Z adaptera. Do dziś liżą rany po tym ataku. Świetnie go poprowadziłeś.
- Taaa, stare dzieje. – rzucił krótko Tatarenko. – Ale wracając do rozmowy, o kim wspominałaś wcześniej?
- Wysłaliśmy do Czarnego Bagna oddział badawczy. Pamiętasz?
- Jakoś słabo kojarzę. – stwierdził Dima. – Tyle się ostatnio

działo, że gdzieś mi to umknęło z pamięci.

- Miał wrócić cztery dni temu. Nie martwiłabym się tak bardzo, gdyby to był dzień, dwa... Coś się musiało wydarzyć. Nikt do tej pory nie wrócił...
- Jak dawno temu wyruszyli?
- Jakies dwa tygodnie temu. Puściłam za nimi Ducha, żeby trzymał rękę na pulsie.
- Są jakieś wieści od niego?
- Kompletna cisza... Nie odezwał się. – powiedziała cicho Galina.
- Trzeba tam kogoś wysłać. Za dużo zainwestowaliśmy w tą operację. Dwa kombinezony ochronne to kupa szmalu nie licząc broni i osprzętu. Jutro pošlemy tam tropicieli.
- Dobrze. Zorganizuje wyprawę, a ty tymczasem odpręż się. Doleję ci wino. – powiedziała Galina rozlewając resztę zawartości butelki do dwóch stojących na stole kieliszków. Kobieta usiadła obok Dimy na miękkiej sofie i przytuliła się do Bandyty przykładając głowę do jego płaszcza. Płaszcz, który

pachniał wonią śmierci, dymem papierosowym, taną wódką i prochem.

- Wróć. – Dima pogładził Galinę po włosach. – Musi się udać. Dostali najlepszy sprzęt.
- Tak sądzisz? – spytała dziewczyna obejmując Bandytę.
- Jestem tego pewien. – odparł Tatarenko. – Okolice Czarnego Bagna są prawie wymarłe. Wątpię, by kogoś tam spotkali. Mutanty też się tam nie kręcą. Zbyt łatwo wpadają w te cholerne doły pełne czarnej mazi i nie mogą potem z nich wyleźć. To je odstrasza. Nic, tylko szukać artefaktów i modlić się, byśmy znaleźli to, co szukamy. A jeśli już to znajdziemy, to opuścimy wreszcie to przeklęte miejsce! – Oczy Dimy zalśniły w mroku niczym dwa diamenty.

Intymny nastrój panujący w pokoju zmąciło pukanie do drzwi. Chwilę później, za pozwoleniem Dimy, do pomieszczenia wszedł Bandyta zwany Bestią – jeden z członków straży przybocznej Tatarenki strzegący drzwi do jego prywatnej kwatery.

- Wróciła wyprawa z Czarnych Bagien. – rzucił lakonicznie.
- Jaki stan? – spytał Tatarenko.
- Przeżył tylko Sztylet. Reszta nie żyje, napadły na nich pijawki koło starego młyna w drodze powrotnej. Wykończyły wszystkich. Kombinezony i broń też przepadły, bo Sztylet nie miał jak ich zabrać. Ledwo co uciekł. Kłapa na całego. Dima zasępił się. Wyprawa poniosła klęskę. Stracił ludzi i sprzęt, co zwiastowało kłopoty. Wielu czekało, aby powinęła mu się noga i popełnił błąd. Zdenerwowany wstał z kanapy i ruszył do drzwi. Kieliszki z winem stały obok siebie nie tknięte. Aura romantyzmu zniknęła, zastąpiła je szara rzeczywistość. Bandyta wyszedł z pomieszczenia i zszedł po popękanych schodach do hali fabrycznej. Na środku stał Sztylet. Wyglądał, jakby zaraz miał wyzionąć ducha. Jego wygląd utwierdził Dimę, że Bestia miał rację. Wszystko poszło nie tak, jak trzeba. Tatarenko podszedł bliżej. Tłum rozstąpił się wpuszczając go do środka okręgu, który utworzył się dookoła przbyłego bandyty.
- Melduj. – powiedział Bandyta do słaniającego się na

nogach mężczyzny.

- Dotarliśmy do bagna bez problemów. W anomaliach nic nie znaleźliśmy, ale kombinezony sprawiły się bardzo dobrze. W końcu uznaliśmy, że pora wracać, bo nic nie znajdziemy. Nie mieliśmy farta. – wysapał Sztylet. – Wszystko szło dobrze dopóki nie dotarliśmy do starego młyna...
- Słyszałem. Pijawki was zaatakowały. Podobno zabiły resztę... Ile ich było?
- Nie pamiętam, dwie, albo trzy. Wszystko się tak nagle potoczyło...
- I nie byliście się w stanie przed nimi obronić? Przecież było was tam dwunastu. Nie mów mi, że rozwaliły was jakieś durne dwie pijawy. Nie wysłałem was tam z obrzynami, mieliście najlepszy sprzęt.
- Zaskoczyły nas. Maczugę i Waleta zabiły od razu, nie zdążyli nawet wyjąć broni. Wywiązała się strzelanina, ale były cholernie szybkie. Zabiły Śledzia, a Wasyla omal nie rozcięły na pół. Wykrwawił się biedaczek chwilę później.

Potem z młyna wypadły jeszcze dwie maskary zwabione walką i zapachem krwi.

- A Talib? Miał przecież RPK. Powinien rozsmarować to cholerstwo po ziemi!!! – powiedział wściekły Dima.
- Zdążył zastrzelić jedną, ale druga nieomal urwała mu głowę. Nie mieliśmy żadnych szans szefie... Wyrznęły wszystkich w pień. Tam musiało być ich gniazdo, w tym starym młynie...
- Dziwne... – powiedział zrezygnowany Dima. – Nigdy nie było tam mutantów. Rozumiem, że sprzęt został tam na miejscu.
- Tak. Nic nie zabrałem, bo nie miałem jak. Ledwo stamtąd spierdoliłem. Jeśli go ktoś nie zabrał, to pewnie tam leży.
- Powiedz mi Sztylet, jak to się stało, że wszyscy nie żyją, a tobie się udało zwać? Bardzo mnie to zastanawia.
- W trakcie walki jedna z pijawek rzuciła się na mnie. Drasnęła mnie, wpadłem w krzaki. Karabin mi gdzieś upadł, nie mogłem go znaleźć. Myślałem, że zaraz mnie wykończy,

ale rzuciła się na kogoś innego. Chwilę potem pijawki zabiły wszystkich chłopaków. Nie mieli szans. W tym młynie było ich chyba całe stado. Zacząłem się czołgać w stronę Kordonu. Pijawki nie zwracały na mnie uwagi. Może mnie nie widziały, nie wyczuły, nie wiem. Zaczęły konsumować zwłoki. Odczołgałem się na bezpieczną odległość i uciekłem stamtąd. Ledwo tu dotarłem, bo pistolet też mi musiał gdzieś wypaść, jak czołgałem się przez te zarośla. No cóż. Nie mam podstaw, by ci nie wierzyć. Nigdy mnie nie zawiodłeś. Szkoda sprzętu, ale mówi się trudno. Nie opłaca się tam wracać, już za duże straty ponieśliśmy. Może wytrujemy to dziadostwo, jak załatwię Sarin od Wojska, ale nie jest to naszym priorytetem. Są ważniejsze sprawy, niż użeranie się z pijawkami. – podsumował Tatarenko.

- Szeffie, a co z zapłatą? – spytał zmęczony Sztylet.
- Achh... Zapłata... Anomalie sprawdziliście, czyli kontrakt wykonaliście. Nie twoja wina, że straciliśmy sprzęt. Stało się, jak się stało... Dostaniesz forszę za wszystkich chłopaków,

bo taka była umowa. Sześćdziesiąt patoli. Całkiem sporo...

Jesteś bogaty Sztylet, uśmiechnij się. – powiedział

Dima. – Możesz kupić sobie niezłego gnata lub pancerz, pobalować u Małpy lub Kapitana z miesiąć, może nawet wybrać się gdzieś na dziewczynki... Przyjdź do mnie po forszę, jak się już ogarniesz. – zakończył Dima.

- Brawo!!! Co za piękna historia! – powiedział Duch klaszcząc w dłonie. Tłum rozstał się i do wnętrza zgromadzonego wobec Dimy, Galiny i Sztyleta, okręgu wszedł jeden z Bandytów niosąc w ręce jutowy worek.
- Byłbyś Sztylet niezłym bajkopisarzem. Nie myślałeś o wydaniu książki? – dodał po chwili.
- O czym ty Duch gadasz??? – spytał zdziwiony Sztylet.
- O czym ja gadam? Może byś opowiedział kolegą, co wydarzyło się koło młyna?
Tylko tą prawdziwą historię, a nie bajeczkę, którą przed chwilą zaserwowałeś wszystkim.
- Jak to? – Sztylet zbladł. – Było tak, jak mówię. Maczugę

zabiła pijawka, Waleta zresztą też...

- Dość! – przerwał mu Duch wyciągając coś z worka. Powiedziawszy to uniósł przedmiot do góry. Była to ludzka głowa kogoś, kogo Bandyci zwali Waletem.
 - Ludzka głowa, pchii. – wydał wargi Sztylet. I po co ją tu przyniosłeś? O czym to ma świadczyć? Że Walet nie żyje? Skoro tak, to mam rację!
 - Tak, Walet nie żyje. Tylko ciekawe, dlaczego zamiast śladów macek, Walet ma dziurę w głowie po strzale z pistoletu. Nie wiem, od kiedy pijawki umieją strzelać...
- W sali zapadła niezręczna cisza. Sztylet wbił wzrok w podłogę. Został zdemaskowany.

CZĘŚĆ IV

Podczas, gdy Sztylet tępo wpatrywał się w podłogę, do Dimy podszedł Duch i przekazał mu na ucho jakieś informację. Po chwili rozpląnął się w tłumie wraz z niezręcznym pakunkiem,

jakim była głowa Waleta. Nie był już potrzebny, wykonał swoje zadanie, a to, co miało nastąpić w ciągu kolejnych minut, pozostało w gestii jego szefa. Dima również nie miał zamiaru tracić reszty dnia na dywagacjach nad losem zdrajcy, ale po skonfrontowaniu tego, co powiedział mu Duch, a tym, co przed chwilą usłyszał od Sztyleta, stwierdził, że coś śmierdzi w całej tej sprawie. Postanowił się tego dowiedzieć, zanim wyda winowajcę w ręce plutonu egzekucyjnego.

- Coś mi kurwa nie pasuje w całej tej historii... Powiedziałeś, że kombinezony były w porządku, ale Duch nie odnalazł ich. Możesz powiedzieć, co się z nimi stało? Zajebałeś je?
- A jakie to ma znaczenie? I tak za parę minut będę martwy. Kombinezony zostały na Bagnach. Chcecie, to sobie je odszukajcie. Przy okazji znajdziecie martwego Kościeja i Magika. Pewnie Duch ci przekazał, że nie mógł odnaleźć ich ciał.
- Zgadza się. I mam wrażenie, że masz z tym dużo wspólnego. Gadaj bo zmienię zdanie i każę cię sprowadzić

do lochów pod halą. Chyba nie chcesz tego?

- Prowadź! – powiedział hardo Sztylet. – Chuj mi zależy. I tak jestem martwy!
- Ehhh... – pokręcił głową zrezygnowany Tatarenko. – W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Poza tym idzie emisja i nie mam ochoty bawić się dzisiaj w kata. Mam lepszy pomysł. Powiesz, czemu zabiłeś Waleta, albo każę zaprowadzić cię pod wioskę Stalkerów i przywiązać do pierwszego lepszego drzewa. Na pewno szybko znajdziesz tam nowych kolegów. Zwłaszcza wśród tych, których skrociłeś, lub którym zabiłeś przyjaciół. Myślę, że moje zabawy z obcęgami i rozżarzonymi węglami będą niczym wobec tego, co cię tam czeka – powiedział Dima drwiącym głosem. – To jak? Idziemy na mały spacer do Kordonu?
- Dima powiedz mi, co byś zrobił, gdyby ktoś chciał cię wydymać? – zapytał Sztylet.
- Zrobiłbym mu z dupy jesień średniowiecza. Nie jestem dziwką, żeby ktoś mnie mógł bezkarnie dymać. Proste.

- Otóż to! Walet był sukinsynem, który nie tylko chciał wydymać ciebie, ale także mnie, członków wyprawy oraz wszystkich tu zgromadzonych. Dlatego dostał w czapę. Tak, strzeliłem mu prosto w łeb! Ale czemu to zrobiłem, nikt nie zapytał...
- W takim razie oświeć nas. Jesteśmy ciekawi, jakież to ciekawe wydarzenia na Bagnach ominęły nas.
- Dajcie wódki! Muszę się napić...
- Galina, idź na górę i przynieś dwie flaszki – powiedział Dima do stojącej obok kobiety.
- Niech stracę. To niewielka cena za poznanie prawdy. I niech ktoś skombinuje mu krzesło. Czuję, że trochę potrwa, zanim się wszystkiego dowiemy.

Chwilę później Sztylet siedział na środku sali z butelką alkoholu w ręce. Nerwowo palił szluga zaciągając się nim łapczywie. Nic dziwnego, ostatni raz w swoim życiu czuł w płucach gryzący dym papierosowy. Papieros topniał z każdym pociągnięciem, niczym świeca wystawiona na mękę płomienia. Gdzieś

w górze ktoś cicho szeptał. Może to Charon, który zapraszał go do swojej łodzi, a może to tylko ptaki gnieźdzące się na dachu starej hali oznajmiały sobie, że nadchodzi skąpany w purpurze władca zony? Czy miało to jakieś znaczenie? Wątpił... Za parę, może paręnaście minut, jeśli przeciągnie historię, ujrzy swoje przeznaczenie. Kotły z wrzącą smołą i olejem, maszyny do łamania kołem i zastępy czerwonych pomiotów lubieżnie torturujące nieszczęśników w kakofonii wrzasków i jęków. Piekło miało się stać jego drugim domem i wiedział o tym. Nie na darmo ochrzczono go w stalkerskim światku Sztylet. Czas umierać – pomyślał opróżniając w dwóch łykach kolorowe szkło Kozaka. Alkohol rozluźnił zmęczone wyprawą mięśnie, sprawił, że czas stanął w miejscu. Porcja płynu z drugiej butelki spowodowała, że język rozwiązał się i bandyta zaczął opowieść:

Podróż na Bagna zajęła nam trzy dni. Dni, które minęły bezproblemowo, bo nie napotkaliśmy żadnych trudności po drodze. W radosnej atmosferze Magik i Kościej rozpoczęli przeszuki-

wanie Czarnego Bagna z nadzieją na znalezienie poszukiwanego artefaktu, ale efekt był mizerny. Cieszyło nas, że kombinatory sprawowały się świetnie. Bez problemu można było w nich wchodzić w Spalacze, Elektro i inne anomalie. Chroniły też dobrze przed promieniowaniem, wskutek czego udało się nam eksplorować większą część bagien. Niestety, bezskutecznie. Nic nie znaleźliśmy. Na koniec drugiego dnia doszło do kłótni między Waletem, Maczugą, Magikiem i Kościejem. Grozili sobie nawet bronią i nieomal się pobili. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, o co poszło. Następnego dnia Magik i Kościej poszli ponownie przeczesywać anomalie. Ale nie wrócili na czas. Coś było nie tak... Wreszcie, po prawie dwóch godzinach, zjawili się. Staniali się na nogach, co chwilę któryś wymiotował pianą. Zdjęliśmy im hełm i podaliśmy cały zapas leków, jakie mieliśmy. Większość z nich to były jakieś witaminy i środki przeciwbólowe, które miał jeden z chłopaków. Leków antyradiacyjnych mieliśmy tylko trzy porcje. Czyli tyle, co nic... Zaaplikowaliśmy im, co było, ale po to tylko chyba, żeby zabić sumienie, bo medykamenty,

które posiadaliśmy, nie mogły im pomóc. Nie było dla nich ratunku, otrzymali zbyt dużą dawkę radiacji... Kościej zmarł po jakiś pięciu minutach po podaniu leków. Walet wraz z Maczugą stwierdzili, że kombinezony musiały być trefne i poszli zakopać gdzieś Kościeja, żeby, jak to powiedzieli, nie świecił nam pod nosem. Ja zostałem z Magikiem, bo reszta postawiła na nim krzyżyk i poszła pić. Stan Magika był fatalny. Bełkotał coś o jakimś kamieniu i bramach czasu. Uznałem to za majaczenia konającego, więc nic się nie odzywałem. W międzyczasie wrócił Walet z kompanem, ale byli jacyś wkurwieni. Zaraz przyszli do mnie i pytali, czy Magik mówił coś ważnego i czy czasem czegoś nie dał mi. Powiedziałem, że...

– Sztylet, streszczaj się! – powiedział rozdrażniony

Dima. – Nie mamy całego dnia na twoje opowiadki. Emisja idzie do kurwy nędzy! Tak że do rzeczy! Pij tą flaszkę i kończ spowiedź.

– Powiedziałem, że nic mi nie dał i nie mówił nic sensownego... – podjął opowiadanie bandyta. – Mogę

kontynuować?

– Tak, tylko mniej pierdolenia Sztylet, a więcej faktów.

– Dobra. Dalej było tak:

Magik wytrzymał jeszcze godzinę, potem wykitował. Przed śmiercią dał mi jakąś mapę z dziwnymi znakami, ale Bóg wie, co wskazywała. Wspominał też o filtrach, ale ciężko go było zrozumieć. Chwilę potem zjawił się Walet z Maczugą i znów truli mi dupę, czy Magik przed śmiercią mi coś dał lub czy coś mówił. Oczywiście skłamałem. Wkurwieni poszli zakopać go gdzieś na bagnach. Nie było ich z dwie godziny. Wrócili jeszcze bardziej rozdrażnieni i przestali z kimkolwiek rozmawiać. Siedzieli z daleka od wszystkich i debatowali. Koło dwunastej w nocy coś mnie tknęło. Dodałem dwa plus dwa i nagle dostałem olśnienia. Wyknałem się z obozowiska i poszedłem poszukać ciał Magika i Kościeja. Znalazłem ich z jakieś pięćset metrów od obozu... Nie zakopanych... Kombinezony mieli pocięte na wióry. Wtedy, w mojej głowie, jak wielki neon, rozblysnął napis: FILTRY. Sprawdziłem je. Bardzo zmyślnie ktoś je uszkodził. Na tyle ma-

to, aby Magik i Kościej mogli wrócić z bagien, ale na tyle też skutecznie, żeby nie przeżyli tej wyprawy. A kto mógł to zrobić? Patrząc na pocięte kombinezony odpowiedź była tylko jedna: uczynni grabarze.

- Sugerujesz, że Walet z koleżką popsuli celowo filtry?
- Nie sugeruję. Ja to wiem! Kombinezony działały przez dwa dni dobrze, a potem się popsuły? Idiotyzm...
- No dobra, a gdzie mapa?
- Do mapy dojdziemy – powiedział Sztylet pociągając łyka Kozaka. – Dajcie mi skończyć.
- Kończ w takim razie, bo mało czasu zostało.

No więc, wróciłem do obozu przed świtem. Wiedziałem, że mamy w szeregach zdrajców, ale co mogłem zrobić. Otwarta konfrontacja skończyła by się masakrą. Postanowiłem udawać, że o niczym nie wiem i niczego się nie domyślam. Ale Walet i Maczuga zorientowali się, że coś wiem. Opuściliśmy obozowisko rano i udaliśmy się do przepompowni, którą wyznaczyliśmy na następne miejsce odpoczynku. Całą drogę Walet i Maczuga obser-

wowali mnie. Pod wieczór wiedziałem, że konfrontacja jest nieunikniona. Ale noc minęła spokojnie, choć nie przespałem ani minuty. Kolejnym miejscem odpoczynku miał być Stary Młyn. Wtedy byłem już pewny, że wszystko rozegra się w nocy podczas postoju. Następnego dnia mieliśmy wejść do Kordonu. Jeśli do czegoś miało dojść, to tylko na Bagnach. I tak się stało, jak myślałem. Upilnowali mnie. Zasnąłem na dwadzieścia minut... Obudził mnie metaliczny posmak broni w ustach i szyderczy uśmiech Waleta, który wykrzywił gębę niczym klaun cyrkowy.

- No, to jesteśmy w domu – przerwał Dima. – Walet chciał ci zajebać mapę, a ty go odpaliłeś. Przy okazji Maczugę też usztywniłeś. Potem wpadły pijawki, zatłukły resztę, a ty spierdoliłeś z mapą. Wróciłeś do obozu i sprzedałeś nam historyjkę o stadzie pijawek, które was zaatakowało, żeby zgarnąć szmal i przy okazji coś, co skitrał Magik. Sprytnie. Gdzie mapa? Duch jej nie znalazł.
- A skąd mam wiedzieć? Uciekłem stamtąd, jak pojawiła się pijawka. Była tylko jedna, ale zdążyła na tyle skomplikować

sytuację, że wyciągnąłem schowany na plecach pistolet i wpakowałem Waletowi kulkę między oczy. Resztą zajęła się maskara. Zabiła Maczugę, a potem pozostałych chłopaków. Walet zabrał im broń, jak spali. Zostały im tylko noże. Nie mieli szans...

- Czyli zostawiłeś bezbronnych kolegów w gównie, a sam zwiąłeś. Pięknie!
 - Kolegów??? Powiedzieli, że mają gdzieś moje porachunki z Waletem i Maczugą i, że nie będą nadstawiać dupy dla jakiegoś papierka. Nie uwierzyli też, że zepsute kombinezony, to była ich sprawka. Byliśmy już prawie w Kordonie, każdy myślał o forsie, jaka na niego czekała, a nie o komplikowaniu sobie życia.
 - Ehhh, kurwa... Powinniście się na Bagnach pozabijać i miałbym z wami święty spokój – podsumował Tatarenko. – Co jeden z was, to lepszy.
- Po krótkiej chwili Dima podwinął rękaw swojego płaszcza i wyciągnął rękę. Na jej wewnętrznej stronie widniał wytatuowany

napis:

AVE CAESAR MORITURI TE SALUTANT

- Czytaj! – powiedział stanowczym głosem szef Bandytów.
- Witaj Cezarze, idący na śmierć pozdrawiają cię.
- Wiesz, co to znaczy?
- Nie rób sobie jaj Dima. Mam taki sam napis. Jak każdy tutaj.
- Wiesz, czemu tatuujemy go każdemu, kto do nas dołącza? Bo stanowi to esencję naszego kodeksu. A mówi on o tym, że nie zdradza i nie oszukuje się kolegów. Dlatego każdy, ale to każdy z nas, ma ten jebany napis! Zostawiłeś ich na pewną śmierć i chciałeś nas wyrolować! Rozumiem też, że mapy nie masz, i nie wiesz, gdzie jest.
- Możesz mnie torturować. I tak ci nie powiem, gdzie jest mapa, bo nie mam pojęcia, co się z nią stało. Jeśli Duch jej nie znalazł, to widocznie ktoś w międzyczasie musiał obrabować trupa Waleta.
- Może tak, a może nie. Nie będę wnikał. Mapa nie jest mi potrzebna do szczęścia. Kombinezony zostały zniszczone,

broń zniknęła, a poszukiwanych artefaktów nie znaleźliście.

Porażka na całej linii... Warto było? – dodał po chwili Dima.

- Nie wiem... – powiedział Sztylet dopijając Kozaka.
- Nie miałem wyboru. Zostałem wplątany w intrygę, w której nie chciałem brać udziału. Walet chciał mnie zabić, dlatego zginął. A chłopaki... Cóż, powiedziałem im o całej sytuacji, ale olali mnie. Może im Walet coś obiecał, nie wiem. A może nie chcieli kłopotów, ciężko stwierdzić. Sami są sobie winni. Walet też ich wystawił, zabierając im broń, ale skąd mieli wiedzieć, że tak się sytuacja skomplikuje.
- Nie mogłeś powiedzieć od razu, co się wydarzyło na Bagnach? Miałbyś chociaż rozprawę.
- I co by mi to dało? – spytał drwiąco Sztylet. – W najlepszym wypadku ugrałbym konfiskatę mienia i deportację z Zony, ale podejrzewam, że nie zdążyłbym z niej wyjechać. Walet i Maczuga mieli dużo kolegów... Pewnie zginąłbym, zanim dojechałbym do Kordonu.
- Być może, ale ocaliłbyś życie. Okłamując nas wybrałeś

śmierć.

- W taki razie kończmy ten cyrk. Zwołaj pluton egzekucyjny i miejmy to już za sobą – powiedział Sztylet wstając z krzesła. – Jako skazany na śmierć mam prawo do jednego życzenia zgodnie z kodeksem Bandytów. Czyż nie, Dima?
- Owszem. Pod warunkiem, że będzie to coś rozsądnego...
- W takim razie proszę o komisyjne otworenie po śmierci mojej skrytki i sprzedanie całej jej zawartości po aktualnych cenach handlowych. Zebrane w ten sposób pieniądze przekażcie na konto mojego syna, Igora. Leży na oddziale onkologii szpitala Św. Łukasza w Mińsku – dokończył ze łzami w oczach Sztylet.

Dima podrapał się po głowie. Takiego zakończenia nie spodziewał się. O różne rzeczy proszono przed śmiercią, ale to życzenie zaskoczyło go. Zasadniczo nie miał nic przeciwko temu. Rzeczy nie były kradzione. Sztylet sam na nie zarobił swoją ciężką pracą. Postanowił jeszcze o coś spytać.

- Nie mówiłeś, że masz syna... Podejrzewam, że przez to

skomplikowałeś tak sobie życie. Zgadza się?

- Tak. Nie miałem wyboru. Trzeba było szybko działać. Cały plan zrodził się właściwie w momencie, kiedy zaatakowała nas pijawka. Postawiłem wszystko na jedną kartę. Widocznie na nie właściwą. Skąd miałem wiedzieć, że w talii, którą grasz, jest joker, który zwie się Duch?
 - Nie wiedziałeś. Zresztą ja też nie. Galina go wysłała. Wyroku nie cofnę, oszukałeś nas. Natomiast cały twój sprzęt zostanie sprzedany zgodnie z twoim życzeniem. Co prawda niechętnie, ale zgodnie z kodeksem Bandytów, skazuję cię na śmierć przez rozstrzelanie za oszustwo i nie udzielenie pomocy kolegom. Straże! Przygotować miejsce stracenia!
- Sztylet usiadł na krześle. Pusta butelka po alkoholu wypadła mu z ręki roztrzaskując się o szarość podłogi. Emocje opadły, zgromadzony dookoła widowiska tłum rozszedł się w harmidrze komentarzy i spekulacji. Zamroczony wódką zamyślił się. Przed oczami ujrzał wychudzoną twarz Igora walczącego każdego dnia o życie. Jak w mantrze, powtarzał cały czas:

– Igorku, starałem się jak mogłem, ale wszystko spieprzyłem.

Wybacz mi...

Lecz syn nie reagował. Z każdą chwilą stawał się coraz mniej widoczny niczym znikający duch. Po kilku chwilach rozplynął się całkowicie w powietrzu, a przed oczami Sztyleta pozostało tylko puste łóżko.

– Nie!!! – krzyknął zrozpaczony mężczyzna. – Nie odchodź!!! – błagał Bandyta.

– Ogarnij się Sztylet – powiedział Bestia łapiąc go obiema rękami za głowę. – Czas na ciebie. Może jednak dziś nie umrzesz... Chociaż wątpię, czy nowa kara będzie mniej bolesna... Galina ubłagała Dimę, żeby odwołał pluton egzekucyjny. Wstawaj, idziemy do starych zbiorników wyrównawczych. Tam dowiesz się wszystkiego.

Pięć minut później Sztylet stał na krawędzi głębokiego na sześć metrów żelbetowego basenu. Dookoła zbiornika piętrzył się zgromadzony tłum, który nie bardzo wiedział, czego oczekiwać po zaistniałej sytuacji. Chwilę później nadszedł Dima w towa-

rzystwie Galiny. Ruchem ręki uciszył zebranych i rzekł:

- Za namową mojej kobiety postanowiłem dać ci szansę – powiedział do stojącego nad przepaścią Sztyleta. Galina poradziła mi, abym zastosował dawno zapomniane prawo, a mianowicie Kodeks Hammurabiego. Sądzę, że lepsze to, niż śmierć przez rozstrzelanie. Wiesz, o co w nim chodzi?
- Mniej więcej... Oko za oko, ząb za ząb. Coś w tym stylu...
- Dokładnie. W rurze doprowadzającej wodę do zbiorników mieszka pijawka. Wpadła do basenów parę dni temu podczas nocnej wizyty. Zabić jej nie ma jak, bo nie chce cholera wyjść na zewnątrz. Uciekła do kanałów i żywi się tam szczurami. I będzie sobie tak wegetować, aż znajdzie sposób, żeby stamtąd zwać. A wtedy... Wtedy będziemy mieli przesrane.
- Rozumiem, że mam tam zejść i ją zabić? Chyba ocipliście!
- Dokładnie. Masz nóż przy sobie, czyli to samo, co mieli chłopaki, kiedy zaatakowała ich pijawka. Myślę, że to

sprawiedliwe. Oko za oko, ząb za ząb...

- Skurwiel z ciebie Dima – wymamrotał z posępną miną Sztylet. – A jeśli się nie zgodzę? – dodał po chwili.
- Chyba nie masz wyboru. – Przewrócił oczami szef Bandytów i wskazał majaczącą się w oddali ścianę, pod którą dokonywano egzekucji.
- Żeby cię zmotywować dam ci te sześćdziesiąt tysięcy rubli jeśli zabijesz pijawkę. Sam zawieziesz forszę do Mińska. O ile uda ci się przeżyć. Jeśli nie, zawiezie ją ktoś inny.

Sztylet nie odezwał się nic. Sprawa była przesądzoną. Obrócił się w stronę basenu i zaczął schodzić w dół po zardzewiałej drabinie. Tymczasem na górze wrzało. Bandyta zwany Dolarrem zbierał zakłady, kto zwycięży. Za pijawkę płacił dwa do jednego. Za Sztyleta dwanaście. Na tyle wycenił szansę przeżycia swojego kompana. Chwilę później skazaniec znalazł się na dnie zbiornika. Ku ogólnemu zdziwieniu nie ruszył jednak w stronę kanału wlotowego, gdzie mieszkał mutant, lecz stał oparty plecami o drabinkę i czekał. Minuty mijały, a tłum darł się z nieza-

dowolenia. Pijawka również nie wykazywała chęci opuszczenia swojego nowego legowiska.

- Co to kurwa szachy, czy co!? Niech że ruszy dupsko i idzie ją zabić! Zaraz będzie Emisja, a ten ciul stoi pod drabiną i czeka na Bóg wie co – zaklął zdenerwowany Dima.
- Zrobiłbym tak samo – odparł stojący obok Duch.
- Nie rozumiem...
- Widzisz Dima, tam w kanale, Sztylet nie ma żadnych szans. Dlatego czeka, aż potwór wyjdzie na zewnątrz. I doczeka się, bo pijawka musi zaatakować. Zbyt długo żywiła się szczurami, żeby przeżyć kolejne dni. Jeśli za długo będzie zwlekać, to zamiast obiadu dostanie popcorn. Emisja idzie...
- Sprytnie – przytaknął Dima. – Zatem czekamy.

I istotnie, po chwili, z głębi kanału doprowadzającego wodę do zbiorników, doleciał przerażający ryk. Parę sekund później oczom zgromadzonych nad basenem ukazał się pijawka. Powoli zbliżała się w stronę drabiny. Sztylet również zauważył ją i przygotował się na atak. Dima obserwował wszystko z góry.

Dokładnie widział, jak mutant znika, by uderzyć znienacka. Parę sekund później Sztylet obficie krwawił. Odparł atak, ale łapa pijawki rozorała mu paskudnie ramię. Nim ochłonał, nastąpił drugi, który zdewastował mu dłoń. Sztylet spojrzał bezradnie na drabinkę. Z takimi ranami nie miał żadnych szans na powrót na górę. Pozostało walczyć.

- Tylko jak? – pytał sam siebie oglądając poranione kończyny. – Ledwo trzymam ten pieprzony nóż. Następny atak mnie zabije... Myśl! – powtarzał sobie. – Musi być jakiś sposób, żeby ją zabić.

Podczas, gdy pijawka szykowała się do ostatniego ataku, Sztylet ruszył w stronę wielkiego zaworu wystającego ze ściany dzielącej basen. Pokrętko to opuszczało i podnosiło grodz, która rozdzielała rezerwuar na pół. Kiedy znalazł się przy zaworze, zacisnął zęby i szarpnął kołem. Ani drgnęło. Słyszał jak bestia przedziera się przez sterty mebli i elektro śmieci, lecz nic nie mógł zrobić. Cholerny zawór zardzewiał do reszty. Zdesperowany odrzucił nóż i wziął z posadzki kawałek metalowej ru-

ry. Używając jej jako dźwigni opuszczał stopniowo grodz, lecz tempo, z jakim to robił, przypominało ruchy ślimaka. Tłum zamarł. Obserwował w milczeniu wysiłki byłego towarzysza, lecz nikt nie wiedział, po co Sztylet opuszcza stalową płytę. Zasuwa była jakieś pół metra nad ziemią, kiedy pijawka przedarła się przez ostatnie zwały złomu. Sztylet obrócił się. Dziesięć metrów dzieliło go od zipiącej kreatury. Naparł z całej siły na rurę. Zawór jęknął i zrobił pół obrotu, które kosztowały go życie. Grodz z łoskotem opadła na dół zagłuszając częściowo jęki syreny oznajmiającej Emisję. Parę chwil później zwierzę szybko wyssało krew z rannego bandyty i ruszyło w stronę swojego lokum w kanale, by schronić się przed nadciągającą zagładą. Lecz drogę odwrotu blokowało masywne cielsko stalowej płyty, które tak mozolnie opuszczał jej niedawny posiłek. Została uwięziona.

Na krawędzi zbiornika stał Dima. Samotnie obserwował jak monstrum pozbawiało życia jednego z jego najlepszych ludzi. Jednak nie kłamał – pomyślał szef Bandytów. Ostatni raz spoj-

rzał na wymięte implozją ciało Sztyleta, po czym przeniósł wzrok na pijawkę. Bezradnie tłukła łapami o pokrytą strupami rdzy stal. Mutant wyczuł, że ktoś go obserwuje. Wściekły spojrzał w górę.

– Szach i mat! – rzucił Tatarenko do uwięzionego zwierzęcia, po czym pobiegł przez pokryty błotem dziedziniec w stronę najbliższych zabudowań.

Ścigany okrutnym rykiem konającej pijawki schronił się w mordowni zwanej Zamulonym Sterem. Pół minuty później nastąpiła Emisja...

KONIEC

Grób Agamemnona

Oto i jest. Owoc wczorajszego nocnego słuchania jazzu i twórczości Leszka Kaźmierczaka zwanego w muzycznych kręgach pod pseudonimem Eldo.

Trzecia wieczorem. Piszę samotnie w ciszy rozdartej blaskiem świecy. W pokoju pachnie cynamonem i czarnym, jak noc atramentem, który nie chce sklejać się w żaden sensowny tekst. Słodki zapach łechtą miłe zmysł powonienia i sprawia, że czuje się głodny na myśl o plackach, które kilka godzin temu jadłem. Po kolacji pozostał tylko ślad w formie porośniętych tłuszczem talerzy i butelki czerwonego wina – sprawcy plam na ostatnich kartkach pergaminu, jakie posiadam. Papier i stół pokryty kroplami taniego bożole wygląda niczym sceneria do kiepskiego filmu grozy, ale nie dbam o to. Posprzątam później.

Najważniejsze, by przyszła Erato. Tylko na nią czekam. Tylko jej dziś pragnę. Niestety, Erato zawiodła mnie. Zamiast niej pojawił się na parapecie spasiony kot barwy węgla, który miauczeniem zaczął domagać się, a bym go wpuścił do środka. Parszywe bydlę – pomyślałem. Będzie mi koncerty pod oknem urządzał. Spróbowałem zignorować nocnego gościa, lecz zwierze było metodyczne. Niczym zacięta płyta gramofonu powtarzało: miauu! kręcąc się po parapecie. Zirytowany otwarłem okno i spoj-

rzałem w ciemność. Chłostane wiatrem wierzby pochylały się na boki i garbiły pod strugami wody ciekącej z nieba. Chodź przyjacielu – powiedziałem, wpuszczając kota do pokoju. Zwierzęcia nie trzeba było zapraszać, szybko wślizgnęło się do pomieszczenia. Zamknąłem delikatnie butwiejące okiennice bojąc się, by nie rozsypały się w pył, po czym wróciłem do pisania zostawiając gościa własnemu losowi. Minuty mijały, a wena nie przychodziła. W pół do czwartej byłem przekonany, że mój list miłosny nie zostanie ukończony dzisiejszej nocy. Nic, będę się musiał wstrzymać jeszcze trochę ze swoimi amatorami – pomyślałem, zwijając w rulon płachty pergaminu. Schowałem papier, tusz i gęsie pióro do szuflady, zgasilem świecę, po czym ruszyłem po omacku w stronę sprężynowego łóżka. Chwilę później leżałem skonany na wygniecionym materacu. Obok mnie spał futrzany osobnik, o którym kompletnie zapomniałem. Ciekawe, jak cię zwą koleżko? – zamyśliłem się i pogłaskałem kota. Ku mojemu zdziwieniu, pod palcami, wyczułem coś twardego. Obroża? Dziwne, nie zauważyłem jej wcześniej... Wyciągnąłem z

kieszeni spodni PDA i skierowałem emitowany przez urządzenie snop światła w stronę zwierzęcia. Istotnie, kot miał obroź. Ba, była do niej nawet dołączona przywieszka. Poświeciłem bliżej. Na metalowej blaszce widniał napis. Zbliżyłem urządzenie na tyle blisko, by móc odczytać inskrypcję, i przeliterowałem:

M – E – F – I – S – T – O – T – E – L – E – S

W gardle zaschło mi z wrażenia, a żołądek zaczęła wypełniać wielka gula, która rosła z zatrważającą szybkością. Poczułem się tak, jakby ktoś uderzył mnie w głowę gigantycznych rozmiarów młotem. Wróciły wspomnienia sprzed dwóch lat. Przed oczami, jak w kalejdoskopie, przesuwały się kolejne obrazy z przeszłości: ogromne granity, rozbite PDA, wykrzywione szatańskim grymasem twarze i światła Hangaru w oddali – tak bliskie, a zarazem tak dalekie.

Tej nocy Zona oddychała ciężko i niespokojnie. Śniły się jej koszmary, w których królowały demony, a my postanowiliśmy ją obudzić wkraczając w jej najbardziej intymne tereny. Zapłaciliśmy za to najwyższą cenę... Czerwony Las nas styranizował

i zdeptał. Wycieńczeni, ścigani przez nocne służby zła, uciekaliśmy na oślep, aż natrafiliśmy na zwałowisko kamieni, które miało być naszym schronieniem. Dla Witka okazało się grobem, nie przeżył tej nocy... Zmarł wewnątrz niewielkiej komnaty, która utworzyła się pod spiętrzonymi głazami. To pod nie wczołgaliśmy się próbując ocalić życie. W objęciach skał postanowiliśmy doczekać dnia. Szybko okazało się jednak, że Witek odniósł poważniejsze rany, niż nam się na początku wydawało. Obandażowałem zranione miejsca, podałem leki, lecz nic nie mogło zatrzymać infekcji. Nie mieliśmy odtrutki na wprowadzony do organizmu wirus. Nikt jej nie miał. Wątpię, czy nawet istniała. Poczułem się bezsilny. Postanowiliśmy wezwać pomoc przez PDA. Bezskutecznie. Moje urządzenie gdzieś zniknęło. Aparat kolegi, choć funkcjonował, był bezużyteczny. Potrzaskany, ledwo reagował na bodźce i co chwilę zawieszał się lub gubił obraz. Witek zamachnął się i rzucił nim ze złością o ścianę. Siedzieliśmy tak po ciemku w milczeniu, zrezygnowani, zmarznięci i pokonani. Za kilka godzin miał się rozegrać dramat, o

którym nawet nie chcieliśmy myśleć.

„Niech fantastycznie lutnia nastrojona

Wtóruje myśli posępnej i ciemnej;

Bom oto wstąpił w grób Agamemnona,

I siedzę cichy w kopule podziemnej,

Co krwią Atrydów zwalana okrutną.

Serce zasnęło, lecz śni. – Jak mi smutno!”

Powiedział Tokarczuk, przerywając posępną ciszę. Uśmiechnąłem się i spojrzałem w stronę niewielkiego otworu pomiędzy kamieniami, przez który wpadał do wnętrza jaskini blask księżyca.

- Niezwykle trafne określenie sytuacji – skomentowałem dobrze mi znany fragment. – Szkoda, że cytujesz go w tak fatalnym dla nas położeniu.
- Poezja nie wybiera czasu, ani miejsca. Po prostu jest, towarzyszy nam każdego dnia. Pamiętasz, jak się poznaliśmy? Jakimi słowami mnie przywitałeś?
- Pamiętam – odpowiedziałem, przypominając sobie

wiosenny wieczór 1988 roku.

W tle Wawel, przed nami rozplywające się w tafli Wisły, niczym impresjonistyczne malunki, światła lamp biegnących wzdłuż Konopnickiej. I my: ja, Witek, Marzena i Basia. Dwie pary zakochanych, które obrały sobie za miejsce romantycznej randki tą samą ławkę w parku pod siedzibą królów. Po krótkim zapoznaniu piliśmy wspólnie bułgarską Sofię i dyskutowaliśmy nad sensem życia wpatrując się w migoczącą złotem wodę. Marzena i Basia dawno nas zostawiły, ale przyjaźń z Witkiem przetrwała. Razem zdawaliśmy na Uniwersytet Jagielloński, razem zarywaliliśmy noce i szliśmy na wykłady pijani jazzem, który łapczywie chłonęliśmy w Jamie Michalika. Wspólnie czytaliśmy Grę w klasy Cortazara, wspólnie omawialiśmy nieskończoną ilość razy Fausta. Wspólnie wyjechaliśmy też do Czarnobyla po zakończeniu studiów. I to był chyba największy błąd. Gdyby nasze drogi rozeszły się, może Witek by żył do tej pory. Może...

By zapobiec transformacji mój przyjaciel strzelił sobie w głowę o trzeciej nad ranem. Pamiętam tą scenę do dziś. Zmarł z uśmiechem na ustach wypowiadając przed śmiercią swe ulu-

bione słowa: *"Trwaj chwilo, jesteś piękna"*. Takiego właśnie zapamiętałem Witka. Uśmiechniętego chłopaka, który nigdy się nie poddawał i zawsze czerpał z życia garściami.

Retrospekcja skończyła się niczym taśma filmowa zerwana nagłym pociągnięciem ze szpuli. Zaspanym wzrokiem omiotłem pokój. Czarnego jak węgiel kota nigdzie nie było. Przede mną stała Anuszką, moja miłość, i budziła mnie.

- Wstawaj Bogdan. Walerian cię wzywa. Ma dla ciebie jakieś nowe zadanie.
- Pakuj się, wyjeżdżamy stąd! Śnił mi się Witek – powiedziałem roztrzęsiony.
- Ale gdzie chcesz jechać? – zapytała zdumiona kobieta.
- Nie ważne. Byle dalej od tego przekłętego miejsca. Tu czeka na nas tylko śmierć...

Pół godziny później mijaliśmy ostatnie posterunki w Kordonie skryci pod plandeką wojskowego samochodu. Obejmując czulę Anuszkę byłem pewien, że sen, który mi się przyśnił, był znakiem od Witka. Parę dni potem dowiedziałem się, że wioska,

w której mieszkałem, została zrównana z ziemią. Odwiedzili ją Królowie Nocy...



Ric

Frakcja: Czyste Niebo

Ulubiona broń: Noiseless

Viper

15 000 rubli

informacja o utworze, mapa i tym podobne

Woron potknął się i upadł. Po tysiącokroć spalony pył, uniósł się dookoła jego ciała ze spragnionej ziemi, tworząc czarne kłęby. Momentalnie eksplodowała fala gorąca, rozpalając atmosferę i plując ogniem na wszystkie strony. Ciemny, ciasny zaułek między starym murem a zrujnowaną ścianą budynku gospodarczego rozbłysnął nieoczekiwaną czerwienią, której to sam widok powodował ból w oczach. Natychmiast zahuczało od masy płomieni wyrzucanej w chłodne, nocne powietrze. A spośród tego wszystkiego przeraźliwy krzyk i syk palonego kombinezonu.

Zaobserwowana przez nas regularność z jaką anomalia nasilała i łagodziła swą aktywność musiała być błędna. Tyle czasu zmarnowaliśmy na czekanie, aż owe zjawisko wytraci swą moc. Byłem już po drugiej stronie, ale Woron wpadł w sam środek tego piekła, w którym sam Szatan nie powstydziliby się zamieszkać. Czułem to ciepło. Poszarpany, stary Ekolog stanowił tylko namiastkę ochrony, jaką pierwotnie zapewniał. Przez rozszczelnione otwory wdawał się straszliwy żar, który palił skórę i powoli rozlewał się po całym wnętrzu. Gotowałem się. Pot z

twarzy i wydychanego powietrza w okamgnieniu zamienił się w parę, która pokryła całą szybkę. Piekącymi oczyma widziałem wielkie słupy ognia materializujące się metr nad ziemią, a strzelające wysoko w górę niczym sztuczne ognie, a tuż pod nimi mające zarysy Wrona, który czołgał się w moją stronę.

Niewiele myśląc, rzuciłem się prosto pod żywioł. Dałem nura między płomieniami, byle tylko dosięgnąć Wrona.

Potworny ból.

Czułem jak moja skóra, marszczy się i rozrywa się atakowana wrzącym powietrzem. Mój plecak stanął w płomieniach, podobnie jak inne łatwopalne elementy jakie miałem na sobie. Czułem swąd spalenizny – mojego własnego ciała, które topi się i krzyczy. A potem twardy upadek na ziemię tuż pod szalejącą pożogą. Tu było epicentrum – największy żar niczym we wnętrzu ogniska. Czułem się jak kielbasa, którą ktoś włożył w ów żar, który wyciska z niej soki, sprawia, że pęka i marszczy się.

Tak, to idealne porównanie.

Kątem oka dostrzegłem rękę Worona. Dalej nie wytrzymałem i zamknąłem oczy. Zdałem się na refleks. Brakowało mi prawej rękawicy, to też z całej siły wyciągnąłem lewą rękę i dosięgłem dłoni towarzysza. Uściśnął mnie mocno. Widać, że nie zamierzał się poddać – to dodało mi sił. Szarpnąłem najmocniej jak umialem, potem znowu. Szybko wyciągnąłem go spod szalejącej anomalii i rzuciłem pod mur. Póki jeszcze miałem siły, zdjąłem płonący plecak i cisnąłem go daleko od siebie.

Powietrze dookoła nas było gorące, ale w porównaniu z żarem, z którego uciekliśmy, było niczym powiew bryzy. Upadłem tuż koło Worona. Cały czas krzyczał. Żał mi było chłopaka. Znałem go ledwo dwa miesiące, ale w Zonie to wystarczy, by nabrać zaufania. Nigdy nie przypuszczałem, że skończy się to w ten sposób. Uwięzieni w martwej strefie między gołymi ścianami, a rozszalałą anomalią, której nijak nie dało się już wyłączyć. Gdzieś nad nami unosiły się grawitacyjne. Widać było jak wzbudzony pył faluje nienaturalnie pod ich wpływem. Natomiast na drugim końcu ciasnego przesmyku ukrywał się nasz cel, scho-

wany gdzieś między rozrzuconą w bezładzie stertą cegieł.

– Ojciec! Ojciec! – wołał mnie. Tak mnie tu zwali, choć księdzem nie byłem, ani też dzieci nie miałem.

– Dasz radę? – krzyknąłem.

Nie odpowiadał. Nie jęczał już, tylko leżał spokojnie, zupełnie bezwładny. Jego kombinezon był równie podniszczony co mój, a żar wywarł w nim dodatkowe zniszczenia. Czuć było jaki jest nagrany, a roztopione wewnątrz rozlewa się po ciele Worona, klejąc się do skóry. – Nie poddawaj się. Jesteśmy już blisko.

Obróciłem go na plecy. Z szokiem stwierdziłem, iż czarna od ognia szybka hełmu była pęknięta.

– Jasna cholera, nie umieraj mi tu tylko!

Chwyciłem za zaczepy jego hełmu. Nie było syknięcia, ani niczego – zupełnie się rozhermetyzował. Zdjąłem go powoli, uważając na głowę towarzysza. Widok przyprawił mnie o mdłości. Twarz była cała we krwi, wydierającej się spod czarnej, popękanej skóry. Trząsł się, z trudem otwierał usta. Czułem okropny swąd palonych włosów, które zupełnie zniknęły z jego

głowy. Woron, cały czas mocno zaciskał oczy, lecz po chwili próśb otworzył je. Były czerwone, ale reagowały na bodźce, a więc jeszcze mnie widział. Coś jednak było nie tak. Znikł gdzieś blask w jego oczach, patrzył na mnie żałośnie, a każde mrugnięcie sprawiało mu ból.

Gdybym tylko mógł mu teraz jakoś pomóc. Wszystko co miałem spłonęło razem z plecakiem. Wszelkie leki, maści...

- Nie uda się nam... – wybełkotał, dławiąc się i plując krwią.
- Nie pierdol, kurwa. Jesteśmy już tak blisko. Sam przecież tak srałeś się tym artefaktem. Jebane ruble. Jebany kryształ! Spodobały ci się tak bajki o jego mocy, to teraz masz!
- Spierdoliłem. Wybacz.
- Ech... Ale, kurwa – spojrzałem na buchające za nami płomienie. – Jesteśmy w dupie. I jak się teraz stąd wydostaniemy?
- Nie w... Nie wiem.

Spoglądałem na płomienie. Woron też zwrócił w tamtą stronę głowę. A może sama mu opadła? Niekończąca się fontanna

ognia wznosiła się wysoko, rozświetlając okolicę niczym latarnia.

- Nie zgaśnie – wymamrotał.
- Że co?
- Nie zgaśnie. Spłonimy tu.
- Co ty gadasz? – Chciałem go pokrzepić, ale chyba rozumiałem, co miał na myśli. Aktywował anomalie, wyjątkowo siłą w dodatku. Spalacz będzie płonął godzinami, tak jak wtedy, gdy ostatnim razem aktywowaliśmy go dla testów. Spełniły się więc nasze najgorsze obawy. Zostaliśmy tu uwięzieni.
- To koniec, stary. Po... po nas. kurwa.
- Nie łam się, wyciągnę nas stąd jakoś. Tylko mi tu, kurwa, nie umieraj.

Złapałem go i usadziłem w pozycji siedzącej, by nie krztusił się własną krwią. Podniósł, trzęsącą się rękę i wytarł sobie usta. „Może jednak nie jest z nim tak źle”, pomyślałem z nadzieją. Mimo to sam zaczynałem wątpić w powodzenie naszego zada-

nia. Ruszyłbym dalej sam, ale przecież nie zostawię go tutaj. Ja nie z tych. Nie bez powodu noszę ten pseudonim. Żaden kryształ nie jest wart więcej niż prawdziwy stalker. Weszliśmy tu we dwóch i we dwóch stąd wyjdziemy. Zawsze jest jakaś nadzieja. Zawsze jest jakieś wyjście. Tylko gdzie?

Wstałem. Spalone ciało, sprawiało mi straszy ból, a przecież byłem w anomalii zaledwie przez kilka sekund. Mogłem sobie tylko wyobrażać jakie katusze przeżywa teraz Woron. Zacząłem rozglądać się za czymkolwiek, co mogłoby pomóc przyjacielowi.

– Robi się go... gorąco.

Miał rację. Anomalia bez przerwy nagrzewała powietrze. Gotowałem się niemalże jak wtedy, gdy skoczyłem do jej wnętrza. Szybko odciągnąłem przyjaciela kilka metrów dalej. Bałem się jednak iść głębiej. To był jakiś rodzaj symbiontu, Bóg jeden wie jakie anomalie czają się dalej w głębi zaułka.

– Ojciec, ja nie chcę umierać – jęczał Woron, dysząc ciężko.

– Spokojnie, nie umrzesz.

Naturalnie, starałem się go pocieszyć. Ale jak? Mam kłamać?

Co tu wiele mówić, sytuacja była przejebana. Jeśli nie uciekniemy stąd w ciągu kilku minut, ugotujemy się żywcem. Zrobiłem kilka kroków dalej, zbliżając się do stery cegieł. Poczułem ciepło. Przed nami była kolejna anomalia ogniowa, czająca się gdzieś tam ukryciu. Stałem jak wryty w obawie, by i jej nie aktywować. Sięgnąłem po Echo, ale najwyraźniej aparatura została uszkodzona. Najwyraźniej jak już się ma pierdolić, to wszystko na raz. Wróciłem do Worona. Było z nim coraz mniej. Długo nie pociągnie bez opieki, to pewne. A ja nie wiem jak mogę go uratować.

– Nie dam rady... – zakasłał. – Ojciec. Mój kombinezon to wióry. To pył i... i wióry. Ty... Twój chyba jest ok?

– To już żadna ochrona. Na wiele się nie przyda.

– Ojciec... Ojciec...

Przerażało mnie to. Czułem, że sam zaczynam panikować. O co mu chodziło? „Ojciec, ojciec”. Twarz mu drżała, z całych sił mrużył oczy. Czułem się niepewnie. Czego ode mnie oczekiwał? Przecież nie teleportuje go stąd. Niech się w końcu za-

mknie!

– Nie pozwolisz mi umrzeć? Nie zostawisz mnie tu?

Strasznie ciężko przychodziło mu dobieranie słów. Wyczuwałem w tym strach, niepewność. Nigdy wcześniej nie czułem tego w jego głosie. Zawsze był żwawy, pewny siebie. To było straszne. Jak gdyby to nie był on, a ktoś inny. Ktoś... obcy.

– Nie zostawię. Czemu w ogóle męczysz mnie o to?

– Ty masz sprawny kombinezon. Nie chcę tu umrzeć. Nie... chcę.

Czemu on to ciągle powtarzał? Kim on był, ten poparzony człowiek? Czy ja go znałem? Czy to nadal był ten sam Woron?

– Kurwa, no! – Nie wytrzymałem. – Czy ja się stąd gdzieś ruszam? Na litość Boską, zamknij się wreszcie i pozwól mi myśleć.

Uspokoił się trochę. Obrócił głowę w bok. I dobrze! Sięgnąłem po swego Mossberga 590. Nie miałem zamiaru słuchać tego dalej. A jęć sobie do woli! Jęć, płacz. Tylko pozwól mi działać albo za chwilę z nas obu zostaną tylko prochy!

Strzeliłem w mur przede mną. Śrut rozbił się o twardą cegłę, wyrzucając w powietrze masę odłamków i pyłu. Strzeliłem ponownie. I jeszcze raz.

Znienacka wielki płomień buchnął mi prosto w twarz. Upadłem na plecy i zobaczyłem jak zza muru wystrzeliwuje w górę kolejny słup ognia, wyzierając swe ogniste języki przez dziurę, jaką zrobiłem w murze. Broń upadła mi gdzieś pod murem. Szybko odczołgałem się do tyłu, z obawy iż w każdej chwili ściana może się rozpaść.

Usłyszałem za sobą dźwięk repetowanej broni. Odwróciłem się gwałtownie. To Woron celował ze swego Walthera prosto w moją głowę. W drugiej ręce trzymał w gotowości nóż. Oblediał mnie zimny pot. Zastygłem w bezruchu. To Woron? To naprawdę on?

– Co ty, kurwa, wyprawiasz?! Nie celuj we mnie, kretynie!

– Oddaj mi kombinezon – mówił przez zaciśnięte zęby.

Policzki mu się trzęsły, ręka drżała, ale lata wyszkolenia bojowego, sprawiły, że mimo to trzymał broń pewnie.

- Oszalałeś?!
- Oddaj mi kombinezon. Tylko je... eden stąd wyjdzie. Rozumiesz... Ja albo ty. Wybacz, stary.
- Woron...
- Wybacz... Piorun przeszył mnie od głowy w dół. Woron zmrużył oczy i nacisnął za spust.
- Klik!
- Klik!
- Klik!

To był jak trans, z którego nagle się ocknąłem. Pistolet wypadł mu z ręki i uderzył o suchą ziemię.

- Woron...
- Nie! – krzyknął, po czym chwycił za nóż i wbił go sobie w pierś.

Trwało to ułamek sekundy. Nim zdążyłem zareagować, jego ciało wzdrygnęło się, zatrzęsło nim, po czym znieruchomiał. Powoli osunął się na bok.

Usiadłem. Zapanowała dla mnie cisza. To nic, że huk rozdzierających powietrze fontann ognia nieustannie uderzał w moje uszy. Czułem się jak gdyby ktoś mi strzelił koło głowy. Myśli krzątały się gdzieś bez ładu, a ja nie wiedziałem co począć. „Woron, czemu to zrobiłeś?”, powtarzałem sobie. „Wiedziałeś, że tylkojedna osoba jest stanie się stąd wydostać. Po prostu wiedziałeś to. Ale czemu tak?”.

Trwałem tak jeszcze przez chwilę, nie zważając na szalejące dookoła piekło. Straszne myśli przychodziły mi do głowy, a ja nie chciałem ich słuchać. A jednak. Czy to prawda? Czy on właśnie ocalił mi życie? „Tylko jeden stąd wyjdzie”. To jego słowa. Tak, to jednak był on. Cały on. Wiedział czego chce. Tylko Woron zdolny był dostrzec to, co ja próbowałem zatuszować. Czemu chciałem zaprzeczyć. Nadzieja. Czy tchórzostwem jest trwanie w nadziei w obliczu zagłady? A może głupotą? Czy byłbym w stanie zachować się jak on? Poświęcić, życie swoje albo jego. Ileż odmian ma chęć przetrwania. Ileż ścieżek można w niej obrać. Jakże wybrać właściwą? Zachowałem się jak tchórz.

Chciałem ocalić nas obu, on chciał tylko jednego z nas. Mimo to czułem, że postąpił właściwie.

Teraz, właśnie teraz wiedziałem, że mam jeszcze szansę.

Wstałem. Spojrzałem wprost w ciemność, w której czaiła się ostateczna nagroda. To po co tu przybyliśmy. Rzecz, z którą wielu stalkerów oddało już życie, a teraz jeszcze Woron. Przedmiot wielkiej mocy, którego pochodzenia nikt nie jest w stanie jak dotąd wyjaśnić. Musiał tam być. Inaczej nie miałoby to sensu.

Wziąłem głęboki wdech. Teraz albo nigdy.

Wbiegłem na cegły. Było ciepło. Coraz cieplej. Nie zważałem na to. Szybko wdrapałem się na szczyt. Blask ognia za plecami był wystarczająco jasny. Spojrzałem w dół.

Był tam. Ciężko było go dostrzec, ale udało mi się. Przezroczysty kryształowy twór, migocący blaskiem szalejącego dookoła ognia. Był gigantyczny, może wielkości mojej głowy. Nigdy wcześniej nie widziałem takiego wielkiego. Leżał swobodnie, niewinnie niczym porzucona zabawka. A jednak czułem jego moc, wiedziałem, że oto mam przed sobą przedmiot nie z tej

ziemi.

Panował piekielny żar. Poparzona skóra protestowała, zmuszała mnie do ucieczki przed czającą się tu anomalią. Złapałem za jedną z cegieł i rzuciłem nią w dół, w stronę artefaktu. Nagle, wielki słup ognia wystrzelił w niebo. Potworny gorący owiał moje ciało. Zasłoniłem ramieniem oczy, cofnąłem się o krok. Ta fontanna ognia była wyższa niż wszystkie inne. Strzelając w górę po jakichś pięciu metrach, wyginała się w przedziwne kształty pod wpływem znajdującej się tam anomalii grawitacyjnej. Rozlewała się na wszystkie strony, tworząc w powietrzu spirale i serpentyny żywego ognia. A na dole, wśród szalejących płomieni tańczył muskany płomieniami Kryształ.

Musiałem to zrobić teraz. Nie było już wyjścia. Skuliłem się i zrobiłem krok w przód po kruchych ceglach. Przez porysowaną szybkę hełmu widziałem go wśród płomieni.

Kolejny krok w dół

I kolejny.

Nagle, jedna z cegłówek obsunęła mi się spod moich stóp.

Sparaliżował mnie strach. Upadłem na plecy i poczułem, że staczam się prosto do szalejących płomieni. Chciałem się czegoś złapać, ale wzbijałem tylko pył i strącałem kolejne cegły. Ogień był coraz bliżej. Huk płomieni ogłuszał mnie, że nie słyszałem nawet własnego krzyku.

I znowu przerażający żar.

Spadłem na sam dół. Uderzyłem brzuchem o twardą ziemię, z lewą ręką pod sobą. Przede mną rodziło się piekło. Nie mogłem patrzeć. Paliłem się, gotowałem. Czułem jak kombinezon kurczy się na mnie, a materiał zaczyna się wypalać. Rozgrzane powietrze wniknęło do środka, owiało mi ciało, parząc i wysuszając je. Byłem pewien, że umrę.

I wtedy mrugnął mi przed oczyma delikatny blask Kryształu. Odruchowo wyciągnąłem gołą dłoń w stronę ognia i poczułem to.

Był chłodny. Trzymałem rękę na Kryształu w samym sercu ognia, a mimo to czułem chłód. To uczucie rozlało się po moim ciele. Znikł gdzieś ból oparzeń, przestałem odczuwać żar.

Języki ognia prześlizgiwały mi się między palcami, muskając je swym ciepłym dotykiem. Włosy na dłoni momentalnie uległy spaleniu, ale skóra pozostawała nietknięta.

Powoli wyciągnąłem artefakt ze środka. W jego wnętrzu widziałem szalejące głęboko płomienie. A więc, to było to? Ta moc, o której mówił Woron? Ciężko opisać jak się wtedy czułem. To uczucie było zbyt nierealne. Nie jestem bogiem, a mimo to żywioł nie czynił mi krzywdy. Niesamowite wrażenie niczym sen. Tyle, że materialne i prawdziwe.

Oniemiały z wrażenia wstałem i szybko wygramoliłem się na górę. Powoli zacząłem iść w stronę ściany ognia, która uprzednio o mały włos nie zabiła mojego towarzysza. Teraz ten leżał martwy koło mnie, gdy go mijałem. Ale ja patrzyłem się w kryształ.

Nie mogłem w to uwierzyć. Tyle zachodu po ten kawałek kryształu? Czy to naprawdę było tego warte? Życie moje i Worona postawione nad przepaścią. Nie miałem dużo czasu. Wiedziałem, że z każdą chwilą artefakt wydziela kolejne dawki za-

bójkowego promieniowania. Mimo to nie śpieszyłem się.

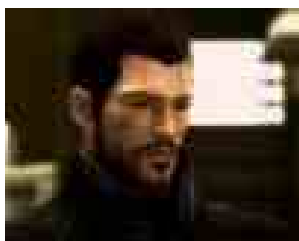
Powoli wszedłem w zamykający wyjście z zaułka wir ognia, który był teraz dla mnie niczym powiew ciepłego wiatru. Choć na tę chwilę posiadałem moc, o jakiej wcześniej mogłem marzyć, wiedziałem że uczucie to jest daremne, chwilowe. Ale nie to było najgorsze. Wiedziałem, że na zewnątrz nikt na mnie nie czeka, tylko mroźna pustka Zony. Lasy pełne mutantów, bandyci i anomalie. Gdzieś dalej na wschód Bar, a w nim nagroda.

Piętnaście tysięcy rubli.

Właśnie tyle dostanę za dostarczenie tego artefaktu do barmana. Taka była cena życia Worona. Tyle zapłacą mi za ów boską moc, jaką im dostarczę. Starczy to ledwo na leczenie oparzeń i nowy kombinezon. I tyle, nic więcej. Nie ma sprawiedliwości w Zonie.

Proszę, nie pytajcie mnie, czy było warto. Nigdy nie pytajcie, żadnego stalkera czy było warto, bo nie ma ceny rublach czy innej walucie, która zrekompensuje straty jakie każdego dnia ponosimy. Dzień za dniem. I tak w kółko.

Takie to już życie w Zonie.



Gizbarus

Frakcja: Samotnicy

Ulubiona broń: Sniper Rifle

SVDm2

Samotność w zonie

To moje najnowsze opowiadanie, na które przyszła mi wena znów wtedy, kiedy nie powinna (czyt. na wyjeździe), w związku z czym w ciągu godziny z zapartym tchem napisałem trzy strony A4... Mam nadzieję, że przypadnie wam do gustu - to powieść specyficzna, bo do tej pory nie zawarłem w niej żadnych dialogów (to najpewniej zmieni się w przyszłości) i akcja rozgrywa się w czasie rzeczywistym (to akurat nie ulegnie zmianie :wink:). Bohater jest... No właśnie - niby zwyczajnym, acz doświadczonym stalkerem, nie znanym nam z imienia ani wyglądu - to pozwala każdemu z czytelników pobudzić wyobraźnię i uczynić go takim, jakim sami sobie go wyobrazimy :wink: W każdym razie, jak mówiłem - wstępy nigdy mi nie wychodzą, więc przechodzę do prezentowania moich wypocin i zachęcam o konstruktywnych komentarzy, a także sugestii, jak chcielibyście, żeby dalej rozwinęła się historia :wink:

7.30

Z dokładnością jak w szwajcarskim zegarku codziennie budzę się o tej godzinie. Nie wiem, czy to odgłosy życia Zony zmieniają ton w taki sposób, że mój organizm to wyczuwa i woła na pobudkę, czy po prostu zegar biologiczny ustalił sobie takie, a nie inne działanie. Zresztą, to nieistotne.

Na dworze delikatna, poranna mgła, najpewniej zniknie w ciągu maksymalnie dwóch godzin – zapowiada się piękny dzień, na ile dzień może być piękny w takim miejscu. Nie czuję żadnych zapachów, co oznacza że moja specjalna maść idealnie spełniła swoje zadanie, a także nic podejrzanego nie kręci się w pobliżu. Dźwięki? Delikatny szum pobliskich drzew i kapanie ostatnich kropel wody po deszczowej nocy.

Po tych wstępnych ocenach otoczenia dochodzę do wniosku, że mogę bezpiecznie wyjść ze śpiwora. Cały cykl czynności łącznie z zapakowaniem się do drogi zajmuje mi nie więcej jak trzy minuty. To jednak może być za wolno, na przyszłość

muszę nad tym popracować.

Szybko przeglądam stan ekwipunku – „pionówka” jak zawsze idealna, beretta będzie niedługo wymagała naprawy gwintu tłumika, ale póki co da radę, nóż wciąż ostry jak brzytwa, a skórzany płaszcz i kamizelka zdjęta z najemnika, mimo paru nowych naszywek, jeszcze przez jakiś czas będą spełniać swoje zadanie.

Postanawiam ruszyć się z mojej kryjówki – wyglądam przez zabrudzone upływem czasu i działaniem natury okno, szukając śladów podejrzanego aktywności.

Spokój i cisza, można wychodzić.

Opuszczam drabinę ze strychu, schodzę w dół wywołując trzeszczenie próchniejącego drewna przy każdym kroku i staję na drewnianej podłodze, wzniecając drobinki kurzu. Otwieram skobelek na spróchniałych drzwiach – totalnie bezcelowe zabezpieczenie – i wychodzę na zewnątrz. W moje nozdrza z całą swą mocą uderza zapach Zony – specyficzny, słodko-słony smród stęchlizny i rozkładających się ciał wymieszany z aroma-

tem napromieniowanych traw i pączkujących drzew. Wychodzę spomiędzy otaczających moją kryjówkę chaszczy i trzcin, czuję nie rozglądając się dokoła.

Cisza.

Wypracowanym przez lata życia w Zonie szóstym zmysłem wyczuwam, że coś musi być nie w porządku – w tym piekle praktycznie nigdy nie jest aż tak cicho, chyba że...

Jak na znak mojej myśli, niebo zaczyna przybierać krwisto-czerwoną barwę i zachodzić gęstymi chmurami, a do głowy wpycha się przeciągłe buczenie. Emisja! Wygląda na to, że jedna z mocniejszych – mój mały domek na pewno nie da mi teraz niezbędnego schronienia. Staję jak wryty na moment, w głowie obliczając odległości do paru innych kryjówek.

Jaskinia pod nasypem kolejowym! Spinam mięśnie do biegu i sprintem puszczam się przed siebie, nie zważając na nogi wpadające w błoto czy wysokie trawy smagające mnie po twarzy. Biegnę skupiony tylko na dotarciu do schronienia, zanim będzie za późno. Nogi zaczynają ciążyć mi coraz bardziej, od-

dech zaczynam słyszeć jakbym trzymał głowę w wielkim słoiku - dociera do mnie coraz wyraźniej świadomość, że mogę nie dobiec na czas. Wokoło mnie powietrze gęstnieje, kolor nieba zmienia odcień na coraz ciemniejszy, słyszę coraz bliżej wyładowania uderzające w ziemię... Jeszcze tylko parędziesiąt metrów... Przebiegam pod zwalonymi częściowo przęsłami mostu, czując w ustach coraz intensywniejszy smak krwi i w końcu rzucając się do jaskini i wbiegam w głąb niej.

Jestem wyczerpany, ale nie czuję już tego tępego buczenia w głowie, jak gdyby mój czerep miał eksplodować. Przed oczami zaczynają biegać mi mroczki: po części od wysiłku, po części od długiego wystawienia na działanie emisji, w związku z czym daję radę tylko ułożyć się na podłożu, by nie poobijać się przy upadku i tracę przytomność...

8.42

Kiedys kupiłem u Sidorowicza zegarek na rękę z funkcją alarmu. W zasadzie budzik był i jest mi całkowicie zbędny, jednak zawsze przydaje się możliwość sprawdzenia aktualnej godziny. Choćby teraz: dowiedziałem się ile czasu byłem nieprzytomny.

Po otwarciu oczu i zobaczeniu godziny sprawdzam stan swojego wyposażenia jak i organizmu. Oprócz blocka na całym płaszczu i lekkiego bólu głowy wszystko wydaje się być w porządku. Wychodzę ostrożnie przed jaskinię i nasłuchuję dłuższą chwilę, by wyczuć nieproszonych gości. Nic podejrzanego, dobrze. Postanawiam wspiać się na przęsła częściowo zawalonego mostu, aby stamtąd rozejrzeć się wokoło za innymi stal-kerami – rannymi, lub może raczej martwymi – albo pobliską zmutowaną zwierzyną. W oddali zauważam bawiące się stadko mięsaczy – to dość smutne, a zarazem zabawne i ironiczne, że istoty gotowe wygryźć ci trzewia są też w stanie bezinteresownie bawić się, kulając swoje obłe cielska po ziemi. Chociaż...

Nachodzi mnie nagła myśl, że przecież my, ludzie, jesteśmy dokładnie tacy sami – potrafimy rano mordować bez mrugnięcia okiem, a wieczorem bawić się w najlepsze. Kontynuuję rozglądanie się i kilkadziesiąt metrów od jaskini widzę nieruchomy kształt, częściowo zanurzony w blocku. Postanawiam to sprawdzić – zejście z mostu zajmuje mi parę chwil, ponowne odnalezienie ciała, tym razem z perspektywy naziemnej, zabiera mi kolejnych parę minut. W końcu stoję przy zwłokach.

Stalker. Patrząc na kolory, wolnościowiec. Biedny dureń, nie zdążył dobiec na czas.

Trup leży twarzą do dołu, więc najpierw obszukuję jego plecak. Dwie konserwy, pół czerstwego już chleba, jedna stłuczona flaszka, zapasowe filtry do maski przeciwigazowej i duża paczka zapalek, pełna do połowy. Do tego pudełko tabletek na nadciśnienie, zestaw medyczny pierwszej pomocy i parę paczek bandaży. Jest coś jeszcze... Pocztówka? Nie, zdjęcie. Młody mężczyzna z kobietą w podobnym wieku, oboje uśmiechnięci. Siostra, żona? Z tyłu jest coś napisane... „Choć tak daleko, to

jednak blisko. Lena”. Cokolwiek to znaczy. Chowam fotografię do kieszeni płaszcza, może się przydać. Przy okazji zabieram całą zawartość plecaka nieszczęśnika i obracam go na plecy. Na pasie ma dwa magazynki 9x18 mm – jeden sześć naboí, drugi osiem. Ładownice na kamizelce kryją trzy magazynki łukowe do SWD, z czego dwa puste i jeden z czterema pociskami. Karabinu nie ma nigdzie w pobliżu, być może zgubił go podczas ucieczki, jednak na biodrze truposza jest Makarov z pełnym magazynkiem. Zabieram go razem z amunicją – w ostateczności opchnę je jakiemuś kotu. Jednak kiedy chcę się podnieść i oddalić, przez ślady błota na ciele zauważam ranę, która zwraca moją uwagę...

Podcięte gardło?

Wolnościowiec jest jeszcze lekko ciepły, więc musiał zostać zaatakowany na chwilę przed emisją... Ale kto ryzykowałby atakowanie kogoś nożem na moment przed uderzeniem? Coś zaczyna mocno mi tu nie pasować – tak samo jak brak karabinu w pobliżu zwłok. Zamykam oczy, próbując skupić swój słuch

i węch w poszukiwaniu czegoś lub kogoś podejrzanego w pobliżu. Nadal nic. Otwieram oczy i patrzę dokoła, szukając śladów w błocie, poza tymi pozostawionymi przez denata przed śmiercią.

Pusto.

Emisja potrafi całkowicie przemeblować Zonę... Zastanawiam się chwilę, kto nie bałby się zaatakować innego stalkera na sekundy przed jej uderzeniem – w pobliżu nie było żadnej innej kryjówki, poza jaskinią, w której kryłem się sam, więc ktoś w ten sposób naraziłby się tylko na bolesną i bezsensowną śmierć.

Dźwięk!

Blisko mnie, co najwyżej pięć metrów za moimi plecami słyszę delikatny odgłos, wydawany zazwyczaj przez kogoś, kto usilnie stara się poruszać jak najciszej. W zasadzie usłyszałem go tylko dzięki wyczulonym przez lata życia w Zonie zmysłom... Nie daję po sobie poznać, że wiem o obecności napastnika. Napastnika... Osoba z wrogimi zamiarami strzelałaby od razu,

nie bawiąc się w żadne podchody, natomiast ktoś nastawiony przyjacielsko od razu dałby znać słowem lub gestem o swojej obecności. Nie jestem pewny tej sytuacji, dlatego czekam na jej rozwój.

Klik!

Słyszę dźwięk odciąganego zamka broni – czyżby Colt 1911? – i czuję lufę przyłożoną do mojej głowy. Cóż za beznaście filmowy gest... Chwilę potem słyszę słowa wypowiedziane zza maski, także lekko zniekształcone w swoim brzmieniu:

- Stalkerze, masz coś, co nale...

Napastnik nie zdąży dokończyć zdania, bo błyskawicznie się odwracam, lewą ręką odtrącam broń, a prawą zaciskam w pięść i wbijam w żebra celu. Kiedy wróg składa się po ciosie, poprawiam kopnięciem w kolano i uderzeniem płazem dłoni w kark. Adrenalina opada, podobnie jak mój niedoszły oprawca – teraz mogę mu się przyjrzeć.

Monolit...??

Patrzę na zwijającego się z bólu, półprzytomnego członka

Monolitu... Dlaczego nie zabił mnie od razu? Może to zdobyczny kombinezon... Choć w zasadzie wygląda jak spod igły – poza paroma przybrudzeniami. Wyciągam z plecaka flaszkę, odkręcam ją i ściągając mu z twarzy maskę zaczynam wylewać na jego twarz, żeby odwrócić jego uwagę od bólu i skupić na mnie.

Jego... JEJ twarz!

Po opadnięciu kaptura i zdjęciu gumowej maski przeciwgazowej widzę przed sobą młodą kobietę z jasnymi włosami, próbującą gorączkowo pozbyć się alkoholu, który dostał się do jej ust i oczu. Kucam przed nią, chwytam ją pod brodę i patrząc w oczy mówię do niej chrapliwym głosem odwykłym od prowadzenia dialogów:

- Gadaj.

Dziewczyna w końcu daje radę zogniskować na mnie swój wzrok – patrzy na mnie ze strachem w oczach. Żaden z doświadczonych bojowników nie czuje strachu, ani żadnych innych uczuć, więc ona musi być dopiero wdrażana. Otwiera usta i bezgłośnie nimi porusza – domyślam się, że wypowiedała ja-

kąś mantrę do Monolitu... Po chwili odpowiada łamiącym się głosem:

- Zdjęcie... Proszę... To pamiątka, specjalnie wróciłam po nie...

Domyślam się od razu o jakie zdjęcie jej chodzi i dlaczego to pamiątka – to właśnie ona była dziewczyną u boku młodzieńca na fotografii. Nie mam pojęcia jak się tu znalazła i skończyła w taki sposób i nie wiem, czy chciałbym wiedzieć. Domyślam się tylko, że zapewne kazali jej zabić przyjaciela jako przysięgę wierności, czy jakoś tak... Świry. A ona na pewno uciekła od patrolu, bo chciała nie zapomnieć tego, którego musiała zabić – pieprzony świat. Muszę tylko spytać o jeszcze jedną rzecz, która właśnie wpadła mi do głowy.

- Ilu was jeszcze jest?

Dziewczyna jest na skraju załamania, może też dlatego, że właśnie patrzy kątem oka na swojego zabitego przyjaciela, czy kochanka... Po chwili odpowiada:

- Tylko ja i mój mentor... To miał być test, ale ja go nie zda-

łam, on musiał go...

Zanim wypowiada zdanie do końca, słyszę huk wystrzału z SWD i widzę, jak jej głowa odskakuje po trafieniu kulą 7.62 mm... Do głowy wpada mi szalona myśl „oto zaginiony karabin!” – zanim jej ciało dotyka ziemi, uskakuję w bok, w kępę największych traw i krzaków, żeby ukryć się przed wzrokiem strzelca. Ona upadła w prawo, dźwięk rozchodził się z tej strony... Most! Strzelec jest na moście! Zaczynam spoglądać spomiędzy chaszczy – niewielki dystans, może 30 metrów, bez problemu podziurawię suczego syna śrutem. Ściągam powoli z pleców ‘pionówkę’, wyskakuję z krzaków, robię obrót po ziemi, słyszę kolejny strzał, szczęśliwie chybiony, po czym wstaję i niemal od razu przykładam kolbę do policzka – oddaję dwa strzały, jeden po drugim. Na tym dystansie śrut nie ma jeszcze dużego rozrzutu, więc siła uderzenia powinna przynajmniej mocno oszołomić cel. Patrzę, jak strzelec spada z przęseł na dół. Łamię karabin, wyrzucając puste loftki i nabijam go ponownie. Zakładam broń na plecy, wyciągam berettę i biegnę w stronę mostu. Mój cel le-

ży pod nim – jego twarz jest poharatana śrutem, tak samo jak wierzchnia warstwa pancerza. Do tego szyja jest nienaturalnie wykrzywiona – widać skręcił kark przy upadku. Szybko przeglądam jego ekwipunek, zabieram karabin i wracam do ciała dziewczyny. Nie ma dla niej szans – kula przeszła przez szyję. Kiedy ja ostrzeliwałem się z jej mentorem, ona zadusiła się własną krwią, o ile nie umarła od razu. Sprawdzam, co może mieć przy sobie przydatnego – zabieram Colta z czterema zapasowymi, pełnymi magazynkami i jej PDA – może dowiem się czegoś ciekawego. Zamykam jej oczy, oddając ostatnią przysługę, po czym oddalam się nie oglądając się za siebie.

9.37

Idę przed siebie, myśląc kto mógłby złamać zabezpieczenia PDA dziewczyny – parę chwil wcześniej okazało się, że jest chronione hasłem. Nie mogę przestać myśleć o tej sprawie i nie mam pojęcia dlaczego – przecież nic ona dla mnie nie znaczyła,

a jednak nie potrafię wyrzucić z głowy obrazu jej śmierci.

Rugam sam siebie – co mi odbija, żeby na starość robić się jakimś sentymentalistą? Do głowy powolutku i nieśmiało przesącza się myśl, że może w ten sposób podświadomie chcę odkupić grzechy przeszłości...?

NIE!

Przeszłość, to przeszłość – co się stało, już się nie odstanie. Może moje działania wynikają po prostu z faktu, że to była kobieta, czy raczej dziewczyna? Samica w każdym razie, a ich wiele tu nie widać... W zasadzie przez wszystkie te lata widziałem tu tylko jedną – udawała faceta, co nie było trudne z jej wyglądem i budową ciała. Jednak szybko źle skończyła... W końcu sama odebrała sobie życie – i pomyśleć, że tu, gdzie każdy z nas powinien trzymać się razem i pomagać nawzajem, inni są gotowi do takiego okrucieństwa...

Ból?

No tak. Zaciskam ze złości pięści z całej siły... Rozluźniam je, zatrzymuję się na chwilę i unoszę dłonie do oczu – przelały

tyłe krwi, a teraz wespół z umysłem zbiera im się na heroiczne czyny i ratowanie martwych dziewczec od nieistniejących smoków... Szkoda, że nie słuchają mnie samego. Z drugiej strony... Zawsze ciekawość zżerała mnie od środka w przypadku spraw niejasnych i tajemniczych.

Koniec fruwania z głową w chmurach!

Skupiam się na powrót na trasie jaką sobie obrałem. To w końcu Zona, nie spacer po parku. Sprawdzam mapę w moim PDA – do bazy tych czubków z Czystego Nieba jeszcze około kilometra. Jajogłowi kretyni ze spluwami... Ten cały Liebiediew śmierdzi mi na kilometr jakimiś tanimi sekretami – ciekaw jestem, na ile on sam okłamuje swoich ludzi i na ile oni mają tego świadomość. Jednak póki co, najbliższy gość, który zna się na grzebaniu w elektronice, jest u nich – mam trochę rubli, powinno wystarczyć na opłacenie usługi. Do tego zabrałem karabin tego wolnościowca, użyty przez monoliciarza – jest w dobrym stanie, więc może dostanę za niego dobrą sumkę. Albo wymienię za informację, czy przysługę...

Pik!

Staję w pół kroku. Rozglądam się wokoło w poszukiwaniu anomalii... W tej części bagien były same 'trampoliny', z tego co dobrze pamiętam... Dokładnie tak – pół metra na prawo ode mnie zauważam specyficzny bąbel z krążącymi wokoło kawałkami liści i ściółki, trochę dalej drugi i trzeci. Dla pewności wyciągam detektor, ale niestety jest jak myślałem – niczego nie zrodziły. Omijam ostrożnie anomalie i ruszam w dalszą podróż, tym razem zachowując wzmożoną czujność.

Kontynuuję marsz – po dzisiejszej emisji Zona jest zadziwiająco pokojowa i spokojna... Nie zawsze tak się zdarza. Jednak nagle jak na komendę jakiś dźwięk dociera do moich uszu.

Krzyk..?

Kryję się za pobliskim, skartłowaciętym drzewem i nasłuchuję. Tak, krzyk – ktoś woła o litość. Czyżby znów bandyci czy inne ścierwa? Głos zaczyna się zbliżać, czyżby ktoś się urwał i ucieka? Patrzę ponad wysokimi trawami i tatarakami, po chwili zauważam przyczynę zamieszania. Jakiś kot biegnie panicznie

przed siebie, co drugi krok potykając się i wpadając w błoto, a za nim truchta... Dzik? Sam, jeden dzik? Z zażenowaniem uderzam się dłonią w czoło, po czym ściągam z pleców 'pio-nówkę' i biorę zwierzaka na cel. Panikarz przebiega kilka metrów przede mną, nawet mnie nie zauważając. Nie wiem, czy to zasługa moich zdolności wtapiania się w otoczenie, czy po prostu jest tak przerażony, że nie zwraca uwagi na nic innego, poza uciekaniem. Chwilę po nim w zasięgu strzału pojawia się sprawca tego rabanu. Naciskam spust, czuję uderzenie kolby w ramię, lufa minimalnie podbija do góry – dostał. Podchodzę bliżej, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyje – dzik leży na boku, coraz słabiej wierzgając po ziemi kopytami. W jego oczach widzę niemy wyrzut – smutne spojrzenie umierającego, rzucające we mnie oskarżeniem... Mutant, czy nie – nie powinien cierpieć agonii. Wyciągam berettę i oddaję dwa strzały w jego łeb.

Po chwili pojawia się panikarz, zwabiony odgłosem strzałów. Podchodzi niepewnie, jak gdyby bał się, że jego też zastrzelę. Daję mu znak ręką, że może podejść. W międzyczasie zabie-

ram się za skórowanie zwierzyny. Paskudna sprawa nieść takie niewygarbowane – nomen omen – świństwo w plecaku, ale do czasu dojścia do bazy nie powinno się zepsuć. Dodatkowo, wycinam parę kawałków schabu – moczone przez jakiś czas w wódce miękną i nie są aż tak radioaktywne...

-Ehem... Dzięki za pomoc, wiesz?

No tak, gość stoi tu dobre pięć minut, skoro zdążyłem już oporządzić dzika. Wstaję i odwracam się do niego. Odpowiadam chrapliwym głosem:

-Nie ma sprawy. Broń?

Pokazuję głową na pustą kaburę na udzie chłopaka – teraz dopiero miałem okazję mu się przyjrzeć... Młody szczawik, najwyżej 20 lat na karku. Nic dziwnego, że pisał jak panienka... Co tu tak ciągnie tych młodocianych głupców? W międzyczasie moje rozmyślenia przerywa jego odpowiedź:

-Eee... Zgubiłem... Jak uciekałem... Leży pewnie gdzieś w błocie i już go nie znajdę... A dałem za niego całe 500 rubli...

Robi mi się żal tego idioty, więc ściągam plecak, wyciągam z

niego zabranego wcześniej Makarova i dwa magazynki i podaję dzieciakowi. Mówię mu:

-Bierz i spadaj. I nie daj się głupio zabić. Albo najlepiej...

-Co najlepiej?

-Najlepiej wynoś się z Zony i dziękuj, że uszedłeś z życiem.

11.25

-Stój! Ręce w górę!

No tak. Baza jest już blisko, w trzcinach i krzakach siedzą strażnicy... Ten jeden brzmi dość nerwowo – albo jest nowy, albo stało się coś, co wywołało taką nerwówkę. Może jedno i drugie. Unoszę powoli ręce w górę i odwracam się do tyłu. Istotnie, obok pobliskiej kępy trzcin stoi młody stalker, ubrany w kombinezon pomalowany w kretyńskie niebiesko-białe kolory. Kamuflaż, cholera... Widzę, że wyciąga zza pasa opaskę na oczy, jednak uprzedzam go i mówię:

-Nie ma potrzeby, znam drogę. „Za trzecią sosną w prawo,

przewodniku”, co?

Strażnik jest zdziwiony – nie zaskakuje mnie to – ale kiwa głową i pozwala mi iść dalej, samemu kryjąc się na powrót w trzcinach. „Za trzecią sosną w prawo, przewodniku”, to dość oklepane hasło, jednak łowcy i tropiciele odwiedzający bazę jajogłowych nadal je stosują. Powoli i nieśpiesznie kieruję się do bazy. Zaczynam już słyszeć gwar rozmów i inne hałasy wiążące się z większymi skupiskami ludzi. Wychodząc zza kolejnej gęstwiny krzaków i drzew w końcu zauważam cel mojej wędrówki. Grupka stalkerów w mundurach Czystego Nieba, paru neutralnych łowców czy przewodników. W okolicy głównego budynku kręci się jeszcze paru jajogłowych. Jak to jest, że każdy z nich ma prawie łysy łeb? Mimo woli przyglądam się drewnianemu, piętrowemu budynkowi, będącemu centrum dowodzenia – od ostatniego razu kiedy tu byłem, zaczął się sypać jeszcze bardziej. Dziury w ścianach, powyrywane okna, brak sporej części dachu, wszędzie pleśń... Wygląda coraz gorzej. Odnoszę wrażenie, że wcale o niego nie dbają, mimo że to przecież jakby

ich dom. Załamuje mnie taka bezmyślność niektórych. No nic – wzruszam ramionami i ruszam przed siebie, stawiając kroki po ułożonych w ścieżki deskach. Prowizoryczne zabezpieczenie przed wdepnięciem w co głębsze kałuże błota... W końcu to bagna. Kieruję swoje kroki do barmana – jego siedziba także się nie zmieniła. Mała, obskurna budka z wypolerowanym jak lustro szynkiem, a na przeciw kilka wysokich stolików zbitych z butwiejących desek, czy starych palet. Przy niektórych stoją pojedyncze osoby, lub małe grupki, część jest pusta. Podchodzę do tak zwanego 'kierownika bałaganu' i stoję przy ladzie. Ściągam plecak, kładę go na blat, rozpinam i wyciągam wilgotną, zwiniętą w kostkę skórę ściągniętą z dzika. Patrzę na barmana unosząc lekko prawą brew – niemy odpowiednik pytania „ile i czemu tak drogo?”. On z kolei nawet nie drgnie, udając że „nic tu przecież nie ma”. Jednak zanim nasz niemy pojedynek – nie pierwszy zresztą w ciągu ostatnich lat – nabiera tempa, podchodzi do mnie jeden z klientów i pyta:

-Ile za taki dywan, bracie?

Przyglądam mu się chwilę i widzę prawdziwego weterana Zony – zarówno wiekiem jak i doświadczeniem. To ten typ człowieka, który może sobie pozwolić na noszenie zwyczajnego skózanego płaszcza z maską przeciwgazową przy pasie i używanie normalnej dwururki – zawsze będzie tak samo skuteczny, choćby biegał na gatkach z leszczynowym badykiem. Odpowiadam mężczyźnie:

-Pięćset.

Przez chwilę mierzy mnie wzrokiem, po czym podchodzi bliżej lady, bierze w ręce skórę, rozwija ją, oceniając jakość i stwierdza:

-Czteryście i zjesz z nami porządny obiad przy dobrej gorzałce. Lowa robi zawsze niezłe żarcie przy ogniu, nie to co niektórzy...

Zamierzona kpina zawisła w powietrzu jak siekiera w malutkim pomieszczeniu bez wentylacji, wypełnionym po brzegi nalogowymi palaczami... Barman jednak grymasi tylko chwilę jak naburmuszone dziecko, macha ręką dając nam gest w stylu „jak

się wam nie podoba, to idźta se gdzie indziej” i powraca do opierania się łokciami o szynk. Wzruszam ramionami i wyciągam dłoń do mojego kontrahenta. Ten ściska ją, po czym wyciąga umówione czterysta rubli i wręcza mi banknoty. Wskazuje głową na ognisko niedaleko, przy którym siedzi już paru stalkerów i mówi:

-Za jakieś dziesięć minut Lowa skończy pichcić. Chodź, od razu z nami przycupniesz, to odkorkujemy flaszkę przed wyzerką – żeby oblać interes.

Kiwam głową na znak zgody i ruszam za mężczyzną. Po chwili siadamy na pniakach wokół ogniska, patrząc na siebie, ale nic nie mówiąc. Nieufność... Im dłużej jesteś w Zonie, tym bardziej wysysa ona z ciebie ludzkie odruchy... Jak gdyby chciała się na tobie zemścić, za twój pasożytniczy byt. Jak gdyby chciała cie odmienić w sposób inny, niż mutacja, pokazać swoją władzę... Siedzimy tak parę dłuższych chwil, popijając z odkorkowanej przez starca flaszki, wsłuchując się w trzaskające płomienie i wachając wdzierający się do nozdrzy smakowi-

ty zapach obiadu. W końcu mężczyzna nazwany wcześniej Lowa ściąga garnek znad paleniska, rozdaje nam blaszane miski i nalewa każdemu porcję. Uśmiecha się szeroko i z teatralnym ukłonem mówi:

– Smacznego, moja droga klientello!

Nie jest stąd, to pewne. Ma akcent jakby prędeż przywiało go tu z zachodniej Europy. W każdym razie, każdy z nas zabiera się za jedzenie. O ile wygląd potrawy pozostawia wiele do życzenia – ot, brązowa breja z kawałkami mięsa – o tyle smak rekompensuje wszystkie braki. Nie mam pojęcia, skąd on wziął tu warzywa, ale parokrotnie przegryzam coś, co chyba jest papryką... Mięso też smakuje nieźle – nawet nie czuć specyficznego, lekko metalicznego posmaku napromieniowanego pożywienia. Hm, do tego jeszcze przyprawy... Ciekawe. Z przyjemnością zjadam danie do końca, wyjadając resztki z miseczki pajdą chleba. Po wszystkim wstaję, kiwam z uznaniem głową kucharzowi, żegnam się gestem z resztą i odchodzę. Teraz, z pełnym brzuchem na pewno lepiej będzie się gadało z jajogłowym od elek-

troniki. Wchodzę do głównego budynku, w duchu cicho licząc na to, że nie zawali mi się na głowę. Technika znajduje tam, gdzie zwykle – i jak zawsze siedzi z nosem w jakichś elektronicznych cudach, o których wiem tylko tyle, że w Zonie często zawodzą. Podchodzę do niego i wymownie chrząkam, żeby zwrócić jego uwagę. Odwraca się w moją stronę, poprawia na nosie okulary i pyta:

-Tak? W czym mogę pomóc, stalkerze? Wiesz, mam dość napięty harmonogram...

Wyciągam PDA dziewczyny i podaję mu je. Mówię:

-Potrzebuję złamać zabezpieczenia. Ile i jak długo?

W tak zwanym 'normalnym świecie' każdy w takiej sytuacji patrzyłby na mnie krzywo. Na pewno ukradł. Na pewno zabił poprzedniego właściciela. Na pewno chce wykorzystać te dane, żeby kogoś pogrążyć albo szantażować. Na pewno kłamie. Pod tym względem Zona oferuje komfort – zapłacisz i wiesz, że nie przyjdą nawet do głowy takie myśli. Tutaj nie ma miejsca na rozterki moralne i wątpliwości. Zona odbarwia wszystko i zo-

stawia tylko czerń i biel. Czy może raczej czerń i ciemny szary kolor... Profesorek po chwili dłubania przy urządzeniu odpowiada:

-Hmmm... Wezmę dwa tysiące, za mniej się nie da. Myślę, że to cudo zajmie mi z pół godzinki, może całą. Przyjdź za godzinę, dla pewności.

Kiwam głową na znak zrozumienia i wychodzę z budynku. Mam godzinę czasu na zmarnowanie.

13.33

Godzina. To tylko sześćdziesiąt minut. Minuta to tylko sześćdziesiąt sekund. Tylko. A jednak w ciągu tych zaledwie sześćdziesięciu – czy to minut czy sekund – może zdarzyć się wszystko. Możesz zmarnować swoje życie, możesz ocalić je komu innemu, możesz całkowicie przetracić ten czas. Jak ja...

Wyrzucam te myśli z głowy. Nie chcę teraz wracać do wspominków z przeszłości. Wcale nie chcę do nich wracać. Tak się

dzieje, kiedy nie wiesz, co ze sobą zrobić przez godzinę. Zły na siebie podnoszę się z prowizorycznego siedziska na uboczu obozu i wracam do technika – powinien już skończyć łamać zabezpieczenia. Kiedy wchodzę, PDA leży na stoliku nieopodal wejścia, a specjalista znów dłubie coś przy sprzęcie i elektronice. Odwraca się w moją stronę i mówi:

-No, poszło dość dobrze, zajęło mi to ze trzy kwadranse. Jak mówiłem, dwa tysiące.

Zabieram urządzenie, odliczam banknoty i kładę je na tym samym stoliku, po czym wychodzę. Wypadałoby znaleźć dobre miejsce, żeby sięść i w spokoju zobaczyć co za „tajemnice” skrywa PDA dziewczyny. Naturalnie, nie chcę za swoimi plecami tabunu podglądaczy i łowców informacji, więc schodzę do 'pokoju dla VIPów' w kantine, uprzednio płacąc barmanowi stawkę w wysokości 50 rubli. Kiedyś pewnie była to mała piwniczka na drewno czy jakieś zapasy. Teraz, z racji wszechobecnej stęchliny, nie warto zostawiać tam czegokolwiek. Zona upomni się o swoją dolę wilgocią i pleśnią... Pod ścianą stoi tylko jeden ma-

ły stolik i trzy krzesła, po jednym z każdej strony. Siadam na jednym z nich i wyciągam urządzenie. Wciskam przycisk „on” i czekam, aż się uruchomi. Foldery... Zdjęcia, pamiętnik... Cóż, niespecjalnie podoba mi się myśl, żeby czytać czyis pamiętniczek, ale z drugiej strony jego właścicielce raczej jest to teraz obojętne. Jednak póki co, dalej szukam innych ciekawych plików. „Przysięga Monolitu”? Co za pompatyczna nazwa... Z ciekawości zaglądam, żeby zobaczyć, jakie banały im wciskają.

„O, Monolicie, nasz Panie, Stajemy jako orszak na twe wezwanie! Dodaj nam sił i męstwa, A nigdy nie spotka nas klęska...”

Bla, bla, bla, co za banał... Nie chce mi się czytać dalej tego bełkotu – przelatuję tylko wzrokiem resztę tekstu i biorę się za inne pliki. Po chwili postanawiam wrócić do folderu ze zdjęciami. Oho, jest parę fot z... Chyba to brat – ten sam chłopak, który był na starej fotografii. Teraz wyraźnie widzę podobieństwo między tą dwójką – ten sam nos, usta, podobne oczy... Co mamy dalej? Krajobrazy, widoki... Dziewczyna najwidoczniej lubi-

ła fotografować wszystko dookoła – niektóre ze zdjęć wyglądają rzeczywiście ładnie. Jednak mimo wszystko, tu nie ma już nic więcej ciekawego, zobaczmy pamiętnik. Pierwszy wpis... Tutaj. Hm.

„To będzie mój dziennik. Piszę go po to, żeby nie zapomnieć, kim jestem, a także żeby w wypadku najgorszego ktoś mógł poznać moją historię. Nazywam się Lena Sasza Łukin i znalazłam się tu, żeby odnaleźć mojego brata, Władimira. Jeśli ktokolwiek czyta ten wpis – prawie na pewno nie żyję i nadal nie udało mi się go spotkać. Proszę, znalazco, odnajdź go i oddaj mu moje PDA:

Cóż, w sumie wyszło na to, że cała ta szopka psu na budę – rodzeństwo nie żyje, więc nie mam nawet komu przekazać urzędu. No nic, może ten stary krętacz Sowa da parę rubli za jakieś dane tu zawarte. Chcę właśnie zabrać się za przeglądanie pozostałych wpisów, kiedy nagle słyszę krzyk na zewnątrz:

-Widmooooo!!

Chwilkę potem pada strzał. Umysł w ciągu ułamków sekund

analizuje sytuację – ‘widma’ to elita Monolitu, snajperzy i łowcy. Skoro tu są, to prawie na pewno szukają mnie. Jestem w piwnicy, ale nie wiem jak długo będę tu bezpieczny. Strzał, skąd padł strzał... Niech tylko gnojek drugi raz naciśnie spust... Tak! Wystrzelił kolejny pocisk... Wschód, południe...? Południowy wschód! Ściągam z pleców zdobyczne SWD i wybiegam z piwniczki na powierzchnię, po czym rzucam się za pobliski murek dla osłony. Rozglądam się szybko po obozie – strażnik z dachu leży martwy na blaszanym pokryciu, na pewno to on krzyczał. Na środku obozu leży jeden z kotów w barwach Czystego Nieba – dostał w udo, próbuje się doczołgać do osłony. Niestety, po chwili pada kolejny, trzeci już strzał – młodzik dostaje znów, tym razem w głowę. Wszyscy próbują znaleźć jakąś osłonę... Wyskakuję zza murku i biegnę w stronę niedalekiej szopy, powinna zapewnić mi wystarczającą ochronę przed wzrokiem strzelca. Po drodze snajper oddaje kolejny strzał, który mija mnie dosłownie o włos, raniąc tylko lekko mój bark. Piecze jak cholera, ale nie zatrzymuję się. Dobiegam do budynku, opieram

się o niego plecami i sprawdzam stan ramienia – kula przeszła przez miękkie, nic groźnego, jednak mimo wszystko paskudzę krwią na ziemię. Wyciągam szybko z jednej z kieszeni płaszcza bandaż i wciskam go pod ubranie, przykładając opatrunek do ramienia. Widmo strzela ponownie; widzę jak kolejny stalker pada wyłuskany zza osłony. W obozie tworzy się niezłe zamieszanie – niektórzy z łowców strzelają na oślep w miejsce, gdzie powinien znajdować się monoliciarz, dając mi tym samym szansę na względnie bezpieczne oflankowanie przeciwnika. Niedaleko są wzgórza, na sto procent siedzi gdzieś tam... Napastnik strzela ponownie – tym razem chyba pudłując – pozwalając mi na odkrycie jego pozycji.

Zrywam się do biegu spod stodoły; pędzę przez krzaki z nadzieją, że nie zdąży mnie zauważyć. Gałęzie uderzają mnie po twarzy, bark nadal piecze i boli, ale nie zwracam na to uwagi – skupiam się na czym innym. Po paru chwilach szalonego pędu z karabinem w rękach dobiegam do przyczółku – kilka sporych głazów porośniętych jakimś mchem. Stąd mam dobry widok na

wzgórze, z którego strzelał. Układam lufę w szczybie jednego z kamieni i szukam wzrokiem mojego celu, lub kolejnego rozbłysku z lufy...

Jest!

Pada kolejny strzał – piąty, szósty? Była chwila przerwy, widocznie przeładowywał. Przyglądam się przez lunetę i dopiero zauważam sylwetkę wroga – dobrze się ukrył... Biorę wdech, starając się uspokoić bijące szaleńczo serce, celuję po czym naciskam spust. Za każdym razem odnoszę wrażenie, jakby świat wokoło zwalniał, jak gdyby z zapartym tchem patrzył na wystrzeloną kulę, aby zobaczyć, czy dosięgnie celu... Kolba uderza mnie lekko w bark, wywołując kolejną falę bólu w ranionym ramieniu, lufa odbija w górę, pocisk trafia strzelca. Zarzucam karabin na plecy, liczę do trzydziestu, po czym biorę do rąk 'pionówkę' i truchtem ruszam w stronę zwłok, kryjąc się pomiędzy krzakami. W ciągu minuty pokonuję te kilkaset metrów. Tak jak myślałem, trup. Kucam przy zwłokach i kładę strzelbę na kolanach. Kula przeszła przez oba płuca – wszystko wokoło jest

zachlapane ciemną, tętniczną krwią. Paskudna śmierć. Przeszukuję trupa – nie ma nic wartego uwagi, nawet kasy. Amunicja... praktycznie wcale – tylko jeden łukowy magazynek do SWU z pięcioma nabojami. Sam karabin ma cztery naboje, obok leży pusta ładownica. Coś tu śmierdzi... Zaczynam nasłuchiwać odgłosów otoczenia – niby wszystko jest w porządku, ale jednak...

Klik...!

Parędziesiąt, może paręnaście metrów dalej słyszę dźwięk zwalnianego zamka kałasza. Myśli jak szalone zaczynają krążyć w głowie i układać się w jedną całość, w ciągu paru sekund rozumiem wszystko... Prawie. Po prostu monolitowcy chcieli mnie zabić w bazie, albo ewentualnie z niej wywabić – wiedzieli, że jak zawsze wyrwę się do przodu. Wystawili jednego ze swoich jako podpuchę i czekali na rozwój sytuacji... W tym wypadku po prostu aż podejdę do trupa. Ciekawe, ilu ich teraz tam jest? Dwóch, trzech? I czy nie wystarczyło po prostu poczekać, aż sam opuszczę bazę...? Najwidoczniej ruszyłem coś ważnego, skoro tak im się śpieszy... W duchu przeklinam

Zonę wraz z przyległościami i całym ścierwem jakie wydała. Po chwili błyskawicznie wstaję, obracam się i dwukrotnie naciskam spust strzelby, celując instynktownie. Jeszcze zanim cichną echa 'pieśni' mojej broni, rozlega się pierwszy strzał...

14.27

Pamiętam, kiedy dostałem pierwszą kulkę – to było jakiś czas przed Zoną. Dowódca mówił do nas wtedy: "Macie walczyć do ostatniej kropli krwi! Choćbyście mogli tylko ruszyć palcem - to wsadźcie go w oko pierwszego wroga, który podejdzie!". Oczywiście, co za śliczna teoria... Miałem za zadanie ochraniać jakiegoś spalonego bogacza, już nawet nie pamiętam jak się nazywał. Kiedy z tłumu ludzi pod operą wynurzył się gość z pistoletem w ręce i złożył się do strzału, osłoniłem grubasa własnym ciałem. Oberwałem dwie kule w kamizelkę – skończyło się na połamanych żebrach – i jedną w okolice nerki, przeszła przez kevlar... Od razu odechciało mi się wszystkiego – czułem, jak

wraz z krwią ucieka ze mnie cała wola walki i życia. Miałem w głębokiej dupie wszystko – nawet to, że bogacz zginął, trafiony kolejnymi kulami zamachowca, który na końcu sam popełnił samobójstwo. Koniec końców, z braku winnego, zrobiono kozła ofiarnego ze mnie. Na szczęście po dwóch tygodniach pobytu w szpitalu pozbierałem się na tyle, by uciec stamtąd i wykorzystując kontakty w podziemiu, przenieść się do Zony - jedyne miejsce, gdzie nikogo się nie szuka. Po tym wszystkim przysięgłem sobie, że nigdy ponownie się nie poddam, nie pozwolę sobie na takie odrętwienie jak wtedy.

Do dziś.

Wiem tyle, że dostałem trzy kule, sądząc po terkocie broni, 5.45mm. Gdzieś pomiędzy sercem a płucami, w udo i nad prawą nerką. Raczej relatywnie niegroźne, inaczej już bym nie żył. Mimo wszystko jednak nie mam siły się ruszyć. Umysł znów zaczyna zwalniać, jest mu wszystko obojętne. . . Nie liczy się to, że leżę z twarzą w błocie, że właśnie powoli wycieka ze mnie życie i wsiąka w brudne, wilgotne podłoże. Jednak do głowy uparcie

dobija się jedna myśl – kto strzelił zaraz po mnie? Przecież nie był to żaden z monoliciarzy. . . Poza tym – dlaczego ja nadal żyję? Słyszę jeszcze tylko, jak ktoś do mnie podchodzi i coś mówi – nie rozróżniam już słów; czuję, jak na umysł opada zasłona ciemności i tracę świadomość. . .

Światło?

Kiedyś nasłuchiłem się opowieści, żeby "nie iść w stronę światła". Jednak jak to zwykle bywa, po paru sekundach dochodzenia do siebie okazuje się, że to po prostu lampa, którą jakiś idiota wycelował prosto w twoją twarz. . . Otwieram powoli jedno oko, starając się patrzeć jakoś w bok, żeby ta cholerna żarówka tak nie przeszkadzała. Próbuję się poruszyć i zalewa mnie fala bólu – czuję się niemal, jakbym oberwał ponownie trzema kulami. Po chwili wzrok przyzwyczaja się na tyle, że mogę jako-tako rozejrzeć się po pomieszczeniu. Jakaś sala operacyjna? Cóż, do połowy ścian widać żółknięte, małe kafelki, gdzieś tam popękane – tak samo prezentuje się podłoga. Zmysły powoli zaczynają działać jak powinny – w nozdrza uderza mnie specy-

ficzny zapach środków do dezynfekcji. Podnoszę lekko głowę i stwierdzam, że leżę na łóżku, przykryty czymś, co kiedyś było wojskowym śpiworem, a teraz robi za kołdrę. Po chwili z pomieszczenia obok – być może korytarza - słyszę parę głosów, po czym drzwi się otwierają i wchodzi mężczyzna ubrany w biały kitel. Znaczący, na pewno biały w zamierzeniu – teraz jest "przyozdobiony" plamami krwi i innymi płynami. Widząc, że już się obudziłem, podchodzi z uśmiechem i mówi:

– No, braciak! Szczęście macie, że żyjecie! Wlodo was tu targał niezły kawał drogi!

Co za Wlodo, do diabła? Mrużę znów oczy, dając mu znać, żeby zrobił coś z tą nieszczęsną lampą... Widząc to, uderza się płaską dłonią w czoło i odsuwa stojak ze 100-watową żarówką nieco na bok. Teraz mogę przyjrzeć się facetowi: jest dość niski, w średnim wieku, lekko łysawy na czubku głowy i ma końską twarz, która, nie wiem dlaczego, przywołuje mi na myśl weterynarza. Próbuję zadać pytanie, ale kiedy chcę otworzyć usta, dociera do mnie, że chce mi się pić – mój język jest sztywny jak

kołek. Doktorek widząc mój grymas, podchodzi do stolika i podstawia mi do ust kubek z wodą. Biorę kilka łapczywych łyków, po czym daję znać, że na razie wystarczy. Ponownie próbuję zadać pytanie:

- Gdzie... jestem?

Mężczyzna lekko się uśmiecha, po czym odpowiada:

- Jak to gdzie? W lazarecie naszego ukochanego Baru!

No tak, Bar. Gdzie indziej może trafić ranny stalker. Oczywiście biorąc pod uwagę, że nikt go w międzyczasie nie dobije i nie okradnie. Zadaje kolejne pytanie:

- Kto... mnie przyniósł?

- Ano, jak wam mówiłem – Wlodo. Fajny chłopak z niego, porządny. Nie zostawi stalkera w potrzebie.

Jakoś nie chce mi się wierzyć, że przypadkowy stalker – nawet czysty jak łza – targałby mnie taki kawał na plecach do Baru. Poza tym – baza Czystego Nieba była paręset metrów dalej, nie mógł mnie zaciągnąć po prostu tam? No dobra, tego dowiem się najwyżej później. Teraz zadaję jeszcze jedno pyta-

nie:

- Jak długo... leżę?

- Dobrze trzy dni będzie. No, praktycznie ciągle nieprzytomni byliście. Sporo krwi żeście stracili, trzy kule to nie w kij dmuchał. Dobra, muszę iść zając się lekami, jak coś, to wołajcie.

Mężczyzna odwraca się, wychodzi i zamyka drzwi, a ja zaczynam myśleć o tym, czego się dowiedziałem – ot, jakiś stalker wyciągnął mnie rannego z bagien, niósł na plecach dobre cztery kilometry przez pieprzoną Zonę, po czym zostawił mnie tu pod pełną opieką medyczną, nie przekazując żadnej informacji o zapłacie czy czymś podobnym... Przywykłem już dość dawno do myśli, że tutaj nawet kuli nie dostaje się za darmo – bo po tym zabiorą ci całą kasę jaką masz. Jednak nagle do głowy wpada mi jedna uporczywa myśl, od dłuższego czasu krążąca w mojej podświadomości.

Wlodo? Władimir?

Czyżby...? W PDA dziewczyny było napisane, że tak miał na imię jej brat. Być może błędnie założyłem, że martwy wol-

nościowiec był jej zaginionym rodzeństwem... W sumie wysnułem ten wniosek patrząc na zdjęcie, jakie przy sobie miał... Ale skąd w takim razie u niego ta fotografia? No tak, niektórzy – tacy jak Sowa - są w stanie dać paręset rubli za "artefakt" tego typu. Znajac "wolność", być może po prostu okradł poprzedniego właściciela...

Nie, nie...

W myślach uderzam się w czoło – chyba mam poważną gorączkę, skoro snuję już tak daleko idące teorie... Odsuwam od siebie te myśli i próbuję zasnąć – szczęśliwie teraz bez lampy świecącej w oczy. Potem przyjdzie czas na myślenie i zadawanie pytań.

7 dni później, 12.38

Nienawidzę tego... To uczucie, kiedy jesteś pomiędzy bytem, a niebytem, otumaniony lekami, a twoja podświadomość wyciąga z twojego umysłu najgorsze koszmary i wykorzystuje je prze-

ciwko tobie... Chcesz się obudzić, ale wiesz, że to niemożliwe – to nie jest zwykły sen. W ten sposób znów odczuwam wyrzuty dawno zagłuszonego sumienia, poczucie winy ponownie pulsuje mi w głowie, a dłonie znów sprawiają wrażenie zachlapanych cudzą krwią... Po co wymyślać piekło, skoro znajduje się ono w głowie każdego z nas? Każdego, kogo skalała Zona?

Cztery dni.

Tyle czasu trwała ta mordęga. Kolejne dni, jakie spędziłem w lazarecie – półprzytomny, majaczący w malignie, podłączony do eksperymentalnej aparatury leczniczej, wykorzystującej do działania sprzężenia pomiędzy artefaktami.

Cztery dni.

Na szczęście już po wszystkim – od rana jestem już na nogach, nie czując wcale nie tak dawnych ran. Magia Zony – potrafi zabijać tak samo skutecznie, jak leczyć. Odebrałem już swój ekwipunek od kwatermistrza, sprawdziłem go i zauważyłem, że zniknęła tylko jedna rzecz – PDA dziewczyny. Mogłem się tego domyślić...

Teraz stoję w piwnicy, w barze „100 Radów” i popijam herbatę z prądem. To miejsce zawsze miało swój klimat sprzyjający rozmyślaniom... A przez ostatnie dni wydarzyło się tyle, że jest o czym myśleć. Jednak z zadumy nad ostatnimi zdarzeniami wyrывa mnie mężczyzna, który podchodzi do mojego stolika i bez słowa siada obok. Typowy łowca – ma na sobie lekki kombinezon „Świt” pomalowany w maskujące barwy, nóż myśliwski przy pasie i maskę przeciwigazową na plecaku. Odzywam się pierwszy, domyślając się, kim jest:

- Wlodo, tak?

Mężczyzna kiwa głową, po czym wyciąga PDA – właśnie TO – i kładzie je na stole. Wskazuje na nie palcem, po czym mówi:

- Opowiedz mi... Jak zginęła?

Chciałbym móc odpowiedzieć coś epickiego i pompatycznego, coś w stylu „Lepiej opowiem ci jak żyła” albo „Drogo sprzedała swoje życie”... Chciałbym. Ale to Zona – tu nie ma wielkich czynów ani epickich opowieści. Tu jest tylko brudne przetrwanie

tych, którzy uciekli do tego miejsca przed doganiającą ich przeszłością, przybyli w poszukiwaniu lepszego życia czy z jeszcze innych powodów, znanych tylko im samym. Spoglądam mężczyźnie w oczy, po czym odpowiadam:

- Szybko i bezboleśnie. Możesz być pewien, że nie cierpiała i że myślała o tobie do ostatniej chwili.

Widzę po jego spojrzeniu, że chciałby usłyszeć co innego – coś, co pozwoliłoby wyidealizować pamięć o siostrze, zapamiętać ją po śmierci jako niemal herosa z dawnych mitów... Niestety, nie potrafię opowiadać zmyślonych historii z przejęciem i przekonaniem, jak czynią to niektórzy stalkerzy. Starzy bazarze i bardowie, którzy zasiadają przy ogniskach i wieczorami prawią historie, które wywołują łzy, wprawiają w euforię, czy poprawiają nastrój nawet najbardziej załamane go człowieka. Niestety, ja nie posiadam takiego talentu. Władimir kiwa głową na znak zrozumienia moich słów, po czym bierze z powrotem PDA, chowa je do plecaka i wstaje. Chce odejść bez słowa, lecz po chwili zatrzymuje się odwrócony plecami do mnie i rzuca przez ramię:

- Jesteśmy kwita, stalkerze. Ani ty nie jesteś mi nic winien, ani ja tobie.

Przytakuję gestem, mimo, że on nie może tego widzieć. Po chwili wychodzi i znika z mojego pola widzenia. Dopijam herbatę, płace barmanowi, po czym wychodzę na zewnątrz, po drodze odbierając broń od bramkarza. Teraz wypadałoby sprzedać sprzęt z plecaka i zaplanować następne kilka dni. Idę do budynku na północ, gdzie mieści się mała zbrojownia i skup złomu zarazem. Sprzedawca, czy jak go nazwać, siedzi jak zawsze za ladą z nogami na pobliskim stole i żuje tanie cygaro – nigdy nie widziałem, żeby je palił. Podchodzę bliżej, ściągam plecak, po czym wyciągam z niego zdobycznego 1911 i kładę na stół razem z czterema zapasowymi magazynkami. Ten bierze broń do ręki, ogląda ją ze wszystkich stron, rozładowuje, sprawdza działanie mechanizmów, po czym mówi:

- Dam ci pięćset – dawno nie miałem żadnej czterdziestki piątki na stanie. Magazynki wezmę po pięćdziesiąt za sztukę.

Kiwam głową i wyciągam rękę po pieniądze. Zbrojmistrz odli-

cza banknoty, po czym podaje mi je. Po chwili namysłu ściągam z pleców SWD i pytam:

- Ile za to?

Proces badania i oględzin broni powtarza się, tym razem trwa jednak dłużej. W końcu mężczyzna stwierdza:

- Też zadbany, szybko pójdzie... Dam ci cztery tysiączki, no może cztery i dwieście.

Przytakuję, wyciągam pozostałe puste magazynki i podaję mu je, biorąc w zamian kasę. Znow wychodzę na 'świeże' powietrze. No tak, muszę jeszcze opłacić 'abonament' u barmana, całkowicie zapomniałem... Pamiętam, jak na początku bulwersowałem się o cotygodniowe opłaty za korzystanie z noclegowni na terenie Baru – dopiero po pewnym czasie zrozumiałem, że ma to sens. W końcu nie każdy stalker sprzedawał artefakty i inny towar barmanowi czy jego handlarzom, w związku z czym nie byłoby z czego utrzymać tego miejsca. A nikt nie chciałby płacić za wszystko z własnej kieszeni... Wracam znow do piwnicy „100 Radów” i ponownie podchodzę do barmana. Wy-

ciągam 300 rubli, kładę je na ladzie i mówię:

– Za tydzień noclegów.

Barman bierze kasę i chowa ją do kasetki pod stołem, po czym znika na chwilę, kucając i szukając czegoś zapamiętale. Po chwili wstaje ponownie i wyciąga w moją stronę poplamioną, wielokrotnie używaną i żółtkniętą kopertę i mówi:

- Ten stalker z którym gadałeś... Kazał ci to dać, wrócił chwilę po tym, jak wyszedłeś.

Wzruszam ramionami, biorę kopertę i siadam niedaleko. Obracam chwilę w rękach sztywny od starości i brudu kartonik, po czym otwieram go.

7 dni później, 16.42

Po otwarciu koperty moim oczom ukazuje się stara fotografia, przedstawiająca CEJ. Zdjęcie wygląda, jak gdyby miało je w rękach na przestrzeni lat wiele osób – jest poplamione, sztywne od brudu oraz starości i konkretnie wypłowiałe. Ciekawe kto

i kiedy w ogóle je zrobił... Na odwrocie jest coś napisane: "Tu znajdziesz to, czego szukasz, stalkerze". Co do...? To brzmi jak stara mantra, powtarzana przez tych, którzy dotarli kiedyś do centrum Zony i byli w stanie wrócić o własnych siłach. Każdy jeden z nich zachowywał się jak niespełna rozumu, ale ze wszystkich ich opowieści można było wyciągnąć jedną wspólną rzecz – gdzieś tam znajduje się tajemniczy Spełniacz Życzeń. Artefakt, urządzenie, czy cokolwiek innego, pozwalające na spełnienie dowolnego marzenia śmiałka, który tam dotrze. Nigdy nie wierzyłem w takie bzdury, ale kiedy słyszy się to tyle razy, od tylu różnych osób... Może jednak jest w tym chociaż ziarno prawdy?

Jedno życzenie. Moje życzenie. Moje.

Spośród wszystkich błędów, jakie w życiu popełniłem... Do naprawienia jednego z nich rzeczywiście byłaby potrzebna taka pomoc. A ja byłbym w stanie oddać za to co tylko mogę... Też dlatego do tej pory comiesięcznie wysyłam przez Sida anonimowo pewną kwotę na adres w Moskwie. Marne zadośćuczynienie

za dawne grzechy. Niestety, pieniądze nie zwracają życia. Nie leczą ran na sercu. Nie uspokajają myśli. Pieniądze pozwalają tylko zająć umysł, aby nie skupiał się na tym, co nas gryzie i męczy.

Pieniądze.

Zwykły papierek, któremu sami nadaliśmy wartość, wmawiając innym, że tak będzie lepiej. Nie zwróciliśmy uwagi, że wraz z tym zaczęliśmy tracić nasze człowieczeństwo. Może i w normalnym świecie ktoś może zaprzeczać, że tak wcale nie jest, jednak w Zonie... W Zonie z czasem każdy staje się gorszy od mutantów. One przynajmniej nie kryją wrogich intencji. Cholerny, zdradziecki świat...

I na szczycie ja – pieprzony tchórz.

Gdybym nie próbował uciec tutaj, do tego piekła, może nadal by żyła, a ja nie walczyłbym z wyrzutami sumienia? Może. Jednak wtedy byłbym martwy i miałbym wszystko głęboko gdzieś... Życie za życie – tylko nikt nie pomyślał, żeby spytać ją o zdanie, czy się na to zgadza. I co z tego, że to nie ja pocią-

gnąłem za spust? Moje wybory bezpośrednio do tego doprowadziły...

Moja biedna Marina...

Rugam siebie w myślach – że też zebrało mi się na wspomnianie przeszłości, znowu. Rozglądam się podejrzliwie po głównym pomieszczeniu baru – wszyscy zajmują się swoimi sprawami: oblewaniem udanych wypadów, zapijaniem smutków po tych nieudanych, czy piciem ku pamięci poległych, dobrych stalkerów. No tak, przecież póki co nikt nie umie czytać w myślach... Choć w sumie słyszałem już legendy o artefakcie, który miałby niby na to pozwalać. No dobrze, ale nie popadajmy w paranoję. Ponownie zatapiam się w odmętach mojego umysłu, dając się ponieść nurtom wspomnień... Niestety, głównie złych. Zona jest takim paskudnym miejscem, które potrafi w człowieku stłamsić wszystko, co dobre, a uwydatnić to, co najgorsze.

Zona. Co w niej takiego jest, że ludzie ciągną tu jak muchy do otwartego słoika miodu wytarzanego w gównie w upalny dzień? Przecież jest tyle innych możliwości zarobienia sporej kasy...

Bezpieczniejszych możliwości, dodam. Z drugiej strony – życie tutaj, w permanentnym uczuciu zagrożenia w końcu zaczyna uzależniać, jak narkotyk. Na początku pojawiaasz się, bo słyszałeś, że można tu nieźle zarobić. Potem próbujesz zdobyć ruble na powrót do domu, kiedy nie dajesz już rady. W końcu jednak przywykasz i żyjesz tu tak długo, aż nie zginiesz w anomalii, od szponów mutanta, czy zastrzelony przez wojskowych albo innych stalkerów. Poza tym – Zona to tajemnica. Iluż to z nas w dzieciństwie marzyło, żeby znaleźć się tam, gdzie nikt jeszcze nie postawił stopy, odkryć coś nieznanego, rozwiązać jakąś wielką zagadkę... Tutaj to marzenie w pewien sposób się spełnia – tylko niestety za darmo dostajemy również wszechobecną śmierć i walkę o przeżycie każdego dnia. A mimo wszystko tu jesteśmy... Dlaczego?

Bo Zona jest tajemnicza. Przyciąga.

Kryje jeszcze tyle sekretów, których nie wyjaśniliśmy, tyle fenomenów, których nie daliśmy rady wytłumaczyć, tyle miejsc, jakich nie odkryliśmy... A także ta fotografia – wbrew wszyst-

kiemu fascynująca swoją tajemniczością.

”Tu znajdziesz to, czego szukasz, stalkerze”

Spełniacz Życzeń... Logika podpowiada, że to bzdura, ale wyobraźnia wówczas nasuwa na myśl choćby artefakty czy anomalie - ich istnienie też może się wydawać bzdurą. Dopóki człowiek nie spotka ich osobiście...

”Logika może cię zaprowadzić od punktu A do punktu B, ale wyobraźnia może zaprowadzić cię gdziekolwiek”

Przypominają mi się stare słowa, które nie pamiętam już kto wypowiedział... Jednak w warunkach Zony niezbędny jest też instynkt, który pozwoli przetrwać tą drogę – nieważne czy współ z logiką czy z wyobraźnią – w jednym kawałku.

Instynkt.

To właśnie nim się kieruję przebywając w Zonie. Nie zdradzieckim sercem, czy toporną logiką. Instynktem. To on pozwalał mi przetrwać wszystkie lata niebezpieczeństw. A teraz mówi mi, żebym wyruszył do centrum. A ja znów go posłucham.

Wstaję od stołu, wychodzę z piwnicy i kieruję swoje kroki

w stronę budynku sypialnianego – muszę dobrze się wyspać przed jutrzejszym dniem, czeka mnie długa droga.



Marcel

Ulubiona broń: Akm 74/2U

Powrót

a tutaj kilka słów o opowiadaniu

Podmoskowie, 16:56, 21.02.2013

Poprawiłem płaszcz i spróbowałem usadowić się wygodniej na tylnej kanapie szarego audi. Prowadził Andriej, pewnie, z niewielką dozą nonszalancji, ignorując ograniczenia prędkości, ale nie porzucając zdrowego rozsądku. Auto, choć niebędące bynajmniej najnowszym modelem, było czyste i zadbane - najwyraźniej właściciel bardzo o nie dbał, chuchając i dmuchając na każdą, nawet najmniejszą, ryskę. Ponownie uniosłem się na siedzeniu, wyrównałem zwijającą się na plecach warstwę materiału, a potem spróbowałem znaleźć trochę więcej miejsca dla nóg. Dobrze byłoby się teraz przespać z godzinkę, organizm potrzebował odskoczni od emocji, jakie przyniosła ostatnia doba, bolała mnie głowa, bolało stłuczone kolano, bolała i dusza. W ustach czułem metaliczny posmak. Za stary już na to jestem, pomyślałem. Za stary. Co mi przyszło...

Opuściłem głowę na pierś, przymknąłem oczy, spróbowałem odepchnąć od siebie ból, skupić tylko na bodźcach ze-

wewnętrznych. Z przodu urywana rozmowa Andrieja i Saszy, uspokajający dźwięk równo pracującego silnika, w głośnikach ciche gitary, głos któregoś ze starych rockmanów - czyżby Fish? - z tyłu mój własny oddech, rytmiczne uderzenia serca. Ciepło, klimatyzacja ogrzała wnętrze samochodu w ciągu kwadransa. Spać, rozkazałem sobie. Spać, spać...

Moskwa - Metro Taganskaja, 18:12, 19.02.2013

Na ruchomych schodach przeszył mnie lodowaty podmuch wiatru. Boleśnie powoli wypełzałem na powierzchnię, ściśnięty w tłumie anonimowych współtowarzyszy podróży wagonami moskiewskiego metra. Dotarłem do szczytu schodów, opędziłem się od szczerbatego łachmaniarza i ruszyłem nieśpiesznie w kierunku domu. Na Tagance mieszkałem dopiero trzeci miesiąc, ale drogę miałem wpisaną już, jak to mówią, w autopi-

lota. Najpierw kilkaset metrów wąskim chodniczkiem, między rzędami bloków mieszkalnych. Później pasy, przejście przez ulicę, kolejna ćwierć kilometra wzdłuż ogrodzenia mojego osiedla. Wreszcie, szósta po lewej klatka, kodowe zamki przy furtce i wewnętrznych drzwiach, kamery i uprzejmi, wąsaci ochroniarze. Wcześniej, oczywiście, wizyta w markecie, kupno czegoś do jedzenia - mogłem zjeść najgorsze gówna, byle dało się je szybko i łatwo rozgrzać w mikrofalówce. Ciekawa sprawa, będąc jeszcze w Zonie, zaklinałem się, że po powrocie będę jadł jak król. Tymczasem, moja dieta składała się w głównej mierze z pizzy, chińszczyzny i alkoholu.

Właśnie, przypomniałem sobie, muszę jeszcze kupić coś na rozgrzewkę. Do kolacji trzy... może cztery piwka, potem ćwiartka, na spokojny sen. Jak co wieczór.

Dwa pełne obroty klucza w zamku i drzwi do mieszkania stanęły otworem. Przekroczyłem próg, zamknąłem za sobą, brzęczącą szkłem reklamówkę postawiłem na podłodze, a płaszcz rzuciłem niedbale do szafy. Nie zdejmując nawet butów, otwo-

rzyłem pierwszą butelkę i chciwie przyssałem się do szyjki. Po kilku łykach usiadłem ciężko na szafce w przedpokoju i zapartryłem się w ścianę. ku*wa, jak mi to już wszystko zbrzydło... Niby miałem wszystko, o czym tylko mogłem marzyć: służbowe mieszkanie w dobrej dzielnicy, wysoką pensję, a na niezależnym od moich mocodawców koncie, okrąglą sumkę, za którą mógłbym uciec na drugi koniec świata i dostatnio się tam urządzać. A jednak wciąż czegoś brakowało, z każdym kolejnym dniem czułem coraz paskudniejszą pustkę i bezsens. Po raz pierwszy w życiu czułem się samotny.

Pusta butelka uderzyła miękko o wykładzinę, odtoczyła się pod ścianę. Wstałem z westchnieniem, wziąłem kolejną i poszedłem do kuchni. W lodówce znalazłem jakieś marne resztki wczorajszego obiadu, po odgrzaniu nie miały absolutnie żadnego smaku, ale mimo wszystko zaspokajały głód. Zjadłem szybko, przepijając kolejne kęsy piwem. Przeniosłem się do salonu, siadłem na parapecie. Szczególnie polubiłem to właśnie miejsce - szeroki, drewniany parapet, tuż przy oknie, z którego rozta-

czał się widok na Moskwę, szarą, brudną i zimną. Całe mieszkanie było urządzone z gustem, FSB nie żałowało pieniędzy na swoich konsultantów, ale pozostałe pomieszczenia swoim przepychem przypominały mi tylko o tym, że lokum nie należy do mnie. Salon, przeciwnie, stał się moją enklawą, zaś ów parapet, jej centralnym punktem. To na nim spędzałem większość wieczorów, powoli nasączałem się piwem i rozmyślając, tylko po to, by później dobić się wódką i zasnąć ciężkim, niedającym wytchnienia snem bez snów.

Najgorszym, co może cię spotkać w życiu, jest obudzenie się ze świadomością, że twoje życie już dawno stanęło w miejscu, a ty nie potrafisz wyrwać się z tego marazmu. To właśnie powiedział mi mój ojciec, niedługo przed swoją śmiercią. Dopiero teraz, po wielu latach, zaczynałem rozumieć, co chciał mi przekazać. Z każdym kolejnym wieczorem sens jego słów stawał się dla mnie coraz boleśniej wyraźny, a z każdym kolejnym tykiem coraz bardziej chciało mi się wyć.

Od roku moim życiem rządziła passywność. Dwa ostatnie

miesiące w Zonie spędziłem siedząc bezpiecznie na zapleczu Baru, nadzorując transporty artefaktów za kordon. Któregoś dnia otworzyłem oczy z przekonaniem, że już nie dam rady wyjść w Strefę. Nie dam - i już. Nie wiem, co się stało, wysiadły mi nerwy, czy też dostałem znak od matuszki Zony, nie wiem. Jako bliski współpracownik Barmana, mogłem liczyć na jego pomoc, facet był bardziej wpływowy, niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Zgodził się zorganizować transport przez granicę, jednak pod jednym warunkiem: zgodzę się na współpracę z "wiadomymi organami". Miało to przynieść korzyści wszystkim, a mnie szczególnie. Być może wcześniej bym odmówił, teraz tylko wzruszyłem ramionami. Wszystko, byle uciec z tego przeklętego miejsca.

Lew towarzyszył mi od pierwszych minut spędzonych w Zonie. Razem zostaliśmy przeschmuglowani przez wojskowy kordon, w milczeniu przeciskaliśmy się przez dziurę w zasiekach, popędzani przez śmierzącego potem i nikotyną przewodnika. Mężczyzna zniknął, gdy oddaliliśmy się o kilkaset metrów od

granicy, zostawiając nas zdanych tylko na siebie. Popatrzyliśmy po sobie, to ja pierwszy wyciągnąłem do niego dłoń.

– Foma – powiedziałem tylko.

– Lew – odrzekł, ściskając moją prawicę.

Ruszyłem przodem, przedzierając się przez gęste krzaki, i wcale nie czułem się zagrożony. No, może przez pierwsze kilka godzin - tak. Ale potem już nie. Przez następne, długie trzy-nastcie miesięcy. Lew stał mi się niczym brat. Razem zaczyna-liśmy, uczyliśmy się przeżycia w Strefie, razem głodowaliśmy, gdy zabrakło pieniędzy. Przeżyliśmy tę zabawną przygodę, gdy nieopodal Skadowska znaleźliśmy trupa w naukowym kombinezonie. Wreszcie, płacąc za to własną krwią i potem, wspólnie wypracowaliśmy sobie w Zonie pozycję, zdobyliśmy uznanie i szacunek, zaczęliśmy zarabiać prawdziwe pieniądze. A potem wszystko trafił szlag. Te dwa miesiące, które spędziłem w grubych murach baru 100 Radów bardzo nas od siebie oddaliły. Lew nadal chodził w Zonę, teraz już sam. Jako doświadczony łowca mógł sobie pozwolić na samodzielne wypady, świetnie

wyposażony, opanowany i śmiertelnie niebezpieczny. Zawsze był lepszym stalkerem ode mnie, musiałem to przyznać. A jednak to właśnie ja przewodziłem naszej parze. Sam nie wiem, co o tym zadecydowało, może fakt, że wtedy, pierwszego dnia, to ja ruszyłem przodem. Lew milcząco zaaprobował moje przywództwo, choć nie wahał się oponować, gdy któryś z moich pomysłów mu się nie spodobał.

O swoim wyjeździe poinformowałem go już po rozmowie z Barmanem. Skinął tylko głową - nigdy nie mówił dużo - i wyciągnął do mnie dłoń. Uścisnąłem ją, mocno, w milczeniu, bo i co miałem powiedzieć. Odwróciłem się i odszedłem, by następnego wieczora opuścić Strefę na pace wojskowej ciężarówki. Nie widziałem go już więcej.

Następne miesiące minęły mi w kolejnych, coraz to bardziej tajnych ośrodkach Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Z początku byłem traktowany niczym więzień, przesłuchiowano mnie, wielokrotnie zadając te same pytania o moje życie w Zonie. Później nadeszła kolej na szkolenia, najwyraźniej wierchuszka

uznała, że doświadczenia stalkera Fomy Pietrowicza mogą być wartościowe dla interesów Federacji. W końcu wręczono mi klucze do mieszkania na Tagance i kopertę z okazałą premią motywacyjną, zaznaczając mimochodem, że nie wolno mi opuszczać granic miasta Moskwa. Oficjalnie byłem właścicielem niewielkiej firmy, zajmującej się sprzedażą i montażem urządzeń monitorujących. Nieoficjalnie, przez pięć dni w tygodniu ślęczałem w maleńkim gabinecie, w ponurym budynku, znajdującym się przy ulicy o nazwie znanej w całej Europie Wschodniej: Bolszaja Łubianka. Przekopywałem się przez sterty wojskowych raportów z Zony, uzupełniając je o swoje komentarze. Jako człowiek, który przeżył w tym piekle ponad rok, mogłem wniesć naprawdę wiele w schematy operujących w Strefie Wykluczenia rosyjskich sił specjalnych. Traktowano mnie z szacunkiem, a moje uwagi zawsze brano pod uwagę przy planowaniu kolejnych zadań. Mimo tego, że robiłem coś bez wątplenia pożytecznego, czułem tę cholerną pustkę. Tak, jak źle było mi w Zonie, tak i czułem się poza jej niewidzialnymi granicami.

Moje rozmyślania przerwał dźwięk dzwoniącego telefonu. Niewiele, bardzo niewiele osób miało mój numer, dlatego od razu stałem się czujny. Zeskoczyłem z parapetu, odstawiłem butelkę na szafkę i szybkim krokiem ruszyłem do przedpokoju; telefon musiał zostać w kieszeni płaszcza. Spojrzałem na wyświetlacz, nie znałem numeru. Odebrałem, rzucając do słuchawki szorstkie "Tak?". Rozmówca miał lekko zachrypnięty, niski głos. Nie przedstawił się, od razu przeszedł do rzeczy.

– Od Barmana. Lew nie żyje. Rozstrzelany przez pluton egzekucyjny Powinności, ciało powieszone na drzewie przy południowym wejściu do Baru. Przesyłam zdjęcie. Przyczyna aresztowania i egzekucji nieznana, Barman przypuszcza że ma to związek z twoją współpracą z FSB. Możliwe że w grę wchodzi ingerencja SBU. Barman prosi o kontakt.

Klik. Przerwane połączenie. W chwilę później pojedynczy sygnał, odebrano wiadomość obrazkową, czy chcesz wyświetlić? Ciało Lwa, zawieszone na linie, okropnie skrwawione, klatka piersiowa w strzępach. Szyja okolona grubym sznurem, ciągną-

cym się gdzieś w górę, poza kadr. Głowa pod nienaturalnym kątem, twarz wykrzywiona w grymasie, oczy otwarte, usta też. Wybita ze stawu żuchwa, spłaszczony od ciosów nos. Krew.

Wolno, bardzo wolno odkładam telefon na półkę. Czuję jak wali mi serce. Niezgrabnym, sztywnym krokiem kieruję się do kuchni. Otwieram zamrażarkę, wydaję butelkę wódki, zrywam korek, ciągnę kilka długich łyków.

Lew nie żyje.

Lodowata wódka mrozi zęby i pali przełyk, gorącą falą uderza w ściany żołądka, gorzka gula podchodzi do gardła.

Rozstrzelany.

W oczach mrocznieje, padam na ziemię, boleśnie tłukę kolanem o płytki posadzki. Zaraz odchylam głowę, leję w siebie kolejną porcję alkoholu.

Widzę jego mętne, martwe spojrzenie. Puste oczy patrzą na mnie z dna butelki, rozpaczliwie łykam palący płyn, chcąc uciec od czającego się w nich wyrzutu. Czekam na wódczane zapomnienie, czekam, aż odpłynę w alkoholowy mrok, czekam na

niego, jak na zbawienie. Czekam...

Tanganka, 09:24, 20.02.2013

Obudziły mnie mdłości. Leżałem na podłodze w kuchni, w kałuży wody, wyciekającej z otwartych drzwiczek zamrażarki. Głowa pękała, gdy tylko spróbowałem się poruszyć, kolano zakłuło ostrym, przenikliwym bólem. Zawlokłem się do łazienki, klęknąłem przy sedesie i zwymiotowałem. Gdy już przestały mną wstrząsać spazmy, wszedłem pod prysznic, tak jak stałem, w ubraniu. Strugi zimnej wody spłynęły po moim ciele, zacząłem drżeć, ale nie zakręciłem kurka. Stałem tak kilka minut, skupiając się na fizycznym dyskomforcie, odwlekając moment, w którym będę musiał zebrać się w sobie i wrócić myślami do wczorajszego wieczoru. W końcu wyszedłem z kabiny i z trudem zdjąłem przemoczone ubranie. Wycierając się szorstkim ręcznikiem zacząłem układać w głowie plan działania. Wiedziałem, że tylko w ten sposób mogę pokonać pragnienie odpłynię-

cia po raz kolejny w alkoholowy mrok.

Po pierwsze, co powiedział mi kontakt Barmana. SBU śledzące moją współpracę z FSB, tak, to możliwe. Pojawienie się Zony znacząco wzmocniło pozycję Ukrainy na arenie międzynarodowej, wzrok całego świata skierował się na to niebogałe państewko we wschodniej Europie. Decydenci uznali, że oto nadeszła wspaniała okazja, by całkowicie uniezależnić się od potężnego sąsiada ze wschodu. Więzy z Federacją Rosyjską gwałtownie zerwano, odrzucono propozycje pomocy w okiełznaniu nieznanego nauce zjawiska, skierowano się za to ku zachodowi, który chętnie pompował w podupadły kraj pieniądze, w zamian za możliwość badania cudów Strefy. Jednocześnie, Ukraina postawiła ultimatum: Zona leży na naszym terytorium, więc na jej terenie mogą przebywać tylko nasze wojska. W ten sposób zapewniła sobie pełną kontrolę nad dostępem do niej, co było posunięciem tyleż mądrym, co ryzykownym, biorąc pod uwagę śmiertelnie niebezpieczną naturę Strefy. Utrzymanie jej w ryzach własnymi siłami mogło okazać się zbyt trudnym zada-

niem dla ukraińskich sił zbrojnych, jednak póki co odnosiły one niemałe sukcesy w walce z szalejącymi tam wynaturzeniami.

Oczywiście, do Zony przenikali wszelkiej maści najemnicy na usługach zainteresowanych nią państw, a także zorganizowane grupy, między innymi te, dowodzone przez Centrum Specjalnego Przeznaczenia FSB, słynne oddziały specnazu: Alfa i Wympiel. Bardzo możliwe, że próbowała je powstrzymać Służba Bezpieczeństwa Ukrainy, pytanie tylko, jakim sposobem na celowniku znaleźliśmy się ja i Lew. Czyżby ktoś przypuszczał, że mój przyjaciel także współpracuje z rosyjskimi siłami specjalnymi? Potrafiłem zrozumieć, dlaczego to on stał się pierwszym celem, wiedziałem, że znajduję się pod dyskretną, ale nieustanną ochroną FSB, z jednej strony dbającej o moje bezpieczeństwo, z drugiej - mającej mnie zatrzymać, gdybym jednak postanowił zniknąć z Moskwy. Zona była miejscem, w którym ludzie codziennie tracili życie, coś prostszego, niż zabić jednego stalera. Z drugiej strony, może Barman się mylił i tajne służby nie stały za śmiercią Lwa?

Nie wiem. Tutaj na pewno się tego nie dowiem, pomyślałem. Muszę wydostać się z miasta, wrócić do Zony. Poza chęcią odkrycia prawdy, kierowała mną żądza zemsty. Znajdę ludzi, którzy go zabili i własnoręcznie poślę do grobu. Inaczej nigdy nie odnajdę spokoju.

Tuż przed moim wyjazdem ze Strefy, Barman wyjaśnił mi, czemu chce, bym podjął współpracę ze Federalną Służbą Bezpieczeństwa. Okazało się, że jest ona jednym z głównych kupców artefaktów, przez co pozostaje w ścisłej współpracy z siatką handlarzy działających w Zonie. Handlarze chcieli mieć wewnątrz organizacji swojego człowieka, który będzie miał oczy i uszy otwarte na wszystkie wartościowe informacje. Jako że przez kilka miesięcy pracy u Barmana zdobyłem jego zaufanie, jawiłem się jako doskonały kandydat na to stanowisko. Kusiła także pokaźna suma, jaką mi zaoferowano za podjęcie się tego zadania. Zgodziłem się, ryzykując niebezpieczną zabawę w kotka i myszkę z ludźmi nieskończenie bardziej ode mnie doświadczonymi w takich rozgrywkach. Ustaliliśmy bezpieczny kanał,

za pomocą którego miałem się z nim kontaktować, oczywiście tylko w razie absolutnej konieczności. Nadeszła pora, by sprawdzić, czy ludzie Barmana będą w stanie porwać mnie sprzed nosa agentów FSB.

Z szafki w salonie wyciągnąłem komórkę, tani, pozbawiony jakichkolwiek gadżetów model samsunga. W portfelu nosiłem kartę sim, jak dotąd ani razu nieużyta. Wyłamałem ją z ramki, włożyłem do telefonu, uruchomiłem urządzenie. Wstukałem wyuczony na pamięć numer, nacisnąłem zieloną słuchawkę. Odczekałem trzy sygnały, przerwałem połączenie. Kartę połamane, telefon zaś cisnąłem przez okno. Mieszkanie znajdowało się na dziesiątym piętrze, nie było szansy, by aparat wytrzymał spotkanie z ziemią.

Samo zalogowanie się telefonu do systemu operatora było sygnałem, uruchamiającym szereg akcji, w efekcie których mieli do mnie dotrzeć współpracownicy handlarzy. Cóż, niedługo się przekonam, co z tego wyjdzie, pomyślałem.

Ubrałem się, wybierając jak najwygodniejsze i najpraktycz-

niejsze odzienie. Przez chwilę wahałem się nad zabraniem ze sobą broni, leżący w szufladzie Heckler&Koch kusił swoją zabójczą skutecznością. W końcu odrzuciłem ten pomysł, więcej byłoby z nim zmartwień niż pożytku. Do kieszeni spodni wsunąłem zawczasu przygotowany zwitek pieniędzy, głównie hrywien i dolarów. W końcu, zadowolony z poczynionych przygotowań, usiadłem na parapecie i spojrzałem w dół, na buro-śnieżną Moskwę.

Dwie godziny później, jak gdyby nigdy nic, do moich drzwi zapukało dwóch postawnych mężczyzn, którzy przedstawili się jako Andriej i Sasza, po czym zaprosili mnie do zaparkowanego pod klatką szarego audi.

Kijów, Ukraina, 07:12, 22.02.2013

– E, stalker, obudź się. Jesteśmy na miejscu.

To Andriej potrząsnął mnie lekko za ramię. Otworzyłem oczy, spojrzałem na zegarek. Spałem prawie dziesięć godzin, co cie-

kawe, nie obudzono mnie nawet przy przekraczaniu rosyjsko-ukraińskiej granicy. Wyglądało na to, że Barman był człowiekiem o wiele bardziej wpływowym, niż przypuszczałem.

– Jesteśmy - powtórzył kierowca. - Kijów. Wysiadka.

Wysiadłem z samochodu, poprawiłem płaszcz i zlustrowałem spojrzeniem okolicę, w której się znaleźliśmy. Osiedle niskich, szarych domków jednorodzinnych, zatrzymaliśmy się na podjeździe przed jednym z nich.

– W środku czekają ludzie, którzy przetransportują cię do Strefy - poinformował Sasza, opierający się o maskę samochodu.

– Nasza robota jest już skończona.

– Nic nie pozostaje, tylko życzyć ci powodzenia – dodał Andriej. Podziękowałem skinieniem głowy.

Mężczyźni wsiedli do wozu, Andriej uruchomił silnik i ruszył ostro, bluzgając spod kół mieszaniną błota i śniegu. Odwróciłem się i ruszyłem w stronę domu. W głowie tłukła mi się tylko jedna myśl: wracam do Zony.

Wracam.

Wracam.



Tormentor

Ulubiona broń: Noiseless
Viper

Piętno

A co mi tam, pozwolę sobie na umieszczenie własnych wypocin. Proszę o wyrozumiałość bo to pierwsze opowiadanko z pod moich palców. Warsztat jest jaki jest :). Zawrotnej akcji i plastycznych opisów krajobrazu Zony na razie nie ma, ale mam nadzieję, że zachęcę do śledzenia dalszych rozdziałów, które wkrótce umieszczę.

Rozdział I

Wieść:

Wskazówki kieszonkowego chronometru ustawiły się prostopadłe demonstrując tym samym kwadrans po dwunastej. Trwającą dotychczas ciszę zakłócił zgiełk i hałas zasuwanych krzesel. Spiker przez megafon donośnie ogłosił przerwę w pracy. Giennadij schował подарowany niegdyś przez ojca zegarek do jednej z kieszeni uniformu i wstając zakomunikował woźnemu koniec pełnionej funkcji. Zanim ruszył do wyjścia złączył plik kartek i starannie umieścił go w szufladzie, po czym delikatnym ruchem ręki umieścił kluczyk w zamku, mechanizm matowo szczękniętym tym samym zabezpieczając wartościowe dokumenty przed wścibskim okiem osób trzecich. Giennadij zasunął fotel i skierował się do wyjścia.

- Jak panu czas mija? – odezwał się woźny kręcąc kluczami.
- Wyjątkowo szybko, dzisiaj akurat mało roboty i można trochę poleniuchować za biurkiem – odpowiedział Giennadij

wyciągając z torby śniadanie.

- Widzi Pan, ja nawet nie mogę nóg wyłożyć na taboret, bo zaraz przyleci kierownik i opieprzy. Ostatnio to mi krzyżówki zabrał dziadyga jeden, was to tam nie pilnują, bo robota inna, ale mnie od razu za uszy ciągną.
- A ja panu powiem, że papierkowa robota też za ciekawa nie jest w dodatku muszę zajmować się obserwacją i pomiarem próbek. Czasami zamienił bym się z kimś pracą, tak dla odmiany – uśmiechnął się Giennadij i pozdrawiając kolegę udał się do jadalni.

W ciągu paru minut salę wypełnił cały personel, panujący gwar nosił się po ścianach tworząc przenikliwe echo. Giennadij idąc korytarzem co rusz witał pozostałą personę, która z przejęciem pałaszowała wymyślne dania sporządzone przez siebie lub rodzinę. Pracownik postanowił przysiąc się do kolegów z kadry.

- Cześć Gieno, co tam Ci dziś żonka sprezentowała, moja się pofatygowała i jabłecznik upiekła – rzucił starszy przyjaciel, na, którego wszyscy wołali Wuser.

- Kanapki z szynką i ogórkiem, nic szczególnego – pochwalił się Giennadij rozwijając papier z pieczywa.
- No widzisz, trzeba się postarać w nocy, by rano dostać taki specjał – zaśmiał się Wuser odsłaniając zęby pełne ciasta. Wszyscy obok zrobili to samo, o mało się nie krztusząc. Brechtające gęby nagle umilkły, gdy obiekt żartów wyciągnął zza pazuchy buteleczkę. Wszyscy zrobili konspiracyjne miny i po chwili ponownie zarechotali strojąc przy tym komiczne miny. Wszyscy z aprobatą przyjęli pomysł strzelenia przysłowiowego kielicha i potajemnie wyciągnęli w stronę Giennadija kubeczki z termosów. Kieliszków nikt nie nosił z obawy przed kontrolą, samo noszenie napojów alkoholowych do pracy mogło przynieść za sobą poważne konsekwencję. Jednak koneksje z pracownikami wyższego szczebla dawały gwarancję na przymrużanie oka w przypadku sytuacji łamiących regulamin, a takowe układy posiadał Giennadij.
- Może kawałek ciasta? Śmiało częstować się – oznajmił Wuser, wpychając do ust kolejną porcję jabłecznika.

Zgromadzeni przy stole przyjęli podarek w ciszy delektując się słodkim deserem.

- Słyszeliście o pewnej rekrutacji, którą mają tutaj wdrożyć. Ponoć tajne ugrupowanie zbiera ludzi do bliżej nieokreślonych prac związanych z badaniem promieniowania w Czarnobylu. Wiadomo mi, że inicjatorem tego przedsięwzięcia ma być niejaki Piotr Kaługin. Słyszeliście o takim? – zapytał Wuser robiąc przy tym kwaśną minę.
- Nie znam gościa, pewnie jakiś świr. Ciekaw jestem co oni chcą badać w tym wyludnionym mieście zawałonym kupą stali i innymi rupieciami – wtrącił inny kolega z personelu.
- Mi to wygląda na jakiś zakulisowy program. Przecież u nas w Prypeci prowadzimy diagnozy nad oddziaływaniem promieniowania na tutejszą florę i faunę, więc dlaczego mieliby to samo robić w Czarnobylu. Może środowisko inne i badania ciekawsze. Jeśli mnie wybiorą to z chęcią zmienię otoczenie, może lepiej płacić będą – dodał i uśmiechnął się

półgębkiem Patejuk

- A ty Giennadij co o tym sądzisz? – rzucił ponownie Wuser ignorując ostatnią wypowiedź.
- Ciekaw jestem co z tego wyniknie. Zastanawiam się, gdzie oni prowadziliby te doświadczenia, bo chyba nie na wolnym powietrzu. Może w planach mają budowę kompleksu badawczego, tylko że postawienie takiego ośrodka to nie bagatela. Prace budowlane zajęłyby co najmniej dwa lata.
- Według mnie wszystko jest już przygotowane, skoro ewentualna rekrutacja ma się niebawem odbyć. W ogóle skąd wiesz o tej całej akcji? – spytał Patejuk.

Wuser otworzył lekko usta, lecz nic z nich nie wydobył. Wziął do ręki kubek z kawą i zakręcił, nim mieszając resztki czarnego naparu. Zwięzłe milczenie przerwała fonia dzwoniącej aparatury głosząc tym samym koniec przerwy.

- Kierownik wspominał, ale jak, by co gębą na kłódkę. Nie warto rozpowiadać, bo się rozejdzie po całym zakładzie i się zamęt zrobi. To do jutra! – zakomunikował Wuser i odszedł

od stołu zabierając torbę.

Patejuk z resztą kadrowiczów postąpił tak samo.

Przy stole został tylko Giennadij, w tle cichły ostatnie rozmowy i odgłosy kroków. Salę ogarnęła osobliwa atmosfera. Strzeżone białe ściany piętrzyły się przed wzrokiem osamotnionego pracownika, a silny blask jarzeniówek potęgował dziwną aurę. Pomieszczenie wyglądało teraz jak wielka poczekalnia, a osoba siedząca w centrum była jak ostatnia dusza na ziemi będąca na łasce kapryśnego stwórcy wahającego się przed wyborem – ukarać czy ocalić przed wiecznym potępieniem. Zamyślony Giennadij wyrwał się z letargu poruszony jakąś niewidzialną siłą. Zdając sobie sprawę, że przerwa dawno minęła pośpiesznie zerwał się na nogi i w żwawo ruszył do wyjścia. W jego umyśle zagnieździła się nowina na temat rekrutacji i stała się bodźcem do dalszych przemyśleń o ewentualnej zmianie pracy. Zegar wskazywał godzinę dwunastą trzydzieści.

Rozdział II

Gość:

Za oknem panowała okropna szaruga, intensywny wiatr szarpał nagie gałęzie i w wirującym rytmie miotał żółtymi liśćmi. Niebo okryło się ciemną kłębiastą szatą nie pozwalając rzucić jakiegokolwiek promyku na jesienną ziemię. Marna pogoda i ponura sceneria z betonu odbierała wszystkim witalności i wprawiała w przygnębienie. Gęsty nastrój za ścianami ośrodka badawczego nie przeszkadzał jednak nikomu w codziennej pracy. Giennadij w swoim gabinecie analizował rośliny poddane radiacji, próbki różnej wielkości miały swoją unikalną sygnaturę i oddzielną charakterystykę w notatkach. Egzemplarze dostarczano z Czerwonego Lasu, gdzie flora przeszła największą mutację.

Doświadczony naukowiec wyciągnął zza ucha długopis i zaczął kreślić wymyślne symbole w ramach podręcznego notesu, żmudną pracę zakłóciło pukanie do drzwi.

– Witaj, zajmę Ci tylko chwilę. Mam nadzieję, że nie

przeszkadzam. Dzisiaj około piętnastej przyjdą ci od rekrutacji. Powiedziałem kierownictwu, żeby nowo przybyli goście rozpatrzyli twoją kandydaturę. Oczywiście żadnych oficjalnych wniosków o posady nie było, ale jak, by, co to się piszesz, no to trzymaj się – Wuser kiwnął głową i zamknął drzwi za sobą.

Giennadij nie zdążył nawet podziękować. Ucieszył się z faktu, że może zostać przeniesiony i poszerzyć swoje horyzonty, ale jednocześnie dziwił się czemu Wuser tak bardzo troszczy się o jego zawód. Nie marnując czasu wrócił do poprzedniego zajęcia. W jednym z protokołów napisał:

Próbka numer [3] *Populus Nigra* wyraźnie wykazuje wzmożone zdolności regeneracyjne. Ociosany pień po, zaledwie dwóch dniach wraca do pierwotnej postaci; słabo widoczne ślady okaleczenia rośliny. Komórki kambium zmieniły swoją wewnętrzną strukturę w wyniku przyjęcia wysokiej dawki promieniowania. Przyspieszona ekwipotencjalność

oznacza brak zagrożenia przed czynnikami patogennymi. Liście *Populus Nigra* zawierają stosunkowo duże ilości niezidentyfikowanej do końca substancji, przypuszczalnie mogą to być neurotoksyne; planowane doświadczenie na szczurach. Zaobserwowano niską wodochłonność. Dalsze eksperymenty wykażą czy badana *Populus Nigra* może zostać uznana jako nowy gatunek.

Przelany na arkusze papieru wynik doświadczeń został zapisany również w formie nagrania. Giennadij wszelki rezultat swojej pracy przechowywał w postaci cyfrowej, lubił mieć wszystko w jednym miejscu na małym mobilnym dysku. Młody naukowiec usiadł na obitym skórą fotelu robiąc sobie krótką przerwę od zajęć. Ziewnął przeciągle drapiąc się za uchem. Wyciągnął z kieszeni swój pocziwy zegarek i określił czas dzielący go od rzekomej wizyty ludzi od rekrutacji. Pozostały dwa kwadranse, bezczynne oczekiwanie sprawi, że czas na złość mijając będzie wolniej. Inercji w pracy Giennadij unikał jak ognia, więc postanowił zająć się czymkolwiek, padło na czyszczenie sprzętu la-

boratoryjnego.

Po, zaledwie kilku minutach wszystkie próbówki o różnorodnej wielkości i wymyślnych kształtach błyszczały pod ostrym światłem lamp żarowych. Giennadij mył właśnie ręce, gdy do drzwi zapukała tajemnicza osoba.

– Witam. Nazywam się Stiepan Sewienkov. Pan nie musi się przedstawiać. Zapewne, domyślacie z jakiej racji się tu zjawilem. Pozwolicie, że opuścimy gabinet i udamy się do specjalnego pokoju, gdzie omówimy ważne sprawy – oznajmił i gestem grzecznościowym wskazał drzwi wyjściowe – Pańskie dokonania zrobiły na nas duże wrażenie i nie ukrywam, że biogram jest gwarantem nowej posady.

Giennadij nieco speszony milczał, ale uważnie słuchał hipnotyzującego głosu, na potwierdzenie słów kiwał tylko głową.

– Procedury wymuszają na mnie zadanie pytania, które zapewni dalsze postępowanie wobec badacza. Podjęcie nowej pracy będzie się wiązało z poufnością. Badania

przeprowadzane w Strefie są ściśle tajne i tylko kilkanaście osób wie o ich działaniu, akredytując przedstawione warunki automatycznie wyraża pan zgodę na trzymanie w tajemnicy wyników pracy. Więc jak? Odmowa sprawi, że zostawię pana tu i teraz, dalsze informacje nie zostaną udzielone. – rzucił gość robiąc pełne powagi spojrzenie.

Odbiorca zamyślił się na chwilę. Atmosfera zgęstniała. Tajemnicza postać nieco teatralnie zdjęła okulary i odsapnęła aluzjnie wymuszając na badaczu podjęcie ostatecznej decyzji. Giennadij czuł na ciele dreszcz i nietypowe podniecenie przed czymś nowym, nieznanym. Sytuacja nie była do końca jasna, akceptacja warunków postawionych przez Sewienkova wiązała się z pewnymi ograniczeniami. Odmowa nie wchodziła w grę, Giennadij był za bardzo podekscytowany i ciekawy projektu, którego miał być świadkiem, a jednocześnie ciężko mu było wyjść z klinczu i po prostu odpowiedzieć z aprobatą i rozwiać wszelkie wątpliwości. Wyraźnie czuł jak chłodne krople potu przemieszczają się po jego ciele, wzrok cierpliwego przybysza zdawał się od-

działywać coraz mocniej. Każda ulatniająca się sekunda sprawiała, że w oczach przyszłego pracodawcy naukowiec wyrastał na błazna i niezdecydowanego dzieciaka, który nie wie o jakim smaku lizaka chce dostać. Giennadij musiał podjąć finalną decyzję.

- Przyjmuję propozycję – wyrzucił w końcu młody badacz.
- Doskonale, lepiej zastanowić się kilka razy niż pochopnie coś postanowić. – odrzekł powściągliwie i ruszył dalej korytarzem.

Słowa o lekko sarkastycznym akcencie nie uderzyły w Giennadija. Wnikliwość narastała z każdym pojedynczym cyknięciem sekundnika kieszonkowego zegarku.

- Zapali pan? – wyrwał nagle gość.
- Nie palę – odparł standardowo Giennadij.

Stiepan za pomocą połyskującej zapalniczki benzynowej zajął papierosa i zaciągnął się ochoczo. Od razu dało się poznać, że Sewienkov jest silnie uzależniony, przysłowiowy dymek sprawiał mu wiele radości i nie dało się tego ukryć.

– Proszę tutaj. Niech pan usiądzie.

Drzwi za nimi trzasnęły i wszelki hałas dobiegający z korytarza umilkł. Silnie oświetlony gabinet został już wcześniej przyrządzony. Na środku sali znajdował się stolik rozdzielający dwa eleganckie fotele. Dwaj panowie zasiedli przy drewnianej ławie i przystąpili do kontynuowania kontraktu.

– Otrzyma pan teraz kilka formularzy, które wystarczy skwitować podpisem. Streszczę większość stronic, by zaoszczędzić nam czasu. Przypominam, że podjął pan ostateczną decyzję, bez odwołania. Wszelkie próby złamania zaakceptowanych przez pana zasad poniosą za sobą poważne konsekwencje. . . Zresztą dorzeczy, darujemy sobie te formułki. Poza panem zostały wybrane także dwie inne osoby, nazwisk zdradzać nie będę, wszystko w swoim czasie. Machnie pan autograf w kilku miejscach i tym samym stanie się pan jednym z elementów naszej układanki. Projekt nosi nazwę „S-01” i jego celem jest stworzenie „unikalnego środka” chroniącego przed bardzo

wysokimi dawkami promieniowania. Eksperymenty są niebezpieczne i dlatego potrzebujemy wykwalifikowanych pracowników z doświadczeniem. Tam nie będzie pan obserwował roślinek. Projekt „S-01” to zupełnie inny kaliber. Więcej dowie się pan w najbliższym czasie.

- Od, kiedy zaczynam i co z moją aktualną posadą? – spytał Giennadij podpisując ostatni dokument
 - Jutro o tej samej godzinie zostanie pan przetransportowany na nowe miejsce pracy. Spotkamy się i omówimy jeszcze kilka drobnych spraw. Owoce pańskiej pracy zostaną na miejscu. Jeszcze jakieś pytania? – Stiepan wstał dogasił papierosa i oczekując odpowiedzi zaczął pakować pliki do aktówki.
 - To chyba wszystko. I dziękuję – Giennadij także wstał wystawiając dłoń w geście pożegnania.
 - To ja dziękuję – gość uściśnął rękę i otwierając na oścież drzwi wpuścił do gabinetu nieco korytarzowej wrzawy.
- Młody naukowiec został sam, ponownie, z kolejną serią dręczą-

cych go pytań.

Rozdział III

Wola:

Telewizor w skromnie urządzonym pokoiku nadawał poranne wiadomości odganiając jednocześnie senną aurę. Na palniku kuchennym swój mały koncert zainaugurował czajnik wydobywając z dziobka sówite ilości pary. Wyrzucony pod wpływem ciśnienia gwizdek poturlał się w stronę drzwi wyjściowych, Giennadij uciszył buchające naczynie i podniósł z podłogi metalowy element. Wrzący strumień wody wypełnił przeźroczysty kubek tworząc brunatny napar. Młody naukowiec zabrał stygnącą herbatą do pokoju, gdzie mógł posłuchać ostatnich wiadomości. Giennadij usadowił się wygodnie w fotelu i wytężył słuch wklejając spojrzenie w ekran. W telewizji przedstawiano właśnie prognozę pogody:

„...w Obwodzie żytomierskim bez opadów, liczne przejaśnienia. Temperatura w granicach pięciu stopni. Natomiast na terenie całego obwodu kijowskiego silny wiatr i ulewa. W północnej części nawet dwa stopnie poniżej zera. Obwód czernihowski za sprawą niżu z nad...”

Odbiornik błyskawicznie zmienił swoje oblicze śnieżąc i wypływając z głośników jazgoczące dźwięki. Kapryśne ustrojstwo nie milkło i wtórowało przekleństwom rzucanym przez Giennadija. Zapowiadana pogoda najwyraźniej wyrządziła szkody i zerwała gdzieś kable telekomunikacyjne. Naukowiec poruszył kilka razy anteną, lecz w pokoju wciąż rozlegał się ten sam ton. Zirytowany zdławił w sobie złość i odszedł od telewizora, usiadł w fotelu i ciężko westchnął. Miał jeszcze parę minut, ale nie chciał pozostałego czasu przeznaczyć na zajmowanie się płatającym figle odbiorniku. Giennadij wskoczył w buty założył szykowny prochowiec i w zwyczaju zerknął na zegarek.

Rwący wiatr stał się reżyserem srogiej jesiennej scenerii, ulotna materia w rytmie rozhulanego wichru przemierzała kilo-

metry, nieokiełznane siły natury w akompaniamencie upiornego świstu ciskały liśćmi kreując nieustannie obraz rozległej sfery. Półnagie drzewa urokliwie tańczyły trzymając się chwiejnego taktu, a cienkie gałęzie pod potężnymi podmuchami wyginały się na boki. Mroźny dżdżysty deszcz uderzał w ponurą ziemię przeistaczając się w błotniste kałuże, które topiły w swoim nurcie kruche gałęzie. Pierzaste kłęby zalały bezkres nieba jakby urzeczywistniając wizję szalonego malarza przelewającego na płótno swoje najczarniejsze koszmary. Do nieobliczalnej konfrontacji sił przyrody wdał się piorun rysując na sklepieniu świetliste odnogi. Surowe wycie wiatru okazało się malutkie przy potężnym grzmocie, stukanie kropli i szmer roślin na chwilę ucichł.

– Nie zapowiadali dzisiaj burzy i to z rana, przeczekam tę nawałnicę. – powiedział sam do siebie, wyjął z płaszcza telefon i z powrotem wszedł do klatki schodowej.

W słuchawce rozległo się słabo słyszalne pikanie informujące o braku połączenia. Giennadij powtórzył kilka razy tą samą czynność, lecz bezskutecznie. Niesprzyjające warunki najwidocz-

niej zakłócały wszelką pracę urządzeń falowych. Naukowiec nie mógł zwlekać z przyjazdem do pracy, kierownictwo musi zostać poinformowane o ewentualnym spóźnieniu. Restrykcyjne zasady komplikowały okoliczności w jakich znalazł się Giennadij. Pozostało mu tylko wsiąść do samochodu i jechać w kierunku Prypeci.

Silnik parokrotnie zaterkotał, po czym zaczął pracować wprawiając w wibracje karoserię pojazdu. Giennadij włączył wycieraczki wrzucił bieg i ruszył rozchlapując mętną wodę na boki. Poczciwy czterokołowiec pokonał parę metrów i znalazł się na twardej drodze. Nawierzchnia z minuty na minutę stawała się coraz bardziej śliska, a rzęsy opad zdawał się nie mieć końca. Mechaniczne ramiona nie nadążały z wycieraniem szyby, przez co widok na jezdnię był znikomy. Impulsem do zatrzymania samochodu okazała się gałąź, która zadudniła w konstrukcję dachu. Naukowiec wykonał manewr i znalazł się na poboczu, serce automobilu wciąż funkcjonowało. Giennadij pogrążył się w chaosie myśli. Zawisł nad kierownicą ze skrzyżowanymi

rękoma głóWKując nad jakimkolwiek sensownym wyjściem z sytuacji. Nawyk skłonił go do wyjęcia z kieszeni osobistego talizmanu ze wskazówkami. Wlepił wzrok w zegarek uświadamiając sobie, że dzieli go jeszcze kilkanaście minut do regulaminowego rozpoczęcia pracy. Giennadij popadł w apatię nie zdając sobie z sprawy z ustępującego deszczu. Stukot kropli zmniejszył się do minimum wzmacniając pracę wycieraczek. Naukowiec uwolnił się z letargu i wyszedł na zewnątrz. Uniósł ręce do góry nie dowierzając tak nagłej zmianie pogody, uśmiechnął się sam do siebie, a gdy już miał z powrotem wsiadać do pojazdu wpadł w osłupienie dostrzegając w przydrożnym lesie tajemniczą postać, która wyglądała dosyć dziwacznie. Lekko zgarbiona istota pokręciła głowę na boki i w mgnieniu oka czmychnęła w najbliższe krzaki pozostawiając po sobie wspomnienie i dźwięk trzaskanych gałązek.

Giennadij był pewny, że to co zobaczył było faktem, a nie iluzją jego własnej świadomości, zaintrygowany podbiegł bliżej, ale wszelaki ślad po enigmatycznej posturze zanikł. Hormony

odpowiadające za podekscytowanie mieszały się z osobliwym poczuciem lęku wprawiając naukowca w stan, który nie pozwalał mu iść dalej, a ni zawrócić. Chęć poznania zagadkowego stworzenia krępowała poczynania bohatera, instynkt podpowiadał, by nie działać pochopnie i nie zapuszczać się w nieznane. Obcy mógł działać według zwierzęcych kryteriów tylko z pozorów wykazując płochliwość, ale w desperacji posunąć się do każdego czynu sprzecznego z ludzką naturą. Ciekawość paliła coraz bardziej, naukowe zapędy przechylały szalę rozwiewając wątpliwości, które paraliżowały Giennadija. Bohater ponownie stanął przed decydującym wyborem. Pragnienie poznania okazało się silniejsze.

Rozdział IV



Widzenie:

Las w ujęciu zmysłów emanował nieokreśloną energią, ledwie wyczuwalną, ale poruszającą sferę ludzkiej psychiki. Dumnie szumiące ramiona drzew nękane przez powiew wiatru symultanicznie ociekały rześkimi kroplami deszczu. Wolno spijana przez głębę woda tworzyła cieniutkie strużki na kolorowych li-

ściach, chlapiąc tym samym małych mieszkańców ściółki. Powietrze przesyczone wilgocią czyniło to miejsce bardzo zmysłowym, wzruszona leśna ziemia mieszała w sobie kolory połykując w świetle rzucanym za przyzwoleniem gęstych gałęzi. Ceremonię natury kształtował harmonijny wokół ptasiego kłanu. Duch lasu oswoił się z nowym przybyszem, pozwolił mu na pobyt w królestwie dziewiczej biosfery. Obcy odziany w płaszcz wkroczył do świata, gdzie człowiek jest intruzem zdany na łaskę przyrody, miejsca, gdzie wołanie o pomoc jest zjawiskiem próżnym, a każdy kolejny krok to próba. Z perspektywy naukowca czarujący bezlik dziewiczej krainy, na mapie malutki nic nieznaczający punkcik.

Giennadij krocząc po miękkim gruncie świdrował wzrokiem strzeliste sosny oraz wsłuchiwał się melodyczną fonię niesioną przez oddech lasu. Licznik Geigera milczał pozwalając poruszać się w równym tempie, chód zakłócały tylko bujne krzewy o długich haczących gałązkach. Bór należał do Strefy jednak znajdował się znacznie dalej od centrum wydarzeń z pamiętne-

go 1986 roku. Wszakże sam fakt przynależności lasu do regionu wokół Czarnobyla wyraźnie zniechęcał ludzi do zapuszczania się na te tereny. Giennadij z każdym kolejnym krokiem oddalał się od pozostawionego samochodu, naturalne bariery w formie gęstej roślinności wyrastały proporcjonalnie do przebytej drogi. Walka z gąszczem była wycieńczająca, im dalej szedł tym krzaczaste zarośla coraz mocniej utrudniały posuwanie się naprzód. Taki stan rzeczy wysuwał przypuszczenia na temat ostatnich wizyt człowieka w tym miejscu, naukowiec do tej pory nie dostrzegł niczego co mogło, by pochodzić od ludzi, żadnych śmieci czy wydeptanych ścieżek. Katastrofa, choć wyrządziła wiele szkód i cierpienia mieszkańcom Czarnobyla to dla lasu okazała się zbawienna.

Giennadij nadal toczył uciążliwe zmagania z krzewami odgradzając przejście poharatanymi dłońmi. Mozolne przedzieranie się przerwał sygnał telefonu. Naukowiec wzdygnął i w okamgnieniu odebrał połączenie. Po przeciwnej stronie odezwał się znajomy głos:

- Giennadij, gdzie ty u licha jesteś! Powinieneś już dawno być w pracy, stało się coś? – cedził zdenerwowany Wuser.
- Słuchaj mnie uważnie...W drodze do Prypeci zauważyłem coś, co przypominało ludzką istotę! Cholera wie...
- Jaja se robisz, gdzie ty ku*wa jesteś?
- W jednym z lasów, kilka kilometrów od Korogodu, kieruj się w te strony, na poboczu stoi mój samochód, będę przy, nim czekał.
- Zachciało ci się w detektywa bawić. Radzę ci ulotnij się stamtąd jak najszybciej, bo nie wiesz z czym masz do czynienia. Spróbuję cię usprawiedliwić w kierownictwie i zaraz ruszam!

Głos dobiegający ze słuchawki zamilkł. Giennadij zdał sobie sprawę, że impulsywne podjęcie śledztwa wymazało jakiekolwiek oznaki trzeźwego myślenia. Poczuł na sobie ciężar chwili, sytuacja w jakiej się znalazł była dość skomplikowana –on sam w centrum dziczy jako poszukiwacz niezidentyfikowanej formy życia. Krople potu ciekły mu po skroniach, cierpki smak

strachu objawił się paraliżującym ciału na wskroś uczuciem gęśniej skórki. Efemeryczne poruszenie tchnęło w naukowca nowe siły uwalniając go ze stagnacji. Giennadij obrócił się na pięcie i zaczął zmierzać w kierunku wyjścia. Las w perspektywie czasu stracił swój dawny urok, niewidzialne napięcie nadgryzało świadomość bohatera trując jego psychikę nienamacalną energią grozy. Mózg poddając się nieprzyjemnej woli lęku płatał figle kreując coraz to bardziej pokręcone obrazy. Towarzyszący niepokój narastał, otaczający go obszar wznosił niemal celowy opór. Każdy ruch bohatera zdawał się być kontrolowany przez siły wyższe, a wszelkie próby przełamania nieuchwytnych barier ponosiły fiasko. Giennadij czuł jak ziemia pod, nim mięknie, a nogi twardnieją. Przytłumiony natłokiem nadprzyrodzonych zdarzeń naukowiec machinalnie sięgnął do kieszeni. Wskazówki kieszonkowego zegarka stanęły w miejscu. Bohater uparcie parł na przód potykając się o wystające z ziemi korzenie. Momentalnie w uszach rozległ się rozdzierający pisk, a w głowie powstała absolutna próżnia. Giennadij upadł na ko-

lana. Spazmatycznie skierował wzrok przed siebie rozwierając usta i mamrocząc coś pod nosem. Dusza bohatera zdawała się odrywać od ciała, by pożegnać sferę materialną i rozplynać się gdzieś w świecie astralnym.

Śmierć zamiast spojrzeć ostatni raz w oczy pozwoliła zobaczyć to czego tak bardzo szukał. Za drzewami rysowała się sylwetka humanoida o dziwacznej posturze. Zagadkowa istota ospale kroczyła w kierunku będącego w transie Giennadija. Dystans dzielący obie postacie pozwalał wyłącznie na kontakt wzrokowy. W pewnej chwili enigmatyczny mieszkaniec lasu znieruchomiał nieprzerwanie wpatrując się w naukowca. Ten zaś ostatnie resztki sił skupił na wymianie chaotycznych spojrzeń z potencjalnym przeciwnikiem. Kres życia zdawał się być nieunikniony, cena maniakalnego dążenia do poznania prawdy okazała się zgubna. Bohater poczuł w piersi ścisk, cząsteczkę żalu jak cierrń raniącą duszę przegranego. Bezimienny twór uniósł rękę przed siebie wymierzając finalny wyrok. Pisk ponownie przeszył przestrzeń zwiastując nieubłagany koniec. Niespo-

tykana dotąd atmosfera grozy pękła niczym bańka, zmyła się pozostawiając po sobie tylko wspomnienie. Umysłowa katorga dobiegła końca przejaśniając rzeczywisty obraz. Giennadij czuł przyrost wigoru. Nie odrywał jednak wzroku od wciąż będącej naprzeciw postaci. Obcy opuścił kończynę spojrzał ostatni raz i roz płynął się w gęstwinie lasu.

Bohater wstał nie okazując żadnych oznak wycieńczenia, poczuł się, jak, gdyby nic się nie stało. Świadomość psychicznej konfrontacji wciąż tliła się w środku szukając racjonalnego wytłumaczenia. Giennadij nie zadawał już pytań, chciał uchwycić sens, poznać odpowiedź. Mechanizm kieszonkowego zegarka funkcjonował bez ustanku cyklicznie przesuwając wskazówki. Naukowiec wskrzesił pamięć i uzmysłowił sobie, że w jego stronę zmierza Wuser. Otrząsnął się ostatni raz i żwawo podążył ku drodze powrotnej. Samochód stał na poboczu połyskując w blasku słońca. Giennadij usiadł na masce i wyczekiwał przyjazdu znajomego. Z oddali dochodził dźwięk pracującego silnika, niebawem na asfaltowym płótnie pojawiły się kontury pędzącego

pojazdu. Czterokołowa maszyna zatrzymała się tuż obok naukowca. Wuser wybuchowo wysiadł i przemówił gubiąc dech:

- Giennadij niech cię szlag trafi. W co ty pogrywasz, życie ci nie miłe, co widziałeś, opowiadaj!
- Skąd mam wiedzieć. Kosmitę? Istotę o dość dziwnej głowie i posturze. Nie miałem okazji zobaczyć go z bliska, ale... – naukowiec urwał.
- Co ale?
- Zdolności paranormalne...
- Pieprzysz głupoty. Może chcesz mi wmówić, że unosił się w powietrzu, a następnie wyciągnął królika z kapelusza. Nie żartuj! – znajomy zrobił pogardliwą minę i wlepił wzrok w zmieszanego Giennadija.
- Wuser to, co doświadczyłem nie można zilustrować w realny sposób, to było coś jak przejście na tamten drugi świat.
- Rozmawiałeś z Bogiem?
- Choć za mną niedowiarku, poszukamy razem tej tajemniczej istoty – rzucił z powagą i ruszył w stronę lasu.

– Prowadź – odrzekł lakonicznie, wsadził ręce do kieszeni i udał się za kolegą. Po pokonaniu kilku metrów Giennadij zachwiał się i spłynął na ziemię podpierając się w ostatniej chwili rękoma. Świat ponownie zawirował. Powieki stały się ciężkie, naukowiec z trudem obrócił głowę. Niewyraźny profil człowieka spoglądał w bezruchu na tracącego kontakt z rzeczywistością Giennadija. Konający zdołał wykrztusić ostatnie słowa.

– On...tuu jest...

– Ja tu jestem, wybacz stary...

Wuser rzucił na ziemię zużytą strzykawkę z nieznanym środkiem. Podniósł leżącego i zaprowadził do pojazdu. Chwilę potem na poboczu pozostał już tylko jeden samochód.

Rozdział V

Droga:

W małym pomieszczeniu obitym mlecznymi kafelkami unosił się wyraźny zapach laboratoryjnego sprzętu. Nieskazitelnie czysta podłoga oślepiająco połyskiwała za sprawą intensywnie świecących jarzeńówek. Szczelnie zamknięte drzwi torowały zgiełk dobiegający z korytarzy pozwalając tylko nielicznym dźwiękom, choć stłumionym dotrzeć do pokoju. Na środku sali znajdował się kredens z różnorodnymi instrumentami i środkami medycznymi, w rogu zaś usadowiono potężną szafę z rzeczami o nieznannej wartości. Na tarczy ściennego czasomierzu wskazówki manifestowały godzinę trzynastą.

– Sądzi pan, że ten zabieg zakończy się pomyślnie, operacja nie może ponieść za sobą żadnych konsekwencji. Prawda nie może wyjść na jaw – zakomunikował jeden z ludzi znajdujących się w pomieszczeniu.

– Absolutnie. Proszę mi zaufać. Znam się na tym – Wuser wstał naciągnął strzykawkę i dodał – podjęcie takich działań

wymagało obejścia wielu przeszkód, tym samym wykorzystałem limit przywilejów w kierownictwie. Dobrze, że o niczym nie wiedzą.

Cieniutka igła bez oporu wbiła się pod skórę nieprzytomnego mężczyzny wprowadzając preparat do organizmu. W tym samym czasie z drugiego końca sali dobiegł tubalny głos kolejnego gościa:

- Jak długo mamy czekać i pytanie co dalej?
- Preparat zacznie funkcjonować w granicach pięciu minut. W tym czasie warto obmyślić alternatywną wersję zdarzeń i przedstawić ja Giennadijowi – oznajmił Wuser wrzucając do kosza zużyty iniektor.
- Ja z, nim porozmawiam – wymamrotał mężczyzna teatralnie poprawiając krawat – następnie przedstawimy po kolei etapy jego nowej pracy.
- Kontaktowałem się z Kaługinem w dzisiejszej sprawie, nie ukrywał zaniepokojenia – stwierdził jeden przyglądając się nieprzytomnemu.

- Akurat Kaługin, to nasze najmniejsze zmartwienie. Za jakiś czas dowiemy się, na czym dokładnie stoimy. O wybudza się! – ożywił się facet w garniturze podchodząc do Giennadija.

Zgromadzeni zebrali się obok wracającego do rzeczywistości naukowca w zaciekawieniu obserwując jego mimowolne tiki i pomrukiwania. Półprzytomny niemrawie unosił powieki, łzawiąc z powodu mocnego światła. Naukowiec gwałtownie się poruszył, spuszczaając głowę, mamrotał pod nosem, ogarniając wzrokiem niewyraźny obraz.

Niedobudzony, ale kontaktujący mniej więcej spojrzał na trzech facetów w garniturze, jednego z nich, choć rozmazanego rozpoznał od razu. Giennadij złapał się za głowę i rzekł standardowo:

- W mordę, moja głowa. Co ja tu robię
- Witaj Gienna, widzę dochodzisz do siebie, lek zaczyna działać – rzucił Wuser na przywitanie.
- Jaki lek, co tu się dzieję, gdzie ja jestem? – pytał

podenerwowany naukowiec domagając się odpowiedzi.

- Proszę być spokojnym. Wszystko jest pod kontrolą, postaram się panu wszystko wyjaśnić. Nazywam się Matwiej Gusiniew, a to mój towarzysz Nikołaj Wawilow, mamy zamiar nakreślić kilka spraw odnośnie stażu. Ale najpierw wyklaruje sytuację, która pana niecierpliwi. Giennadij, podczas kierowania się w stronę Prypeci prawdopodobnie zemdlałeś, jako nieprzytomny zostałeś przetransportowany właśnie tutaj. Nie znamy na razie przyczyn tego niefortunnego zdarzenia, całe szczęście jest pan z nami cały i zdrowy. Wszystko dzięki Wuserowi, który udzielił pomocy. Ale do rzeczy, udamy się zaraz do pokoju, gdzie podpisze pan jeszcze kilka papierów i następnie skierujemy się w stronę Czarnobyla, gdzie mieści się nasza placówka. Proszę za mną. – Gusiniew podniósł teczkę, wręczył poszkodowanemu osobiste rzeczy i dłonią wskazał drzwi wyjściowe.
- Pozwólcie, że udam się do łazienki. To potrwa chwilę –

powiedział Giennadij opuszczając trójkę mężczyzn.

Trzech facetów wyszło na zewnątrz i zaczęło rozmawiać, echo wypowiedzanych słów niesło się długim korytarzem rozplywając się i pozostawiając po sobie tylko wątły pomruk. Giennadij oparł się o umywalkę przemywając twarz letnią wodą, nieco orzeźwiony zerknął w lustro dostrzegając dziwne znamię w oku. Naukowiec przyjrzał się bliżej, czarna plamka na twardówce, choć mała była dobrze widoczna. Giennadij nieco zaniepokojony wciąż przyglądał się w zwierciadle, usiłując wytłumaczyć pochodzenie nieproszonego gościa. Do łazienki raptownie wtargnął Wuser poganiając naukowca, ten szybko się zerwał zakrywając dłonią oko udając, że je przemywa.

- Co ty makijaż robisz? Nie ma czasu, trzeba ruszać – stanowczo, choć bez irytacji pośpieszył kolegę.

Przed budynkiem stał już samochód, elegancka limuzyna z otwartymi drzwiami czekała, by zabrać pasażerów do Czarnobyla. Brodaty szofer w swetrze i jasnych džinsach dopalał właśnie papierosa, gdy czterech mężczyzn wsiadało do auta. Gusi-

niew ponaglił kierowcę i po chwili maszyna na kołach chwiejnie z impetem wyjechała z placówki kompleksu badawczego.

Pojazd sunął po szosie mijając co rusz porośnięte bluszczem domki i znaki informujące o skażeniu radioaktywnym. Upiorne budynki bez okien i drzwi wyrastały ponad widnokrąg, a w bujnych trawach topiły się zdezelowane przedmioty i przerdzewiały wraki pojazdów. Miejsce zapomniane, wyobcowane, nasiąknięte pustką i chłodem. Grobowy krajobraz stworzony i zniszczony przez ludzi. Po długim milczeniu w samochodzie rozległ się tubalny głos Wawiłowa:

- Jeszcze jakieś z dziesięć minut, zaraz wjedziemy na most śmierci.
- Skąd taka nazwa, mogę się domyślać? – rzucił pytająco Giennadij
- Podczas katastrofy mieszkańcy zgromadzili się na moście, by obserwować skutki wybuchu reaktora. Rzekomo wszyscy ci, którzy w tym dniu stali na wiadukcie zmarli po jakimś czasie. Teren był bombardowany przez większe ilości

promieniowania, oczywiście nie wiadomo czy historia jest prawdziwa, ale nazwa jak widać przetrwała.

- Ciekawa anegdota – odpowiedział naukowiec i ponownie wlepił wzrok w szybę.
- Spójrzcie w lewo, dzik przy drodze... Całkiem spore – oznajmił Wuser ożywiając nieco panującą atmosferę.
- Normalka, codziennie takie widzę. Wyrośnięte, to takie... Ale można by wyżywić cały personel przynajmniej – odrzekł ponownie Wawiłow sztachając się fajką – o już dojeżdżamy. Z mostu doskonale widać było charakterystyczny komin reaktora, na wysokości wzniesienia górowały korony drzew oraz, ledwo widzialne szkielety budynków. Niebo formowały kłębiaste chmury o ponurej barwie, te niesione wiatrem przemieszczały się na tle statycznej konstrukcji – symbolu katastrofy energetyki jądrowej. Limuzyna zjechała z głównej szosy jednocześnie tracąc z pola widzenia prospekt martwego miasta. Samochód zbliżał się do posterunku, przy, którym stało kilku uzbrojonych mężczyzn. Szofer zasygnalizował za pomocą świateł, że zbli-

za się jednostka urzędowa. Pięć mrugnięć wystarczyło, by paru roślących facetów gwałtownie uniosło szlaban. Pokonanie bariery przeszło bezproblemowo, jednak tym razem postój był konieczny. Przy następnym posterunku zaczęto legitymować pasażerów, mimo wysoko postawionych członków tajnego kompleksu. Pragmatyczne metody działania obejmowały każdego. Strażnicy zasalutowali na odczepnego i wrócili do swoich spraw, przed samochodem rysował się krótki odcinek drogi, który urywał się w pewnym miejscu. Po prawej stronie zaczynał się brukowany chodnik otoczony siatką i podejrzanymi prętami wystającymi z ziemi.

- To tutaj. Wsiadamy – odparł Wawiłow
- Spodziewałem się czegoś innego, poza chodnikiem i ogrodzeniem nie widzę tu niczego co mogło, by służyć za ośrodek badań – rzucił z lekką ironią Giennadij spoglądając na mężczyzn.
- Jeszcze nie dotarliśmy do celu, niech pan się nie martwi. Proszę za mną. Gusiniew pozdrowił szofera i limuzyna

odjechała.

- Nie muszę przypominać, że przedsięwzięcie, w którym bierze pan udział jest tajne. Tak, więc wyjaśnię jeszcze kilka kwestii – Gusiniew zrobił pauzę zerknął na naukowca i dodał – cały kompleks mieści się pod ziemią. Badania jakie prowadzimy są nad wyraz cenne i niebezpieczne, z tego powodu byliśmy zmuszeni kierować całą akcją z dala od osób postronnych, czy też wścibskiego wywiadu krajów zagranicznych. Zwierzchnikiem projektu jest Kaługin, myślę, że zdoła go pan jeszcze dzisiaj poznać.

Panowie skręcili w jedno z odgałęzień i znaleźli się na przeciw małego budynekczku o wojskowym charakterze. Betonowa konstrukcja wyrastała z ziemi pod kątem ostrym. Stalowe wrota zgrzytnęły, a blade światło padło na schody prowadzące pod ziemię. Przed drzwiami stał funkcjonariusz z karabinem zawieszonym na plecach, ten przed oddelegowaniem otrzymał jakieś instrukcje od Gusiniewa, anonimowy pracownik obrzucił wzrokiem na gości i zaprosił do środka. Giennadij przed wejściem

spojrzał jeszcze raz na zegarek, niebawem potężna brama za jego plecami zadudniła wydobywając z siebie głucho szczęknięcie.

Rozdział VI

Pokój numer 12:



Żelbetowa konstrukcja nad głowami czterech mężczyzn przytłaczała kształtem i wysokością. Niski sufit sprawiał, że miejsce budziło dyskomfort i poczucie stąpania pod powierzchnią, pomimo że panowie niezeszli jeszcze pod umowny poziom mo-

rza. Stalowe linie biegnące wzdłuż pomieszczenia skrywały pod powłoką przewody elektryczne, które gdzieś tam rozwidlały się i wtapiały w masywne betonowe mury. Sklepienie skromnie urządzono nagimi żarówkami, od których biło słabe pulsujące światło, co kilka metrów z krawędzi ścian wyłaniały się zięjące czernią otwory, służące za kanały wentylacyjny. Korytarz w pewnym miejscu się kończył, a Giennadij wraz z tajemniczą kliką był zmuszony poczekać, aż z małego pokoiku wygramolił się strażnik z pękiem kluczy. Pełniący wartę pracownik zająknął coś pod nosem, że tylko on wiedział co ma na myśli. Wątpliwy łysejący facet w okularach z lat siedemdziesiątych i dziwnym zaczesem na głowie sprawiał wrażenie człowieka egzystującego wyłącznie w tej betonowej jaskini, w której zatrzymał się czas. Giennadij spoglądał na otwierającego drzwi mężczyznę, choć bardziej interesował go zamknięty tuż obok pokój z symbolem H-3. Przez wizjer naukowiec ujrzał zniekształcony i nic nieznający obraz, aczkolwiek stale zmieniający się.

– Do jakich celów asygnowany został ten pokój?

– Nie możemy obecnie udzielić informacji na ten temat.

Wybaczy pan.

Po tych słowach portier zerknął na dociekliwego naukowca, lekko zatroskana mina zdradzała jakieś wewnętrzne zaniepokojenie, po chwili woźny spojrzeniem ogarniał już tylko kiść mosiężnych kluczy. Hermetyczne wrota zgrzytnęły donośnie, masywne skrzydło przesunęło się w bok wpuszczając do pomieszczenia dawkę rażącego światła. Mężczyźni bez wahania ruszyli, skinęli rękoma w podzięce i w milczeniu podążyli w kierunku kolejnych drzwi, przy których czekał wcześniej poinformowany nadzorca.

– Dzień dobry, poproszę klucz do holu nr 4.

Gusiniew surowo zakomunikował i podkreślił swoje żądania, strażnik lekko wzdrygnął i wykonał polecenie. Dla Giennadija wydawał się to ostatni etap zwiedzania tajnego kompleksu, jednak rysujący się przed jego oczyma widok kolejnych korytarzy i drzwi rozwiął osobiste dywagacje wywołując zarazem zażenowanie i ospałość.

– Proszę tutaj, lada moment będziemy na miejscu – Nikołaj

zachęcająco wskazał ręką na przejście po ich prawej stronie, gdy wszyscy znaleźli się w małym przedsionku wezwano windę za pośrednictwem kodu.

Parę kliknięć w panel sterowania sprawiło, że serce maszynierii wróciło do życia, zespół różnorodnych elementów zaczął współgrać ze sobą jak orkiestra podczas koncertu, wydając przy tym mechaniczną kakofonię, która narastała z każdą sekundą. Dźwignik podążał ku górze, stalowa nić za niewielką witryną wyglądała dość upiornie, jak wąż, który utknął w ciemnościach i wije się w otchłani. Na finiszu winda wydała charakterystyczny brzęk, blokada przestała spełniać swą funkcję i zgromadzeni mogli zjechać na niższe kondygnacje. Mężczyźni w ciągu niecałej minuty znaleźli się kilkadziesiąt metrów pod ziemią, gdy drzwi odsunęły się na bok Giennadij momentalnie się ożywił. Przestrzeń, choć nie różniła się rozmiarem od poprzednich miejsc, uderzała niezwykłą dbałością i znamienną elegancją, przejrzysty wykafelkowany korytarz bił po oczach przyzwyczajonych do smętnego światła. Lokum tętniło życiem, echo

kroków chodzących pracowników rozchodziło się ze znaczną częstotliwością, tu i ówdzie rozbrzmiewały dźwięki wydawane przez laboratoryjną aparaturę. Cały personel posiadał jednolity ubiór, biały kombinezon z масечką, solidne buty kształtem przypominające gumaki i podręczny notes. Naukowcy pochłonięci pracą nie zwracali uwagi na gości, przechodzili obok przybyszów nie odzywając się ani słowem. nawet do wyżej ustawionych Gusiniewa i Wawiłowa.

– Zapraszam wszystkich do pokoju, odpocznimy chwilę i przejdziemy do konkretów. Giennadij, za jakiś czas powinienes otrzymać klucze oraz instrukcje, które pozwolą ci się oswoić z nowym otoczeniem, resztę ludzi poznasz jutro. Kawy? – Wawiłow załączył elektryczny czajnik i przysiadł do stołu.

Giennadij z aprobatą przyjął poczęstunek, gdy miał zadać kilka pytań dotyczących stanowiska, kątem oka dostrzegł pracownika niosącego w ręce coś na podobieństwo kajdanek. Lekko zdumiony naukowiec szukał wytłumaczenia, w jakim celu zostały

przyniesione owe bransolety. Ostatecznie Giennadij wstrzymał się z reakcją i oponował swoją dociekliwość. Z naczynia zaczęła buchać para i w mgnieniu oka kubek przepełnił się wrzącym naparem. W pomieszczeniu zapanowała usypiająca aura, jednak dość przyjemna w odbiorze, miękkie obicia krzeseł zapewniały komfort i poniekąd stały się powodem, dla którego zgromadzeni rozplnęli się w objęciach drewnianych siedzeń przy okazji racząc się zapachem czarnego wywaru. Nie długo trwała ta cisza, do pokoju wtargnął nieznajomy mężczyzna ubrany w biały kombinezon. Zdjął maskę ochronną, z jego czoła zaczęły spływać krople potu, zgrzany facet dłonią przeczesał grzywę do tyłu i uśmiechnął się do wszystkich.

– Nazywam się Matwiej Akwajip, a pan jak dobrze myślę, Giennadij – żywiołowy pracownik kompleksu wyciągnął z kieszeni jakieś drobiazgi, wśród nich był kluczyk z breloczkiem informującym do jakich drzwi pasuje. Na metalowej blaszce widniała naklejona liczba – 12. Naukowiec z racji respektowania manier wstał i przywitał się

przytakując głową na wcześniejsze pytanie.

- Pozwoli pan, że się streszczę. Udamy się teraz do innego miejsca, tam wytłumaczę pokrótce co i jak. To w drogę. Do widzenia wszystkim – Matwiej energicznie uściśkał dłońie pozostałym i wyszedł z pokoju.

Giennadij zrobił to samo. Wawilow, Gusiniew oraz Wuser także opuścili lokum, obierając zupełnie inną trasę.

- Otrzyma pan drugi klucz do „dwunastki”, obecnie w laboratorium tylko dwie osoby mają dostęp do tego pomieszczenia. Kombinezon czeka już w szatni, a niezbędne przyrządy przekażę już na miejscu. Od razu przejdę do meritum, w sali dwanaście, dwunastce, jeden dwa, szczerowni czy jak, kto woli prowadzimy eksperymenty na zwierzętach, łatwo domniemać na jakich. Od razu przestrzegam, że te małe ścierwa są dość agresywne i trzeba mieć co nie co animuszu przy obcowaniu z tymi stworzonkami. Niektóre okazy są wyrośnięte, ale jak je porządnie pacnąć to się uspakajają, badamy ich psychikę,

tresujemy i inne takie, resztę szczegółów pozna pan z czasem. O! Tutaj jest przebieralnia – Matwiej uchylił drzwi od szatni i pożegnał się z Giennadijem na kilka minut.

Naukowiec spojrzał na żwawego pracownika wertującego po drodze kartki podręcznego notesu. Po chwili znikł mu z oczu, a korytarz oblała pustka, blade ściany, choć biły światłem spowity powietrze zdechłą aurą, wszystko ucichło. Laboratoryjny zgiełk przeistoczył się w próg słyszalności, podziemny kompleks wydawał się być martwy. Giennadij otworzył drzwi na oścież, rząd metalowych szafek rozpościerał się na pół sali, tu również nikogo nie było, tylko zdeformowana postać żyjąca w lustrzanym świetle na płaszczyźnie stalowego prostopadłościanu. Na ławie znajdował się poskładany kombinezon, obok masywne gumofilce wyglądające jakby przed chwilą opuściły taśmę produkcyjną. Naukowiec wskoczył w biały kostium, dopiął guziki w rękawach i machinalnie poprawił nogawki, obuty jak należy mógł pełnoprawnie stać się członkiem personelu. Do kieszeni wrzucił zegarek, jednak po chwili wyciągnął go z powrotem. Wskazówki

nie przemieszczały się, sekundnik żałośnie dogorywał próbując przemieszczać się ku górze, na tarczy chronometru czas stanął w miejscu. Do szatni napłynął strumień światła i dźwięk kroków. Uśmiechnięty Matwiej stanął w progu i rzucił:

– Widzę, że jesteś już gotowy, w takim razie zapraszam.

Potrzeba czegoś jeszcze?

– Baterii. Mój zegarek przestał działać. – odparł Giennadij stukając palcem w szybkę wartościowej pamiętki.

– Znajdzie się, jednak teraz proszę za mną.

Pokój numer dwanaście mieścił się na końcu holu, obok niego znajdował się również gabinet o nieznanym przeznaczeniu. Zawieszona tabliczka informowała o jakimś niebezpieczeństwie, lecz naukowiec nie przyjrzał się dostatecznie, by zrozumieć jej graficzne obwieszczenie. Akwajip włożył klucz do zamka, zespół drobnych zapadek przyjął prawidłową kombinację, wrota otwały się. W pomieszczeniu było ciemniej niż na korytarzu, źródłem światła okazały się zwykłe lampki stołowe rozmieszczone według przyjętego schematu. Na środku stały żelazne

bryły wyposażone w liczne pokrętła, suwaki oraz liczniki. Na biurkach usytuowane były komputery starego typu, podłoga była tutaj brudna, a powietrzu unosił się swąd futra i fekaliów.

– Proszę założyć maskę, chyba że odpowiada panu ten zapaszek – Matwiej zaśmiał się pod nosem.

– Nie tak sobie to wyobrażałem. Myślałem, że...

– Że co? Że to będzie salon gier, ze szwedzkim stołem i półnagimi panienkami na parkiecie? – Akwajip znów buchnął śmiechem, jednak zrobił to na tyle uprzejmie, że sam Giennadij zachichotał.

– Gdy tu trafiłem też się zniesmaczyłem, ale przyzwyczailem się i wiesz co? Polubiłem tę robotę, tobie też się wkręci. Choć pokaże Ci moje pociechy – Matwiej wyciągnął z kieszeni ostry przedmiot i zniknął za aparaturą.

Szczury przebywały w odosobnionych klatkach, obserwacja zwierząt odbywała się przez specjalne wizjery wbudowane w stalowe drzwiczki. Dodatkowo każdy zasobnik wyekwipowany był w dwa otwory, przez które podawano substancje.

– Tego nazwałem Lozo, jest tu najdłużej ze wszystkich, najbardziej posłuszny i najbardziej zmutowany. Powinien już dawno nie żyć, ale jak widać katastrofa okazała miłosierdzie tym ssakom. Lozo nie posiada oczu, w sumie to posiada, ale to tylko taki dodatek, zmysł wzroku całkowicie u niego zanikł jak u reszty. Mimo, to jest wrażliwy na światło i przedmioty wytwarzające zmienne pole elektromagnetyczne. Niech sobie pan wyobrazi, że wypuszczamy je z klatki, pozbawiamy węchu oraz słuchu, my zaś stajemy w umownym bezruchu gdzieś na końcu ciemnego pomieszczenia, szczury bez problemu nas znajdują. Impulsy elektryczne wytwarzane przez skurcze naszych mięśni zdradziłyby nasze położenie, nie wiemy tylko jaki organ u tych zwierząt spełnia rolę elektroreceptora. Jak dotąd jedynymi ssakami posiadającymi tę zdolność były dziobaki oraz delfiny rodzaju sotalia. Proszę spojrzeć, obok Lozo leży przedmiot, który za moim pośrednictwem otrzyma ładunek elektryczny.

Matwiej wykonał serię nieskomplikowanych ruchów dłonią na tablicy urządzenia sterującego. Zielona dioda zasygnalizowała przepływ prądu, szczur w oka mgnieniu zerwał się i skierował w stronę tajemniczego przedmiotu. Lozo zaczął obwąchiwać obiekt, ale szybko się znudził i wrócił do leżenia.

- Teza o wytworzeniu zmysłu elektrolokacji u szczurów wydaje się być jak najbardziej prawdziwa. Wystarczy sporządzić wnikliwy raport.
- I ja go mam stworzyć? – odezwał się Giennadij po dłuższej przerwie.
- Nie, nie. To moja działka. Pan będzie miał inne zadanie. Prowadzimy również eksperymenty nad świadomością tych ssaków, posiadamy specjalny emiter generujący promieniowanie o niskiej częstotliwości. Chcemy wpływać na zachowanie szczurów. Aktualnie wyniki pomiarów są skąpe, ale w przyszłości ma się to zmienić.
- Nie sądziłem, że zakres doświadczeń obejmują tak złożone technologicznie metody. Brzmi ciekawie.

– W zeszłym tygodniu doszło do pierwszej próby, w której dwa egzemplarze zostały potraktowane sporą dawką radiacji. Nie mamy jeszcze przyjętej nazwy dla tego rodzaju promieniowania, ale wiemy jak je uzyskiwać. To bardzo skomplikowana procedura. Proszę za mną.

Akwajip otworzył klatkę, opryskał szczura płynem najwidoczniej powodującym zmniejszenie agresji. Złapał otępiatego fu-trzaka w rękawice i przeniósł do enigmatycznej maszyny, która Giennadijowi nie rzuciła się wcześniej w oczy. Agregat miał symetryczny układ, po obu stronach widniały silosy wypełnione żółtą cieczą. Na środku znajdował się piedestał otoczony do połowy miedzianą cewką, z górnej powierzchni okrągłego modułu wystawał boleć z kulistym zakończeniem. Maszyna zawyła, bęben obrócił się o dziewięćdziesiąt stopni umożliwiając Matwiejowi ulokowanie bezwładnego szczura. Aparatura pracowała na jałowym biegu. Naukowiec podał zwierzęciu miksturę za pomocą zastrzyku i oddalił się od urządzenia. Obaj panowie stali przy sterowni osłoniętej ołowiową szybą. Chwilę potem

antena stanowiąca wierzch maszyny wykrzesła z siebie iskry i okryła się elektryczną nicią. Cewka zaczęła się powoli obracać, nad szczurem rozbłysło łagodne światło. Proces radiacji bezbronnego stworzenia odbywał się bez szwanku, mikroskopijny świat nad ciałem gryzonia szalał jak burza, masa cząsteczek z szaleńczą prędkością odbijała się od siebie w nieskończoność, swoista entropia dobiegła kresu, gdy Matwiej wyłączył mechanizm startowy.

– Pierwszy etap zakończony pomyślnie, musimy odczekać kwadrans, aż nasz mały przyjaciel wróci do świata żywych. Naukowiec przysiadł do biurka i zaczął studiować zapiski na ekranie monitora. Giennadij tylko się przyglądał i czekał na swoją kolej. W międzyczasie zerknął na zegarek, wskazówka wyznaczająca sekundy jak, gdyby nigdy nic zmierzała ku górze zataczając wieczny okrąg.

Rozdział VII

Widmo:

Napięta twarz naukowca mieniła się na niebiesko. Matwiej pochłaniał spojrzeniem wyświetlany na ekranie wykaz zakończonego badania, diagramy okraszone skomplikowaną symboliką owocowały u niego napięciem, urzeczywistniającym się w postaci mimowolnego pomrukiwania i mrużenia oczu. Giennadij wyłapywał sens poszczególnych linijek, ale nie mógł dokładnie stwierdzić istoty graficznych znaków.

- Niech pan spojrzysz tutaj, na ten wykres – Akwajip zaczął jeździć palcem po ekranie – komórki mózgu odpowiedzialne za świadomość są tak jakby wyłączone. Szczur żyje, ale nic nie może robić. Możemy teraz ingerować w jego umysł, oddziałując cząsteczkami pobudzającymi niepracujący obecnie organ. Każdy z okazów ma wszczepiony chip, który jest czymś w rodzaju łącznika odbierającego informacje wysyłane przez nas i dalej do mózgu. Niezwykłe.

Eksperymenty nie zawsze się sprawdzały, ale kilka prób dały nam punkt odniesienia i wiemy, na czym stoimy.

Kontrola świadomości to ogromny krok na przód, ale za nim opatentujemy w stu procentach ten wieloaspektowy proces minie dużo czasu.

- W swoich badaniach zajmowałem się głównie oddziaływaniem promieniowania na roślinność. Nie sądziłem, że poznawanie strefy może się odbywać na inne sposoby – Giennadij skrzyżował ręce, pochylił się nad monitorem i odrzekł – A czy szczury są tu jedynym rekwizytem doświadczalnym?
- Nie. Ale zakres naszych możliwości rozwinął się do takiego stopnia, żeby brać pod uwagę inne gatunki zwierząt – Matwiej odszedł od komputera niknąc w mroku.
- Rozumiem. Giennadij przez moment stał sam w wydzielonym pomieszczeniu i świdrował wzrokiem znajdujące się wokół konsoly. Wówczas z końca pokoju dobiegł niekształtny głos naukowca.

- Trochę tu razem przepracujemy, co pan powie na wypad do pobliskiego bufetu po zakończeniu pracy? Serwują tam również alkohol, ale za specjalnym przyzwoleniem.
- Kilka głębszych nie zaszkodzi – odparł, wypatrując z ciemności sylwetkę Matwieja.
- Szybko pan podjął decyzję o zmianie stanowiska, nie podobało się w Prypeci?
- Dziwnie to zabrzmiało, ale trochę tęsknię za swoim gabinetem, ten sam widok przez pięć lat. Człowiek przyzwyczaja się do pewnych miejsc. Za namową Wusera zmieniłem funkcję, dość pochopnie... Z natury jestem ciekawski i lubię poszerzać horyzonty. Sądzę, że dobrze zrobiłem.
- Dobrze pan sądzi, Wuser pracuje tu od dłuższego czasu. Nie za często się z nim widuje, ale równy gość z niego. Nie wspominał wcześniej o tym laboratorium?
- Właśnie się zastanawiam, czemu milczał skubany i jakim cudem dzielił etaty, skoro widywałem go w Prypeci. Czyżby tajemnica zawodowa?

- Słusznie. Warunki są dość rygorystyczne, poza terenem kompleksu nie warto sobie robić problemów, ściany mają uszy, a może cała strefa to jeden wielki podsłuch? – Matwiej uśmiechnął się i zdjął rękawice ochronne – Czas na przerwę.

Obydwaj ruszyli w stronę wyjścia. Akwajip odkręcił bezpieczniki, a pokój ogarnęła lepka czerń topiąc w sobie wszechobecne dobra. Pomieszczenie obumarło wraz ze szczurami, które przestały wydawać piskliwy szmer, z chwilą gdy nastała ciemność. Giennadij ponownie odwiedził szatnię. Z przeciwległego końca przebieralni dobiegły go rozmowy pracowników, te w nie długim czasie ucichły pozostawiając po sobie zgrzyt zamykanych drzwi. Naukowiec podszedł do umywalki, uwolnił strumień wody i przemył twarz letnią wodą. Przeglądając się w lustrze dostrzegł brak plamy na oku, którą wychwycił zaraz po ocknięciu się w Prypeci. Pomyślał przez chwilę, że skazę na lustrze mógł odebrać jako znamię, lecz po chwili odrzucił tę naiwną ewentualność. Mętlik w głowie rozwiązał delikatny chrzęst stalo-

wej szafki. Dźwięk dobiegł, z drugiej strony wysokiego na dwa metry szeregu mebli. Giennadij machinalnie rzucił pytanie:

– Jest tu, kto, halo?

Nikt nie odpowiedział. Wytężony słuch naukowca wyłapywał rozmaite dźwięki dobiegające z innych pomieszczeń, grobowa cisza panująca w szatni drażniła ucho. Giennadij zerwał się i żwawo wystartował do miejsca skąd usłyszał trzask. Za ostatnią szafką w ułamku sekundy niknęły kontury zgarbionej postaci, nieprzypominającej ani trochę pracownika kompleksu. Naukowiec osłupiał wpatrując się w punkt, na którym jego wyobraźnia rysowała pamięciowy obraz enigmatycznej sylwetki. Giennadij ocknął się lada moment i przyspieszył kroku. Za stalowymi meblami nikogo nie było, fonii zamykanych drzwi również. Umysł naukowca ponownie stanął w kłinczu z ciałem, jego kończyny ogarnęła paraliżująca siła, która z biegiem sekund stawiała się coraz bardziej nieodparta. Powieki niczym kurtyny ospale opadły, scena wraz z rekwizytami zniknęła, a główny aktor przedstawienia zapadł w letarg usuwając się pod naporem

własnego ciała jak marionetka, której lalkarz uciął sznurki.

Seria błysków z iskrzącej się jarzeniówki przy akompaniamencie przeciągłego zgrzytu dobiegającego gdzieś z oddali wybudziła Giennadija ze snu. W szatni było ciemno i tylko krótkotrwałe skrzyśnięcie nadpsutej lampy pozwalało na chaotyczną ocenę sytuacji. Pomieszczenie wypełnił zapach spalenizny i fetor zjełczanego mięsa. Stalowe szafki w żalсным migającym świetle wyglądały upiornie, przewietrzniki na metalowej powierzchni drzwiczek układały się na wzór szyderczego uśmiechu, który działał na wyobraźnię wciąż otępiałego naukowca. Ten próbując przywrócić w sobie część racjonalnego myślenia w skrajnych sytuacjach zauważył jak klamka wejściowych drzwi delikatnie się porusza. Strach zajął stan ducha, Giennadij cofnął się od źródła ewentualnego niebezpieczeństwa. Szarpanie ustało na moment, ale wróciło ze zdwojoną mocą. Nieznana siła bezskutecznie próbowała dostać się do środka, aż w końcu odpuściła i pozostawiła po sobie wspomnienie, które nęciło naukowca na tyle, by ten podjął się środków zapobiegawczych. W

głównym holu rozległ się szczurzy pisk i trzask łamanych mebli, rychło korytarz wypełnił ludzki jazgot, który przemienił się w próżne wołanie o pomoc. Na sercu Giennadija grał niewidzialny dobosz, wystukując rytmiczne bicie przeszywające ciało, lęk urzeczywistnił się w postaci grudy, która utknęła gdzieś w gardle. Naukowiec z trudem przełknął ślinę. Przypadek sprawił, że dostrzegł uchyloną szafkę, w której znajdowały się rzeczy o bliżej nieokreślonych funkcjach. Kiepska widoczność w połączeniu z grozą nie ułatwiała w szperaniu. Giennadij po omacku wyciągnął ze schowka przyrząd, który okazał się suwmiarką z solidnego materiału. Facet w kombinezonie stłumił w sobie paniczny strach i powoli zmierzał ku drugim drzwiom. Nie zdecydował się jednak ich otworzyć. Przysiadł zrezygnowany i zaszlochał opierając głowę na rękach. Wewnętrzna rozpacz zakłóciło rozpadające się na fragmenty sklepienie podwieszanego sufitu, w mgnieniu oka do szatni spadło ciało ubrane w biały kostium. Fonia bijących o podłogę szczątek wyrwała Giennadija, że ten w agonii złapał za przyrząd mierniczy. Gdy wymierzał cios krzy-

ząc, zdał sobie sprawę, że z posadzki podnosi się człowiek, który w formie obrony skulił się i zaczął wrzeszczeć.

- Kurwa nie! Odłóż do cholery to ustrojstwo! – zakurzony facet kłął i miotał się osłaniając twarz rękoma.
- Co tu się ku*wa dzieje?! Co to za maskarada?! – Giennadij rzucił na przywitanie z nieznanym gościem.

Obydwaj mieli strach w oczach, sytuacja w jakiej się znaleźli sprawiła, że każdy z nich odczuł ulgę widząc przed sobą ludzką istotę. Naukowiec pomógł wstać nieznajomemu.

- Co to za szopka ku*wa, wiesz coś o tym, powiedz, że to rosyjska wersja Truman Show! To coś... – naukowiec przerwał i uspokoił się na chwilę.
- Musimy się stąd wydostać jak najszybciej, prędzej odgryzę sobie kciuka niż tu zostanę – odparł nerwowo poruszając rękami – tylko ty zostałeś? Tam na górze jakieś diabelstwo zmasakrowało cały personel, nie widziałem dokładnie co, ale dałem dyla i nie wiedzieć jak znalazłem się tutaj. Nazywam się Leonid, a ty?

– Giennadij. Tak zostałem sam.

Lepka atmosfera grozy i śmierci mieszała się z unoszącym pyłem. Faceci zdani łaskę własnych możliwości bez słowa przyparli do ściany i pogrążyli się w jakiejś bezsensownej zadumie ogarniając cały ten burdel. Nie wiedzieć czemu Giennadij zachichotał pod nosem.

– Co ci tak wesoło? – zapytał przybysz wytrzeszczając oczy.

– Siedzimy w zapiżdżonym bunkrze kilkadziesiąt metrów pod ziemią, zamiast jakiegokolwiek broni mamy tylko suwmiarkę, którą można co najwyżej zmierzyć ubytek w suficie. Za drzwiami tej pieprzonej szatni czai się jakieś gówno, a o nas nikt pewnie nie pamięta. Co za niefart – uciął naukowiec.

– Ja nie chcę umierać – panicznie odparł.

– Ja też...

Rozdział VIII

Exodus:

Korytarz prowadzący do pomieszczenia z windą okrył się ciemnym płaszczem, nieprzenikniony całun wypełnił każdy skrawek powierzchni. Podziemny świat ogarnęła totalna nicość. To co istniało w świetle, okazało się tylko szczątkowym faktem. Widzialne stało się niewidzialne i, choć nadal jest, już nie trwa. Pełnia mroku wprowadzie martwa, żyła własnym prawem. Najczarniejsza wśród czerni, pustka ważąca więcej niż jakikolwiek inny ciężar, powoli zagnieżdżała się w umysłach dwóch ocalałych. Szala zdrowej świadomości i opętańczej jaźni oscylowała w granicach równości, lecz z biegiem czasu przekłute ramię zmierzało ku dołowi. Stłumione dźwięki rozpuszczały się w przestrzeni. Metaliczny stukot dochodzący gdzieś z góry, niesiony przez zwalistą konstrukcję betonowego kompleksu łagodniał po chwili, następnie przeistaczając się w bezgłośny ton. Wadliwie działająca jarzeniówka żałośnie błysnęła, wydając kilkakrotnie

fonię przepalanego przewodu. Niebawem przestała funkcjonować, pozostawiając po sobie żarzący się punkcik pod szklaną pokrywą.

Tak samo tliła się nadzieja, która w duszach obydwu naukowców znalazła jeszcze trochę miejsca. Podtrzymywana wspólną energią dążenia do celu, którym jest przetrwanie, jeszcze nie zgasła. Światło nadziei nie rozświetlało wszechobecnego mroku, ale pozwalało, im stłumić amok i chłodnie ocenić sytuację. Chwiejny fundament, na którym stali mógł w każdej chwili runąć grzebiąc ich w zgłiszczach własnej ambicji.

- Co robimy? – odezwał się Leonid. Echo jego słów zabrzmiało upiornie w czarnej gęstwinie.
- Nie mam pojęcia, jestem tu nowy. Znasz system korytarzy prowadzący na powierzchnię? – odparł Giennadij świdrując wzrokiem źródło głosu.
- Bez światła nie damy rady. Latarka, komórka. Cokolwiek, byle, by dało jakąś poświatę.
- Możemy pogrzebać w szafkach, po omacku, ale zawsze

coś. – Giennadij wstał i orientacyjnie zaczął badać teren wokół.

Naukowiec zbliżył się do stalowych mebli i opuszkami palców zaczął badać zamki. Wszystkie drzwiczki były zamknięte na amen.

- Ku*wa, wszystko zamknięte, można było się domyśleć. Masz może klucze, do którejś z szafek.
- Korzystam z szatni na górnym piętrze. Korzystałem... – uciął Leonid.
- Suwmiarką raczej nie otworzę żadnej. Ale można spróbować.
- A, jeśli hałas sprowadzi to coś? Nie chcę skończyć w paszczy jakiegoś monstrum, cokolwiek, to jest nie chce tego widzieć.
- I tak nic nie widzisz – odparł pół żartem, ale nie doczekał się reakcji ze strony Leonida.

Naukowiec ocenił położenie jednego z zamków, działanie opierające się wyłącznie na przewidywaniu i ślepej kalkulacji miało

prawo się nie udać. Giennadij bez zastanowienia wykonał zamach narzędziem. Trzask uderzenia rozległ się po pomieszczeniu. Jeszcze raz, drugi. Metalowa obudowa mechanizmu rozpadła się i poturlała gdzieś po podłodze. Serce zamka zostało odkryte, jednak majstrowanie przy, nim było niemożliwe.

- Szkoda, że nie noszę przy sobie brechy, byłaby jak znalazł – oznajmił Leonid zrezygnowanym i kąśliwym tonem.
- Gdy uczęszczałem jeszcze do szkoły bawiłem się co nie co przy zamkach, ojciec był ślusarzem. Dajcie mi ociupinkę światła, a może dostanę się do szafki – zaapelował Giennadij, jakby w pobliżu stali obserwatorzy oceniający jego zmagania.
- Zegarek.
- Co zegarek?
- Mój zegarek. Ma podświetlany wyświetlacz. Wystarczy?

Późno przekazany fakt zdegustował Giennadija, jednak ten nie miał czasu na błahostki. Leonid wstał i ruszył w kierunku naukowca. Po chwili Łuna słabego światła przecięła mrok. Dla

obydwu czasomierz stał się czymś nadzwyczajnym, ot tak zwykły przedmiot codziennego użytku urósł na miano legendarnego. Na widok niebieskiej poświaty zrobiło, im się lżej na sercu, wyświetlacz emanował energią dodającą otuchy. Obnażony mechanizm zamka, choć słabo widoczny, był zdalny do oględzin. Giennadij przyjrzał się zapadkom i zaczął przy nich grzebać. Siłując się z mechanizmem odparł do stojącego tuż obok Leonida:

- A co, jeśli szafka okaże się pusta bądź przedmioty w niej nie będą nam potrzebne?
- Nie pisz czarnych scenariuszy, trzeba być dobrej myśli – odpowiedział z powagą.
- Skoro tak uważasz.

Giennadij za pomocą cieniutkiego przyrządu wygrzebanego z kieszeni podważył odpowiednie elementy, metoda prób i błędów przyniosła efekt. Szafka została otwarta. Na jednej z półek leżała torba, która swoją lekkością dobitnie dała do zrozumienia, że jest pusta. Kieszonki po bokach również były opróżnio-

ne. Na dnie mebla znajdował się worek pełen pustych pudełeczek. Giennadij na wszelki wypadek obmacał dokładnie każdy skrawek szafki, trafił chciał, by na jednej z półek napotkał zapalniczkę. Ścisnął w dłoni przedmiot myśląc o nim jak o drogocennym skarbie. Naukowiec wprowadził w ruch ząbkowane krzesiwo, dopiero za drugim razem iskra spełniła ich oczekiwania. Mały płomień wzbudził zachwyt. Smukły żar hipnotycznie poruszający się na boki dla dwóch ludzi stał się czymś wyjątkowym. Sytuacja sprawiła, że poczuli się, jak pierwsi ludzie, którym udało się okiełznać potężny żywioł.

- Gaz w zapalniczce jest na wykończeniu. Możemy wykorzystać puste kartoniki jako punktowe oświetlenie, będziemy je podpalać i rzucać przed siebie.
 - Wątpię, by to miało jakiś głębszy sens, tekstura szybko się wypali i co wtedy? – ocenił Leonid.
 - Zawsze coś – uciął lakonicznie naukowiec i ruszył w kierunku wyjścia.
- Giennadij uchylił delikatnie drzwi i odpalił zapalniczkę. Lepki

mrok rozstał się przed nim, jak za machnięciem czarodziej-skiej różdżki. W nieregularnym świetle wszystko wokół wyglądało odmiennie, zdeformowane cienie poruszały się pod wpływem blasku i sprawiały wrażenie żywych, jakby widok ognia drażnił skryte gdzieś niedaleko istoty. Szkarłatna ciecz na posadzce świadczyła o dantejskich scenach i triumfie nieznanego zła. Mrozące krew w żyłach przypuszczenie, że śmierć może dopaść także jego doprowadziły Giennadija do ogromnego strachu. Każdy krok w przód stawał się coraz trudniejszy, płomień zapalniczki zaczął gwałtowniej się poruszać i zgaśł. Naukowiec zluzował kciuk. Zza jego pleców dobiegł pierzchliwy głos Leonida:

- Nie przejdziemy tędy. Korytarz prowadzi do windy, a ta na pewno nie działa i nie wiadomo czy generatory są sprawne. Pozostaje nam iść schodami, diabli wiedzą co nas czeka.
- W takim razie prowadź – Giennadij niechętnie przekazał zapalniczkę towarzyszowi, twierdząc w myślach, że tylko on sam jest godzien korzystać z jej uroków.

Leonid przesunął się, jak najbliżej ściany mozolnie zmierzając w kierunku głównego wyjścia. Zapalniczka powtórnie zaiskrzyła rozświetlając kolejne fragmenty ponurej scenerii. Obok drzwi gabinetu rozpościerał się szereg zdezelowanych mebli o lekkiej stalowej formie. Zawartość potłuczonych naczyń mieszała się z krwią ciekącą spod ciała jednego z pracowników. Na kombinenzie nieszczęśnika widniały ślady szarpaniny, które wykluczały starcie człowieka z człowiekiem. Kilka metrów dalej mijali kolejne zwłoki, tym razem pozbawione głowy, towarzysze jednak nie mieli zamiaru jej wypatrywać, przytkali dłońią usta i ominęli trupa w milczeniu. Niebawem dwójka ocalałych znalazła się w miejscu, gdzie dochodziło do rozwidlenia. Idący z przodu Leonid szarpnął za ramię towarzysza i szepnął zwięźle – Tędy.

Giennadij posłuchał i po chwili rzucił pewną supozycję, która poruszyła odbiorcę.

– To coś, co zabiło tych ludzi też mogło udać się schodami, przecież winda nie działa. Nie wiemy nawet, czy to ścierwo

gdzieś się tu czai.

– Wszystko mi jedno. I tak nie możemy tu zostać, to jedyna możliwość. Cały kompleks to jedna wielka sieć. Segment, w którym się znajdujemy to, jak pieprzyk na tyłku. Labirynt jednym słowem rozumiesz? Jak to gównu wyjdzie na powierzchnię... Jak my wyjdziemy – odparował Leonid wzdychając przeciągle.

Blask zapalniczki urzeczywistnił kontury schodów. Wyglądały jak żywcem wyjęte z telewizyjnych horrorów, z tą różnicą, że w pobliżu nie było ekipy filmowej, tylko aktorzy kreślący scenariusz na własną rękę. Towarzysze stanęli przed pierwszym stopniem. Wyjście z piekła rysowało się w barwach czerni i czerwieni.

– Nie starczy nam gazu w zapalce, ale to tylko szczegół – rzekł ironicznie Leonid stawiając stopę na schodek

– A diabeł tkwi w szczególe – odparł naukowiec wlepiając wzrok w plecy przodującego kompana.

Rozdział IX

Jedyny:

Schody prowadzące na wyższą kondygnację przesiąknęły smrodem spalenizny, woń przepalonego plastiku rozjuszała zmysły dwóch towarzyszków. Na ścianach pół piętra w anemicznym blasku zapalniczki widoczne było ślady krwi, odcisnięte na kształt dłoni. Wniosek nasuwał się sam i obydwaj nie ukrywali swoich podejrzeń.

- Myślisz, że komuś udało się przetrwać te całe gówno? A co, jeśli jesteśmy sami.
- Ślady są świeże, prawdopodobnie ktoś się stąd wykaraskał i udał się na górę, pytanie tylko czy nadal żyje.
- Wątpię – zadrżał głos Leonida – spójrz.

Wygięte ciało nieznanego pracownika leżało na kolejnym spoczynku. Zakrwawione dłonie pechowca ucięły wszelkie spekulacje na temat pochodzenia śladów na ścianie. Denat z przebitą klatką piersiową na wylot, spędził ostatnie minuty życia na doj-

mującym zapieraniu się przed ostatecznym upadkiem, plamiąc mury piekła szkarłatem w świadomości niechybnego końca.

- Biedak. Trochę się namęczył, nim dokonał żywota – oznajmił Giennadij wskazując palcem narzędzie tkwiące w ciele – obawiam się, że już nikogo nie spotkamy.
- Chodźmy stąd, nic tu po nas – Leonid wykonał niedbale znak krzyża i ominął zwłoki. Pokonywanie kolejnych stopni było coraz cięższe. Cisza, którą zakłócały wyłącznie nieregularne kroki ocalałych, była na tyle niepokojąca, że ewentualny dźwięk pochodzący gdzieś z oddali zadziałałby ze zdwojonym impetem na ich psychikę.
- O, ile się nie mylę, na kolejnym półpiętrze jest niewielka kanciapa, można w niej poszperać. Niewykluczone, że znajdziemy parę przydatnych drobiazgów.

Giennadij przytaknął bez słowa.

Towarzysze przemieszczali się dość żwawo, jak na panujące warunki. Najwyraźniej słabo działająca zapalniczka zmusiła ich do wzmożonego tempa, by uniknąć w razie czego błędzenia w

ciemnościach. Na ścianie widniał plakat nawołujący do rzetelnego przestrzegania zasad bezpieczeństwa pracy oraz zachowaniu ostrożności podczas rozmaitych niebezpieczeństw. Banner miał dość irytujący pogłos i stwarzał wrażenie jakby został umieszczony na złość czytelnikom, którzy przyglądali się mu w lichym blasku. W odpowiedzi na przekaz płynący z naścienne-
go afiszu odezwał się Leonid:

- Szkoda, że nie napisali jak znaleźć światło w ciemnej dupie
- Leonid chrząknął i splunął na plakat.
- Te drzwi miałeś na myśli – Giennadij zignorował obelgę i wskazał na wejście do pomieszczenia.

Obydwaj ruszyli w stronę kanciapy, ciekawość połączona z adrenaliną wywoływała u nich ekscytację, otwarcie drzwi mogło okazać się zbawienne. Naukowiec delikatnie pociągnął za klamkę uchylając wrota do tajemniczego lokum, gdzie miały się potwierdzić oczekiwania ocalałych, finał był bliski. W pokoiku unosił się przyjemny słodkawy zapach, który zmiękczał atmosferę grozy. Salka długa na około trzy metry, była wąska, ale z

łatwością mieściła dwóch ludzi stojących w szeregu. Po każdej stronie mieściły się drewniane szafki starej daty i regały, na których sterczały plastikowe pudełka, buty pracownicze i przyrządy do konserwacji. Towarzysze bez słowa przeszli do penetrowania półek i skrzynek, zajęcie wzbudzało wiele emocji, ale z każdą chwilą bezproduktywne poszukiwania zniechęcały do dalszych działań. Szmer wywołany grzebaniem w pudłach nagle się urwał, pozostał tylko jeden dźwięk dobiegający gdzieś z bliska. Cichutkie szlochanie pochodzące z ostatniej szafki wyrwało z hipnotycznej kwerendy obu mężczyzn. Giennadij i Leonid zbliżyli się do źródła enigmatycznego łkania i bez namysłu zbadali zawartość drewnianej gabloty. Nagły wrzask z siłą kilkudziesięciu decybeli zgarbił jegomościów, tak, że ci nie wiedzieli co zrobić. Naukowiec zdał sobie sprawę, że krzyk ma kobiecą barwę, otrząsnął się i wymierzył cios. Solidne, ale nie za mocne uderzenie w przeponę urwało drażliwą fonię, ryk przeistoczył się w żałosne stękanie. Giennadij szarpnął za ramię kobietę i wywłókł ją z prowizorycznego schowka. Leonid w kiep-

skim świetle rozpoznał pracownicę, która nadal płakała i wyrzucała z siebie niezrozumiałe słowa. Dwójka towarzyszy natychmiast zaczęła uspokajać reprezentantkę płci pięknej. Gdy sytuacja przybrała łagodniejszy wymiar, pracownik o dłuższym stażu odezwał się do rozkojarzonej kobiety.

- Tatiana spójrz na mnie. Hej! Wszystko w porządku?
- Jest w szoku, była tu sama od dłuższego czasu, każdy, by zwariował – ocenił sprawę Giennadij przypatrując się pracownicy o brunatnych włosach i kaukaskiej urodzie.

W ułamku sekundy płomyk zapalniczki znacznie zmalał, aż w końcu rozpląnął się w koszmarnych gęstwinach czerni. Paliwo wykorzystane do cna krążyło gdzieś w powietrzu w szczątkowej postaci, jako inna substancja, produkt nieodwracalnej reakcji spalania. Każdy koniec daje początek czemuś nowemu. Na stały narodziny nowej cząstki, która miała spełnić widmo zbliżającej się śmierci. Pierwiastek kresu, kielkujący w umysłach i gaszący ostatnią iskrę nadziei. Zapanowała nicość, ciężka i niepojęta.

W chwili, gdy towarzysze zatracili się we własnych myślach rozległ się kobiecy głos, który wniósł odrobinę ciepła.

- Dziękuję. Leś tu? A ten drugi pan?
- Giennadij. . . Tak jesteśmy – odrzekł z goryczą pocierając bezskutecznie krzesiwem zapalniczki.
- Bez światła, bez wody, bez jedzenia. Wytrzymamy tu maksymalnie dobę, ześwirujemy i diabli wiedzą co jeszcze – wtrącił Giennadij.
- Widzieliście to coś , co zabiło pracowników? – odezwała się kobieta.
- Żadnej żywej duszy. A ty coś pamiętasz?
- Nie bardzo. W głowie mam tylko jakieś strzępki. . . Preraźliwy ryk, który docierał zza moich pleców. Gdy dotarłam tutaj, zrobiło się tak dziwnie cicho. Potem rozległy się wrzaski i wołanie o pomoc. . . – Tatiana ponownie załkała wciągając gwałtownie powietrze.
- A ten cały incydent. . . Jak, gdzie, kiedy? Nic nie wiadomo . Z zewnątrz muszą coś wiedzieć, jakaś interwencja ratunkowa,

cokolwiek, chociaż sygnał. Może lada moment wydostaną nas z tego gówna – cedził naukowiec wzbudzając w sobie oznaki nadziei.

- Nie możemy tu zostać.
- I nie możemy iść dalej – zripostował Giennadij – szukanie wyjścia w ciemnościach wydaje się być szalenie niepoważne.
- Czyli chcesz tu zostać i czekać na cud?
- Nie wierzę w cuda.
- W takim razie sam pójdę.
- Nie radzę.

Położenie towarzyszy przypominało partię szachów, gdzie osamotniona figura z koroną ma po przeciwnej stronie wyłącznie rywala tej samej rangi. Patowa sytuacja doprowadziła do milczenia, jednak tylko z pozoru, bo na szachownicy pojawił się jeszcze jeden pionek, dając zarzewie nowej nadziei. Tatiana w momencie, gdy Giennadij i Leonid zamilkli, zaczęła po omacku grzebać w kartonach, które znajdowały się zaraz obok niej. Wy-

łowiony z pudełka przedmiot okazał się latarką. Rodzący światło sprzęt w ułamku sekund rozrzedził ciemny całun rozświetlając ciasne pomieszczenie. Reakcja trójki zagubionych była natychmiastowa i nieopisana, jednak szybko starta, bo świadomość o długiej i niebezpiecznej ucieczce z kompleksu nie dała o sobie zapomnieć.

- Skąd masz latarkę? Szukaliśmy wszędzie i nic.
- Leżała w pudełku obok mnie. Instynktownie do niego zajrzałam.
- Dziwne. Byłem pewien, że wszystko sprawdziłem. Dzięki, ratujesz nam skórę – Giennadij uśmiechnął się sztucznie i odkleił wzrok od trzęsącej się Tatiany.

Naukowiec sięgnął do kieszeni, jednak pod opuszkami palców wyczuł wyłącznie ceratę zdobiącą wnętrze uniformu. Kolejna próba, to samo. Drogocenna pamiątka ze wskazówkami przepadła. Giennadij stanął w obliczu absurdu i niepohamowanej chęci odzyskania osobistego chronometru. Zapomniał, że walką o życie i ich głównym pragnieniem jest opuszczenie obiektu,

reszta się nie liczy. Mimo to, sentyment do osobistego chronometru popchnął go do chorego działania.

- Musimy się wrócić...
- Wrócić? Oszalałeś! Jaki w tym sens?
- Górą nie jesteśmy w stanie się przedrzeć, to zbyt niebezpieczne.
- Co ty wygadujesz?! Trzecie piętro jest ślepe, tak samo czwarte. Jedyna droga do wyjścia prowadzi przez te pieprzone schody, rozumiesz czy ześwirowałeś doszczętnie.
- A szyby wentylacyjne?
- Nie mam zamiaru przeciskać się w ciemnościach, skąd ci ten pomysł do głowy przyszedł. Czemu chcesz wracać?
- W takim razie pójdę sam – Giennadij z powagą zwrócił się do kompana i wyciągnął rękę w kierunku Tatiany, by ta dała mu latarkę.
- Musimy trzymać się razem, nie mogę ci dać latarki! – kobieta cofnęła się, w jej głosie słychać było przerażenie.

Leonid odepchnął Giennadija, nie wyrządzając mu krzywdy, ten jednak nie wykonał odwetu, a spokojnie obrócił się na pięcie zmierzając ku wyjściu.

- Durniu! Co się z tobą stało? Bez nas nie masz szans.
- Wiem co robię.

Naukowiec szarpnął za klamkę, swąd śmierci przedostał się przez szczelinę między skrzydłem drzwi, a framugą. Zapach palonego plastiku i odór gnijącego ciała unosił się w powietrzu. Za jego plecami rozbrzmiewał zmutowany szept Leonida i Tatiany, głosy przybrały demoniczny charakter. Giennadij poczuł się niczym grzesznik zstępujący do piekieł na własne żądanie. Strach ponownie zawitał w jego ciele paraliżując kroki, które coraz wolniej stawiał. Czarna otchłań ogarnęła jego umysł, jednocześnie cucąc go od bezmyślnego działania. Naukowiec stanął w bezruchu wpatrując się w niemal namacalną ciemność. Nie myślał o niczym, mózg pracował na jałowym biegu utrzymując wyłącznie funkcje życiowe, wyobrażenia i wszelkie uczucia obumarły. Otępiały Giennadij zrezygnował, poddał się, przegrał

z nieznanymi siłami zła. Wystarczyła jednak chwila, by dane oblicze diametralnie się zmieniło. Z górnego piętra rozległ się rozdzierający pisk, w mgnieniu betonowa konstrukcja zatrzęsła się. Dudniące tupanie dobiegające z wyższych kondygnacji zmiękczyło nogi naukowca, ten upadł uderzając głową o spocznik. Pół przytomny Giennadij słyszał wyłącznie kroki wybiegających z komórki Leonida i Tatiany, snop światła docierający od ich strony chaotycznie smagał powierzchnie ścian demaskując nierzadko obraz krwawej sieczki. Potężny stukot znów dał o sobie znać, Giennadij zebrał siły i wstał.

Pogoń za dwójką towarzyszy zakończyła się już na pierwszym stopniu, naukowiec zamarł momentalnie, gdy poczuł na ramieniu chłód czyjejs dłoni. Nie miał odwagi, by się odwrócić, ciemność była przyjemniejsza od wizji cudzego oddechu odczuwanego na własnych licach. Kryjąca się w mroku postać zastygła, Giennadij pomyślał, że lada moment to coś wykonana ostateczny cios i pozbawi życia, jednak manewr nie nastąpił. Ciekawość działająca pod dyktandem mimowolności zmusiła

naukowca do obejrzenia się za siebie. To co zobaczył przerosło jego najśmielsze oczekiwania. Światło niemające źródła ukazało twarz istoty. Nienaturalna głowa z licznymi bliznami i siniami wyglądała okropnie, ale budziła również zastanawiający rodzaj współczucia. Anemiczny wyraz obcej gęby nieruchomo wpatrywał się w Giennadija. Po chwili zdeformowane usta poruszyły się i wydobyły z siebie pojedyncze słowa, które w głowie naukowca brzmiały jak echo.

C-I-Ę-Ż-A-R...

W-I-N-O-W-A-J-C-Y...

N-I-E Z-A-P-O-M-N-I-S-Z

Przeciągłe sylaby nieznanomego przeszły przestrzeń psychiczną Giennadija. Postać zniknęła pozostawiając po sobie wyłącznie iluzoryczny kontur tworzony przez oszalały umysł. Nieszcześnie uporządkował myśli odganiając z pamięci miniony koszmar i ruszył przed siebie potykając się o stopnie. Brak światła zmuszał go do obrania taktyki kurczowego trzymania się elementów ściennych, które po omacku upodabniały się do

zupełnie innych rzeczy.

– GIENNADIJ JESTEŚ TAM? – z góry dobiegł głos Leonida, brzmiał na tyle czysto, że naukowiec mógł ocenić pozorną odległość dzielącą go od dwójki ocalałych.

Tatiana trzęsąc się ze strachu ścisnęła w rękę dłoń kolegi. Naukowiec pomyślał, że dobrze znów widzieć urok światła i ludzkie sylwetki, a nie te z koszmarów.

– I co znalazłeś wyjście? – nie odwracając się, Leonid rzucił ironicznie na „powitanie”

– Wyośmy się stąd, nie wytrzymam tu chwili dłużej!

– Spójrzcie! Drzwi są otwarte, prowadzą do korytarzy ewakuacyjnych. Zupełnie o nich zapomniałem – oznajmił z entuzjazmem pracownik.

Trójka postaci ciągnęła za sobą mglistą łunę, coś między światłem, a ciemnością, coś między granicą nadziei i śmierci. Na ścienny znak informujący o wyjściu ratunkowym odbijał blask latarki, wąski hol ciągnął się ładne kilkadziesiąt metrów. Gdy zarys potężnych stalowych drzwi stawał się bardziej widocz-

ny, rozległ się potężny wybuch krusząc ścianę na końcu korytarza. Wszyscy momentalnie runęli na ziemię, wpadając na siebie jak stado ślepych zwierząt, które nagli w kąt opętany pasterz. Tumany pyłu wypełniły przestrzeń. Trójka towarzyszy w siwych kłębach próbowała dojść do siebie, jednak szokujący efekt zniszczenia uniemożliwił, im manewr. Gdy kurz opadł, w jasnym świetle rysowały się ludzkie formy. Kontury męźnych postaci niosących coś w ręku z każdą sekundą były coraz lepiej widoczne. Giennadij mający już dość wrażeń nie próbował nawet wstać. Rozpoznając człowieczy głos, który brzmiał jak błogosławieństwo, zamknął tylko oczy czekając na ratunek. Bojowe okrzyki postaci w maskach rozległy się po holu, nagle jedna z nich pochyliła się nad ciałem naukowca i rzuciła coś do swoich kompanów. Lecz Giennadij nie wiedział o czym mówi jego wybawca, wyczerpany do granic możliwości odpłynął.

– HALO! Obudź się! Hej ty...Brawo, dochodzi do siebie! – krzyknął w euforii sanitariusz widząc powracającego do rzeczywistości naukowca – Doskonale, jeszcze chwila.

Giennadij otworzył oczy, szybko odzyskał przytomność, jednak słabość uniemożliwiała mu wstanie o własnym siłach. W odpowiedzi na rzucane słowa przez medyka odparł mimochodem, z automatu.

- Co z Leonidem i Tatianą – jego wypowiedź brzmiała niczym spowiedź konającego na polu bitwy żołnierza.
- Nie było z tobą żadnego Leonida i Tatiany, znaleźliśmy tylko Ciebie, bardzo mi przykro – odrzekł z powagą i przykrością widząc w oczach naukowca narastający przypływ emocji.

Rozdział X

Postój:

Masywna ciężarówka sunęła polną drogą pod baczynym okiem eskorty dwóch terenowych UAZów, wyposażonych w dwa karabiny stacjonarne umieszczone na dachu. Gwałtowny wiatr i rzęsy deszcz utrudniał przemieszczanie się, jednak czas na-

glił narwanych kierowców liczących każdą mijającą sekundę, z tego też powodu niespecjalnie zdejmowali nogę z gazu. W wojskowej karetce huk silnika i stukot blachy pojazdu nie pozwalał zebrać myśli przygnębiemu Giennadijowi. Lekarz w tym czasie ponaglał kierowcę i nawigatora, dzieląc się przy okazji własnymi spostrzeżeniami na temat trasy i warunków. Naukowca nie poruszał fakt, że jego życie zostało ocalone, wspominał dwójkę towarzyszy, którzy z niewyjaśnionych przyczyn nie znaleźli miejsca koło niego. Targany emocjami sięgnął do kieszeni zapominając, że jest pusta. Osobista pamiątka leżała kilkadziesiąt metrów pod ziemią, zatopiona w pyłe i ciemnościach.

- Jak się czujesz, szczęściarzu? – zapytał medyk siadając obok ocalałego.
- Sam nie wiem, chyba nic nie czuję. Totalny mętlik w głowie. Dokąd zmierzamy?
- Opuszczamy strefę. Po incydencie nakazano wstrzymać wszelkie prace w obrębie Czarnobyla. Eskortowano wszystkie jednostki. Stacje badawcze wieją pustką. W ciągu

kilku godzin naukowcy opuścili swoje siedziby i prawdopodobnie znajdują się po za granicami Zony, anomalne zmiany pogody zmusiły organy władzy do wydania decyzji na temat ewakuacji – wyjaśnił sanitariusz.

- Wiadomo co się dokładnie stało, tam na dole?
- Sądziłem, że to pan, będący ocalałym świadkiem wyjaśni kulisy katastrofy.
- Powołując się na moich relacjach, niczego konkretnego się nie dowiecie, zbyt mało pamiętam.
- Nie moja w tym głowa. Mamy za zadanie pomyślnie pana przetransportować, to wszystko.

Mężczyzna w fartuchu odwrócił się i ponowił rozmowę z kierowcą.

Wąskie okno tylnych drzwi pojazdu pokryte zostało strużkami wody, cieniutkie skroplone wężyki tworzyły określony ciąg za sprawą silnego wiatru. Do kabiny dostała się dodatkowa dawka światła, swój koncert zainicjowała burza, za kilka sekund dał się usłyszeć potężny grzmot. Beznadziejna pogoda zwiastowa-

ła najgorsze, nie długo musiał czekać Giennadij, by usłyszeć przykre wieści od lekarza.

- Wystąpił mały problem, droga przed nami się urywa. Nawigator musiał popełnić błąd, choć sam zapewnia, że wszystkie współrzędne na mapie są poprawne. Łączność z centralą nie działa, jesteśmy zmuszeni zawrócić lub czekać na postęp pogody. Nic nam nie grozi, więc, proszę zachować spokój.

Ostatnie zdanie zabrzmiało dość śmiesznie, żałosny pogłos wymawianych słów Giennadij puścił jedna koło ucha, spoglądając jednak nieco z kwaśną miną na nadawcę. Chwile grozy przeżyte w podziemnym kompleksie badawczym sprawiły, że дума poszkodowanego została urażona, gdy tylko usłyszał o „zachowaniu spokoju”.

Naukowiec wpatrywał się w szybę, najwyraźniej zaciekawiony znaczną częstotliwością błyskawic ukazujących się gdzieś w oddali. Jednak natychmiastowy przeblysł doprowadził go do zdania sobie z sprawy, że owe zjawisko nie pochodzi z niebios.

Giennadij ruszył do okienka i wlepił wzrok w horyzont szarego krajobrazu. W oddali na powierzchni rysowały się elektryczne wyładowania, które przemieszczały się w niewyjaśniony sposób. Widok gruntowej burzy zasłoniła nagle tajemnicza twarz, wspomnienie z piekieł ożyło, jednak owa postać za szybą okazała się wojskowym z eskortującego UAZ'a. Serce naukowca przez chwilę stanęło w gardle, a ciśnienie w mózgu osiągnęło poziom nad wyraz duży. Jednak powoli jego stan wracał do normy.

- Co dalej, będziemy tak stali czy ruszamy? Łączność szlak trafił, a ja mam dość tej pie*dolonej wycieczki – bezpardonowo i zbędnych ceregieli rzucił zdenerwowany żołnierz.

Wojskowy spojrzał ukradkiem na naukowca, ale nie raczył nawiązać z nim rozmowy. Giennadij pomyślał przez chwilę osobie jako winowajcy, przez, którego eskorta ma dodatkową robotę.

- Nie ja tu wydaję rozkazy, jestem lekarzem z zawodu, widzisz gdzieś pagony na moim fartuchu?

- kipiął z poirytowania medyk dając do zrozumienia, że nie ma ochoty słuchać żalów mundurowego.
- Powinniśmy ruszać. Pogoda jest beznadziejna, ale nie zmieni się w pół godziny – wskazał palcem ku górze wojskowy i odszedł od adresatów swojej mowy.
- Dziadyga – oznajmił pod nosem medyk, uśmiechając się do Giennadija.
- Niech pan spojrzysz przez szybę i wypatruje w oddali dziwnego zjawiska elektrycznego – odparł naukowiec zachęcająco gibając głową w stronę drzwi.
- Że jak? – lekarz wstał i ruszył w stronę szklanej tafli – jakie zaś dziwne zjawisko?

Giennadij czekał, aż medyk odklei wzrok i ze zdumieniem spojrzysz na niego, jednak po paru sekundach usłyszał tylko zrezygnowane „Nic nie widzę”.

- Musi tam być, niech się doktor dokładnie przyjrzy...Faktycznie, nic nie ma. Dam wiarę, że widziałem wyładowania na powierzchni – powiedział naukowiec czując

wstydliwą gorycz.

- Przewidzenie – medyk zrobił przerwę ziewając przeciągle – w wyniku szoku, czy też działach psychogennych obraz jaki pan widzi może być wypaczony, nawet z mojego punktu widzenia takie przypadki ciężko wyjaśnić w racjonalny sposób, zdarza się i tyle. Mózg lubi płać figle – zakończył poprawiając fartuch
- To czemu tutaj wszystko jest na miejscu i widzę pana tak jak widzę teraz, a jak siedzę tak siedzę? – Giennadij uniósł się, złoszcząc się na doktora i jego tezę.
- Był pan kiedyś dzieckiem? – zadał absurdalne pytanie medyk i nie przerywając sobie i nie dając dość do głosu słuchaczowi, kontynuował – Z pewnością. Prosty przykład, za młodu każdy z nas się czegoś bał, mrocznych historii usłyszanych od starszych czy horrorów, które oglądaliśmy bez wiedzy rodziców. Odbieraliśmy to wszystko w inny sposób, mieszałyśmy fikcję z rzeczywistością. Wracając do pokoju przy zgaszonym świetle nasze wyobrażenia

próbowały przyrównać otoczenie do tych z opowiadań czy filmów. Nasz mózg działał według pewnego wzorca, który z wiekiem zanikał. Dorośli nie boją się potworów, które żyją wyłącznie w bajkach. Pański przypadek funkcjonuje na podobnych zasadach, ludzkie oko czasami widzi coś czego nie ma, jest to efekt chwilowych zmian w mózgu, które mają psychiczne podłoże...ku*wa mać, chyba jednak jest pan zdrowy.

Medyk żwawo ruszył do okna i zaczął oglądać widowiskowe przedstawienie elektrycznych rozbłysków, które znikwały na chwilę, by znów ożyć.

- Chyba sam sobie wypiszę coś na wzrok, bo oczom nie wierzę. Cóż za piękne zjawisko. Co pan o tym myśli – zakomunikował podekscytowany nie odrywając głowy od szyby.
- Myślę, że to wypaczony obraz pańskiej percepcji – dodał żartobliwie Giennadij, zachowując równocześnie pozorną powagę.

Lekarz odwrócił głowę, wyszczerzył zęby i zaświecił oczami.

- Widziałem już coś takiego... Ale w filmach. Co jest źródłem tego efektu, przecież wokół same drzewa i zarośla.
- Kolejna zagadka do rozwiązania, jednak nie sądzę byśmy ją rozwikłali. Warto o tym poinformować władze.

W tym momencie zawarczał silnik transportera. Kierowca i nawigator doszli do porozumienia z wojskowymi. Czterokołowa kolubryna chwiejnie ruszyła zostawiając w ziemi błotniste ślady. Fenomen w postaci elektrycznych wyładowań stał się tematem rozmów dla Giennadija i medyka. Wspólna debata o naturze zjawiska tak mocno ich pochłonęła, że sam naukowiec przestał myśleć o dwójce towarzyszy, których „zostawił” gdzieś pod ziemską skorupą.



Dziab_Dziab

Fracja: Najemnicy

Ulubiona broń: SPSA14

Biała zona

krótki opis opowiadania, mapa i tak dalej...

Rozdział I

Szedłem. Szedłem wycieńczony już kilkadziesiąt minut. Jeszcze trochę i dojdę w końcu na Wysypisko. Była dopiero połowa grudnia, a już cała Zona przykryta została warstwą śniegu grubą na jakieś czterdzieści centymetrów. Zima tutaj stanowiła bardzo ciekawe zjawisko. Wszyscy żyjący tutaj stalkerzy – od kota po weterana ograniczali swój zapał do walki. Jeśli nie było potrzeby to nikt nie walczył, coraz mniej było słychać odgłosy wystrzałów. Niektórzy na okres zimowy wracali do swych domów i wyjeżdżali z Zony, jednak duża część tu żyjących ludzi uważała ten skrawek skażonej ziemi za swój dom. Wielu ludzi lubiło tę mroźną porę roku w strefie, ponieważ mutanty nie zachowywały się tak agresywnie jak dotychczas, były znacznie łatwiejsze do zabicia. Zima ograniczała także owe zabójcze niegdyś anomalie. Wiele z nich nie stanowiła już takiego niebezpieczeństwa, co na przykład latem. A działało się to najpewniej przez mróz, który w jakiś sposób je rozbraja z tych co bardziej niebezpiecznych

możliwości.

Dzisiejszy dzień należał do dni łagodnych podczas ukraińskiej zimy, podczas której mrozy sięgały nawet minus czterdziestu stopni Celsjusza. Temperatura aktualnie wynosiła jedynie pięć stopni na minusie, nie było także zbyt wielkiego wiatru. W pewien sposób gruba warstwa śniegu, pokrywająca wszystko łącznie z powykęcanyymi gałęziami rachitycznych drzew sprawiała, że zimno nie było zbyt mocno odczuwalne.

Wracałem do Baru 100 Radów z małej, nieudanej wyprawy. Razem z dwoma przyjaciółmi: Lorekinem i Bolem, byłem w Dolinie Mroku i próbowałem wraz z towarzyszami przejąć posterunek bandytów. Stacjonowali w budowlach, w których jak podejrzewano mieści się tajne, radzieckie laboratorium. Zamierzaliśmy zaatakować ich z zaskoczenia, jednak coś nam to nie wyszło. Strażnik zobaczył nas, kiedy się skradaliśmy, zanim jeszcze podeszliśmy do bramy – od razu zaczął bić na alarm. Wycofaliśmy się przestraszeni za zdezelowany autobus, który stał już jakieś dwadzieścia pięć lat nieopodal na wpół opuszczonego

zakładu. Sądziliśmy, że bandziorów będzie góra sześciu, a było ich jakieś trzy, albo nawet cztery razy więcej. Rozpoczęła się nierówna wymiana ognia. Spychali nas coraz bardziej w stronę zamrzniętych bagien i na szczęście nikt nas nie dostał pestką, również my nikogo nie trafiliśmy. Opuściliśmy, więc sobie strzelanie, już i tak sporo pocisków wystrzeliliśmy w kierunku wroga. Rzuciliśmy się w stronę odległego Wysypiska, a nasi prześladowcy nie przerywali ognia, lecz nie usiłowali nas gonić. Dopadliśmy po chwili porzuconej koparki i po krótkiej wymianie zdań postanowiliśmy się rozdzielić. Lorekin miał pewną sprawę u Sidorowicza, a Bolo postanowił jemu towarzyszyć. Ja za to udałem się z powrotem do Baru.

Trzymałem luźno w dłoni mój wysłużony, brytyjski karabin – IL-86. Nie zostało mi niestety do niego sporo amunicji, a miałem jej wcześniej... dużo, naprawdę dużo. Na sobie miałem standardowy, stalkerski kombinezon Świt. Różnił się on jednak od wielu innych – miał wszyty w środku materiał termo aktywny, dzięki czemu nie odczuwałem za bardzo chłodu. Było zrobione

to tak praktycznie, że kiedy nadejdzie cieplejsza pora roku mogę zdjąć tę warstwę ubioru. Także kaptur został nieznacznie zmodyfikowany, nie musiałem zakładać i zdejmować maski przeciw gazowej, bo wystarczyło, że wysunę ją z kaptura okrywającego głowę. W tej chwili akurat maska była schowana, bo nic mi nie groziło.

W Zonie jestem już jakiś czas, około półtora roku. To czemu tutaj się zjawiłem to bardzo skomplikowana sprawa. Pocho-dzę z Polski, z Wrocławia, a mój ojciec urodził się we Lwowie i uczył mnie języka ukraińskiego, więc potrafię porozumie-wać się w trzech językach: polskim, angielskim i ukraińskim. Na studiach poznałem Adę, zakochaliśmy się w sobie, a zaraz po ukończeniu nauki wzięliśmy ślub. Rok później urodziła się nasza córeczka- Julka. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że Julia urodziła się z nowotworem mózgu – była niepełnospraw-na.

Zgłaszałem się wraz z żoną do różnych fundacji z prośbą dofinansowania operacji, dzięki której Julka będzie mogła żyć bez

choroby. W ciągu tych trzech lat czepiałem się wszystkiego co mogłoby mojej rodzinie zapewnić pieniądze, aż w końcu postanowiłem dla zarobku wyjechać tutaj, do Zony. To jednak tylko pogorszyło sytuację. Ada porzuciła mnie i musiałem wrócić do Polski, aby wziąć rozwód. Sąd odebrał mi prawo opieki nad córeczką i nie mogłem nawet się z nią spotykać. Więc zdłotowany postanowiłem wrócić do Zony, wzbogacić się albo stracić wszystko.

Minąłem nareszcie pagórki dzielące Wysypisko od Doliny Mroku. Na posterunku broniącym przejście nikt nie stał, najwidoczniej Wolnościowcy mają ważniejsze sprawy od tego. Szedłem w stronę masywu zrujnowanej budowli, w której mieści się Pchli Targ. Stalkerzy handlowali tam zdobytym przez siebie różnorodnym towarem, poczynawszy od kiełbasy, a skończywszy na pociskach do wyrzutni rakiet. Oczywiście poza miejscem handlu, było to także miejsce spotkań. To bardzo ważny punkt strategiczny na Samotników i nie tylko, często atakowany przez łaćtwo odpieranych bandytów. Bandyta to nie człowiek, bandyta to

wrżód na dupie narodu. Stwierdził kiedyś tak Dywan, mój dawny kumpel rozerwany niedawno przez przeciw pancerną minę.

Przechodziłem przez niezbyt gęsty, pełen niskich drzewek zagajnik. Wiedziałem, że są tam anomalie i znałem to miejsce na tyle dobrze, iż potrafiłem je ominąć. Nie orientowałem się zbyt co to za anomalia, obchodziło mnie bardziej to, bym w żadną z nich nie wszedł. Podczas zimy poza tym, że anomalie nie były takie niebezpieczne to także artefakty rzadko powstawały, więc szansa na ich znalezienie była mizerna. Rzucałem co chwilę przed siebie śrubki, akurat w te miejsce, w które miałem zamiar pójść. Moja intuicja zawiodła mnie tylko raz, czyli tylko jedna śrubka wpadła w jedną z tych dziwnych anomalii. Przed sobą miałem zamrożniętą bajoro i Pchli Targ, całe szczęście, że nie było nigdzie widać bandytów. Pospiesznie ruszyłem w stronę masywu budowli. Moje nogi, aż do kolan zagłębiały się w grubej warstwie śniegu. Zwolniłem jednak po chwili tempa, ponieważ byłem strasznie zmęczony, a plecak w którym miałem jedynie termos, trochę amunicji i chleb ciążył mi na ple-

cach, jakbym niósł w nim kamienie. Jeszcze chwila i będę na miejscu, może nie spotka mnie pech i zobaczę się z Bergiem. Doszedłem jakoś do celu i powoli wdrapałem się po schodach. Rzuciłem plecak i karabin pod ścianę, a sam padłem zmęczony na jakiś stary materac. Wiedziałem, że zaraz ktoś mnie zauważy i radośnie się ze mną przywita. No i zgadłem.

- Dobrze ciebie widzieć, Igi! – poznałem po głosie Makarona.- Gdzie jest Lorekin? Wisi mi czterysta dwadzieścia rubli za amunicję.
- Też dobrze mi ciebie widzieć, po nieudanym wypadzie Lorek poleciał z Bolkiem do Sidorowicza.
- Nieudany? Co się stało? A po co poleciał do naszego drogiego zgreba, Sidorowicza? – jak zawsze pytania i pytania.
- Później powiem co się stało, daj mi odpocząć. Nie mój zaszary interes po co miał się spotkać z Handlarzem. – to był sygnał dla Makarona, żeby się odczepił, teraz go jeszcze tylko spytałem na odchodne: – Widziałeś gdzieś Cięgło?

– No, jest na górze u naszego „doświadczonego technika”. Uznałem, że skoro jest na wyższym poziomie u technika to zaraz zejdziesz tu na dół, do mnie. A co do tego technika... raczej można go nazwać kimś kto czyści i najwyżej trochę podreperuje broń. Teraz to on tylko jest na jakiś czas, oby jak najkrótszy. Wielu stalkerów teraz musi biegać, aż do Baru, albo do Wolności, jednak Bar jest bardziej lubiany od Hangaru. To zapewne za sprawą lepszego położenia, stamtąd niedaleko do Dzikiej, Magazynów Wojskowych i także kilku innych istotnych miejsc. W tym momencie jeden z odpoczywających bywalców Pchlego Targu podniósł swą starą, akustyczną gitarę i zaczął grać smętnie jakąś melodię, a w tym samym momencie pojawił się Cięgło, więc wstałem i się z nim przywitałem:

- Dobry.
- Dobry, dobry. Ten technik, idiota zarysował moje SGI! Rozumiesz?! A jak próbowałem jemu poprawić trochę jego łuk brwiowy to wachman mnie tutaj wywalił. – Cięgło powiedział oburzony. Zawsze miał bzika na punkcie broni

palnej, a jakiego karabin szturmowy był jego oczkiem w głowie.

- Nie przesadzaj, broń już ogarnąłeś to się zajmij pancerzami haha. Mam dla ciebie pewną propozycję – możesz się ze mną wybrać do Baru, a później do Jantaru?
- Jasne, muszę pójść do technika z Powinności, a co do Jantaru to zombiaczków chciało się pozabijać, co?
- Taa, tak dla zabawy. Przy okazji możemy przecież wziąć to co mają te upiory przy sobie. Czasem trafiają się prawdziwie dobre fanty. – uzasadniłem swój wybór.
- No dobrze, przyda mi się trochę gotówki. Idziemy? – zapytał Cięgło.

Skinąłem głową, narzuciłem swój plecak na plecy, wziąłem karabin w dwie ręce i powoli skierowałem się razem z kumplem w stronę Baru. Poza karabinem na amunicję NATO 5.56x45 miałem schowanego w kaburze PBS'a. Miał już swoje lata, lecz mimo tego, iż był używany przez wielu ludzi nie zawodził, ani trochę. Wszystko działało sprawnie. Ktoś kiedyś powiedział:” Z

radzieckimi rzeczami jest tak, że albo od razu się zniszczą, albo będą niezniszczalne”. Ten kto wypowiedział te słowa miał rację. Na samym początku pobytu w Zonie używałem automatu Kalasznikova z lat siedemdziesiątych i praktycznie co dziennie musiałem wymieniać jakąś część.

I w tym momencie, gdy już byłem wraz z Cięgłem niedaleko posterunku Powinności rozległy się głośno strzały.

Rozdział II

Odwróciłem się i ujrzałem trzy postacie w kominiarkach. Bandy ci znów podjęli próbę zniszczenia Pchlego targu, tylko że atakując tak „licznym” oddziałem dostaną jedynie tęgie lanie. Jeden z nich był ubrany w dosyć sponiewierany kombinezon Wolności, pewnie chuj zdjął go z trupa. Żaden z przeciwników nie wyglądał na groźnego i nikt nie był zbyt dobrze uzbrojony, więc broniący się stalkerzy z łatwością ich pokonają.

- Słuchaj Cięgło, poczekajmy tu chwilę i kiedy się uspokoi to

podejdziemy i zarekwirujemy co nieco. – powiedziałem, na co mój towarzysz w zamyśleniu kiwnął głową.

Obydwaj oglądaliśmy nierówne starcie.

Bandzior w kombinezonie Wolności, najwidoczniej dowodzący podszedł najbliżej i schował się za transformatorem i darł się na dwóch swoich kompanów, aby do niego dołączyli. Coś im nie wyszło. Jeden z samotników skutecznie ostrzelał z Vintara przeciwnika i dwóch beznadziejnych pomagierów „Wolnościowca” kopnęło w kalendarz. Jeden z nich dostał kulkę w szyję, a drugi w klatkę piersiową. Na śnieg trysnęła fontanna, ciemnej, gorącej krwi. Z gardła ostatniego bandziora wydobył się zduszony krzyk i zostawiając swój stary, radziecki karabin szturmowy rzucił się do ucieczki.

Wyczułem okazję i zaraz po wycelowaniu wystrzeliłem w stronę uciekiniera. Karabin zaciął się, a tylko jeden z wystrzelonych kilkunastu pocisków trafiając cel w udo, bandyta krzyknął i runął w zaspę przy drodze.

Ruszyłem truchtem w stronę miejsca krótkiej wymiany ognia,

Cięgło ruszył za mną. Nie tylko my poszliśmy, aby przeszucać trupy. Z Pchlego Targu po zasypanej drodze biegł zabójca dwóch bandytów i jeszcze jakiś samotnik. Szczerze mówiąc miałem ich w dupie, biegłem tam tylko po to, by zająć się „Wolnościowcem”. Przeładowałem pośpiesznie swój karabin i zwolniłem tempa, przeciwnik pewnie ma pistolet i nie zamierza umrzeć bez honorowej, ostatniej walki. Ale moje przypuszczenia nie były trafne. Krwawiący bandyta czołgał się zostawiając po sobie ślad, starał się uciec. Z łatwością dopadłem go i celnym strzałem w głowę dobiłem. Kolejny zabity przeze mnie człowiek, pewnie nie ostatni. Jakbym służył jeszcze w Wolności z chęcią bym go przesłuchał. – rozmyślałem sobie, kiedy dobiegł mnie gniewny, lecz opanowany głos:

– Zostaw ten pistolet kocie, on jest mój. – odwróciłem się i zobaczyłem stalkera z Vintarem celującego do mężczyzny z Pchlego Targu. Ten wystraszył się i porzucił łatwy łup. Spróbował szczęścia ponownie i udał się w moją stronę. A niech sobie bierze co chce, tylko wezmę naszywkę. Kucnąłem przy ciepłych

zwłokach i zerwałem z ramienia naszywkę Wolności, sprzeda się w Barze.

Wejście do bazy Powinności i Baru nie zaskakiwało. Niezależnie od pory roku zawsze na asfaltowej drodze i na jej poboczu leżały truchła zmutowanych psów lub wilków. Dziwnym trafem mutanty nigdy nie miały ogonów. Zapewne ich krew nigdy nie zniknęła i cały czas pokrywała się nową warstwą, nikt nie miał ochoty tego sprzątać, jedynie co jakiś czas martwe mutanty zrzucano do głębokiego dołu wykopanego niedaleko drogi. Kolejnym nieodłącznym elementem tego widoku byli, są i będą Powinnościowcy strzegący bazy za blaszanymi tarczami, a tuż przed nimi rozpościerały się prowizoryczne zasieki ograniczające bojowe możliwości mutantów. Gdy potwory napotykały zaostrzone końcówki kijów, stalkerzy w prezencie wysyłał przeciwnikom naboje, za darmo.

Szedłem z Cięgłem prosto do Baru. Przy wejściu przywitały mnie zaciekle, gniewne spojrzenia strażników. Wiedzieli, że przyczyniłem się do śmierci kilku ich towarzyszy, lecz nie za-

mierzali z jakiegoś powodu nic mi zrobić. Nienawidziłem przechodzić przez „bramę” i przez hangar kierujący wędrowców do Baru i na Arenę. Czułem na sobie nienawistne spojrzenia moich dawnych wrogów. Mogliby mnie zabić, lecz Łukasz, ich zasrany dowódca nie pozwalał strzelać do spokojnych samotników. Mało kto wznieca tutaj bójki czy strzelaniny, a jak do tego dojdzie to Powinność szybko wyciąga konsekwencje.

- Nullus, ja idę na Arenę, żeby pogadać, pooglądać co się dzieje. – poinformował mnie Cięgło.
- Dobra, zobaczymy się później. Tylko uważaj, żeby zamiast na widownię nie trafić na arenę, hahaha.

Na Arenę przychodzili stalkerzy w wielu celach. Jedni zakładali się o to kto wygra w walce w specjalnie przystosowanym do tego budynku, inni nie ryzykowali rubli i tylko oglądali walczących, a jeszcze inni przybywali tu by zaryzykować własne życie w walce. Istniały trzy możliwości walk. Pierwsza to kiedy stalkerzy walczyli ubierając własny kombinezon i używając własnej broni, dostawali wtedy jednak mniej pieniędzy. Kolejną możli-

wością jest walczyć z tym co się otrzyma od zarządców Areny. Nie zawsze przeciwnicy są uzbrojeni tak samo, lecz to zależy od stopnia zaawansowania walczących. Ostatnią natomiast możliwością jest taka walka jak opisana powyżej, jednak kiedy trwają zawody. Odbywają się one co kwartał i są naprawdę ciężkie do wygrania. Wielu stalkerów ginie w początkowych rundach przegrywając z silniejszymi przeciwnikami.

Ostatnio mistrzem areny został Tancerz. Bardzo dziwny stalker. Małomówny, spokojny, opanowany, mający zaledwie 170cm wzrostu i ważący prawie 70kg wbrew pozorom jest śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem. Najdziwniejszą rzeczą w jego wyglądzie były ciemno zielone włosy i kredowo biała cera, a poza zielonymi włosami miał także zielone oczy. Rzadko opuszcza teren chronionej bazy i wiele czasu spędza na arenie. Zawsze nosi czarno-czerwony kombinezon Powinności, lecz nie należy do żadnej frakcji. Kombinezon jest pozbawiony wielu elementów, więc zapewnia mniejszą ochronę, a zarazem jest lżejszy i wygodniejszy. A co do używanej przez niego broni...

Tancerz na arenie używał wyłącznie noża, bądź dwóch. Broń wybierali zawsze zarządcy, lecz jeśli walczący prosił o „najsłabszą” broń – nóż – to zostawał on jemu wręczany. Tancerz jednak wyjątkowo dobrze potrafił posługiwać się tym orężem. Przemieszczając się niemożliwie wręcz szybko i zręcznie potrafił stawić czoła uzbrojonemu po zęby stalkerowi. Walka wręcz w jego wykonaniu była bardzo szybka i dynamiczna, przypominała taniec, bardzo szybki taniec. Był tak szybki i zręczny, że jeszcze nigdy nie został poważnie ranny. Tym, że pokonał wielu na arenie narobił sobie sporo wrogów, którzy chcieli jego śmierci, ponieważ zabił wielu czyichś przyjaciół, kolegów czy też ojców. Zdawał sobie z tego doskonale sprawę, więc nie opuszczał bezpiecznej bazy stalkerów.

Schodziłem już betonowymi schodami do Baru. Tutaj wszyscy, no prawie wszyscy nie mogą do siebie strzelać. Pierwsze co można poczuć wchodząc do tego miejsca to mocny zapach pieczonego dzika, wysoka temperatura zabijała szkodliwe bakterie i wirusy, dzięki czemu mięso nadawało się do zjedzenia.

Panowała tutaj magiczna, wyjątkowa atmosfera. Stalkerzy prowadzili ożywione dyskusje, przechwalali się, śmiali, stawali się pracownikami i zleceniodawcami. Ja jednak dawno już skończyłem z przyjmowaniem zadań od stalkerów i bezcelowymi rozmowami. Przychodziłem tutaj w celu pohandlowania bądź porozmawiania z dobrymi znajomymi. Zobaczyłem tylko Kruka, czy też Wronę, nie wiedziałem jak go tutaj nazywają. Ja znałem go wcześniej, w dzieciństwie. Od jakiegoś czasu jest handlarzem informacji w Zonie, ja jednak miałem wiele dosyć ogólnych wiadomości za darmo.

- Jak mija dzień, Andriej?
- Dobrze, panie Nullusie, bardzo dobrze. – w Zonie mówili na mnie Nullus, jednak tylko na Pchlim Targu jego bywalcy zwracali się do mnie Igi.
- Zrobiłeś jakiś biznes, że taki ten dzień dobry? – zapytałem.
- Tak, jakiś idiota pytał o plany Agropromu. Akurat miałem jedno, więc opchnąłem je jemu za marne siedem tysięcy dwieście rubli. A wiszą na drzwiach od Baru, ślepy jakiś.

Hahahaha.- Kruk (czy tam Wrona) uwielbiał się nie do końca uczciwie wzbogacać. Wkręcił już wielu naiwniaków zarabiając przy tym sporo kasy.

- Wiesz, że tego nie popieram. Planuję małą wyprawę do Jantaru. Coś ma się tam dziać ciekawego?
- A więc to ciebie dzisiaj ciekawi? Powinnościowcy coś tam mówili o przejęciu fabryki w Jantarze. Ale to raczej celowo, by zmylić przeciwników i wprowadzić ich w błąd. Przecież to wręcz nie możliwe do cholery, żeby zrobić coś takiego! Fale psioniczne zamieniłyby ich w bezmyślne zombii, a nawet jeśli by wyłączyli te fale to wybicie zombii i snorków byłoby wręcz niewykonalne. Musieliby odesłać do tego setki swoich żołnierzy, których nie mają haha. Ahh... nie mam ochoty rozgadywać się o tym co musieliby niewykonalnego zrobić haha. Jeśli to wszystko to możesz już iść, panie Nullus. – powiedział Kruk (czy tam Wrona czy jak tam jemu było...) po czym wstałem pożegnałem się z nim skinieniem głowy i po woli skierowałem się do wyjścia.

Musiałem jeszcze tylko pójść do Szczura opylić naszywkę Wolności i udać się do technika Powinności i mogę już szukać Ciągła, a następnie udać się do Jantaru. Na początku poszedłem do jednego z mniejszych hangarów i poszedłem do handlarza drobiazgami – Szczura. Niski, koło trzydziestki, wyglądem przypominający szczura mężczyzna wykupił od Powinności najmniejszy hangar, albo raczej budynek i zrobił w nim coś w rodzaju sklepiu. Skupował i sprzedawał naszywki, kombinezony różnych frakcji oraz informacje, jednak nie był jakoś szczególnie lubianym człowiekiem w Zonie. Irytował swoimi wrednymi odzywkami i złośliwym zachowaniem, toteż starałem się do niego nie przychodzić zbyt często.

- O przyszedł pan, panie Nullus. Nazbierało się troszkę naszywek i chce się je sprzedać, żeby mieć tyle pieniędzy co ja? – powiedział na mój widok.
- Milcz, bo jeszcze coś ci się stanie gnoju. – nienawidziłem gościa i to jeszcze jak. Na sam jego widok miałem ochotę chwycić go za jego chudą szyję i cisnąć nim w ścianę z całej

ściany, tak żeby się już nie podniósł. Niestety nie mogę tego zrobić, bo chuj zatrudnił dwóch najemników. Jeden z nich miał egzozskielet i trzymał w dłoniach gietę, czyli GP37, a drugi natomiast miał jedynie lżejszy pancerz – kombinezon Bułat.

- Spokojnie panie Nullus, pieniądze się przydadzą, a w tej chwili to pan na pewno takowych potrzebuje. Khy, khy potrzebował... na córeczkę.
- Odwal się, bo coś tobie zrobię! Nie twoje sprawy.- powiedziałem gniewnie.

Coś złowrogiego błysnęło w moich oczach. Nienawidziłem kiedy ktoś pcha się w moje prywatne, a ten tutaj przesadzał. Musiałem się opanować i przejść do rzeczy. Rzuciłem na ladę kilka naszywek i powiedziałem:

- Masz i się zamknij. Pięć naszywek renegatów, dwie bandytów i jedna z Wolności.
- Dwadzieścia rubli za jedną renegatów, dwadzieścia pięć za jedną bandytów i pięćdziesiąt za tą z Wolności.

- Łżesz! Przecież naszywki Wolności chodziły za osiemdziesiąt rubli! Dawaj tyle ile powinno być.
- Panie Nullus, niech się pan uspokoi. Na „rynku” są nowe ceny, trzeba się do nich przystosować panie Nullus. To co dostałeś już tobie daję. – po tym położył na ladę dwieście rubli.
- Tym razem tobie odpuszczę, sukinsynu. – wziąłem pieniądze i wściekły wyszedłem z budynku.

Skierowałem się powoli do technika, żeby zrobić coś z zacinającym się mechanizmem karabinu, gdy minąłem jakiegoś stal-kera, który ożywiony rozmawiał ze swoim kumplem

- ... a widziałeś jak Róg tak sprawnie uniknął jego strzałów i trafił go ze swojej dwururki? Wygrał raniąc tego... jak jemu było? A no tak! Ciężko! Ale krwawił...

Przeraziłem się i aż nie mogłem uwierzyć, że Ciężko poszedł na Arenę walczyć. Co za idiota... Nie pójdzie ze mną do Jantaru i zapewne do końca zimy nie opuści bazy. Cholera, jego problem. Udam się do niego za jakiś czas, teraz jestem zajęty –

rozmyślałem sobie.

Teraz podążałem niespiesznie przez zasypaną śniegiem bazę do warsztatu Sosny. Już od jakichś dobrych dwóch godzin panował mrok, w zimowy czas w Zonie ciemność zapadała szybciej niż gdzie indziej. Szedłem na wpół odśnieżoną uliczką, którą otaczały odrapane, zaniedbane budynki, a na poboczu leżały różnorakie pudła, skrzynie i inne nie potrzebne już nikomu śmieci. Po chwili marszu doszedłem do zniszczonych drzwi, z których łuszcząca się brązowa farba odpadała płatami.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do długiego korytarza, a brudne, okratowane okna sprawiały niemiłe wrażenie zaniedbania. Brudne były nie tylko szyby ale i ściany, a także pokryta kurzem podłoga.

Na końcu korytarza były ciężkie metalowe drzwi, które otworzyłem pchnięciem dłoni. Sosna poza zajmowaniem się naprawą i modyfikacją broni sprzedawał do niej amunicję, granaty, a nawet czasami miał na składzie jakąś broń snajperską. Miejsce pracy opuszczał w soboty i wyruszał w teren polować na mutanty

oraz bandytów. Miał około dwadzieścia pięć lat, lecz groźnie wyglądająca blizna i gęsta broda postarzała go o kilka lat.

- Chcę kupić amunicję NATO i dobrze, by było jakbyś trochę podreperował mój karabin. – krótko i zwięźle od drzwi powiedziałem po co przyszedłem.
- Hmm... mało mam teraz amunicji, dwa magazynki wystarczą? – skinąłem niechętnie głową, pieniądze mi się kończyły i nie miałem ich zbyt wiele, lecz wolałbym mieć sporo naboju. – A co do twojego karabinu to sprawdzę co się z nim stało dopiero jutro, bo dzisiaj muszę jeszcze zmodyfikować TRs'a.

Kiwnąłem głową, położyłem na stoliku należne dwieście trzydzieści rubli, wziąłem zakupioną amunicję i wyszedłem bez słowa z budynku. Wzięła mnie ochota na jakieś małe piwko, już dawno nie piłem niczego związanego z alkoholem. Udałem się powolutku do Baru i byłem w nim już po dwóch minutach krótkiej drogi. Wieczorem odpoczywało tutaj najwięcej bywalców. Niektórzy postanowili utopić swoje smutku w kuflu piwa, bądź

też w kieliszku wódki, albo raczej w kilku kuflach czy kieliszkach. Wielu stalkerów grało w karty i nie zwracali uwagi na ściany pozbawione tynku, zniszczoną podłogę czy odrapane ściany. To nie było dla nich ważne, mało to ich obchodziło, bo w końcu przyszli tutaj odetchnąć, a nie podziwiać zniszczony lokal.

Podszedłem do tłustego Barmana i poprosiłem o małe piwo, które dostałem chwilę później. Postanowiłem podejść do grupki grających w karty mężczyzn i podejrzeć jak grają. Nigdy mnie to nie kręciło to też po chwili odszedłem od nich z pustym kuflem, odstawiłem go na ladę i znużony wyszedłem znowu na powierzchnię. Musiałem znaleźć miejsce do odpoczynku, więc wszedłem do jednego z hangarów zajętych przez samotników i usiadłem przy ognisku. Akurat jeden ze stalkerów opowiadał jakąś na wpół wymyśloną historyjkę:

- ... i jak mówiłem skradałem się do nich powoli, powoli, a ci durnie niczego się nie spodziewali! Już miałem zaatakować ich pod osłoną ciemności kiedy nagle rzuciła się na nich pijawa! Takiej to ja jeszcze nie widziałem, miała prawie trzy

metry, a jak groźnie wyglądała! Gdy już zręcznie uśmierciła dwóch najemników to wiedziałem, że wyczuła moją obecność, więc wystrzeliłem do niej z granatnika, ale się rozjechała na setki kawałków! – opowiadał podniecony stalker, wyglądający jeszcze na kota.

Pewnie na widok nibypsa spieprzał ile sił w nogach, idiota. Nie miałem ochoty słuchać tych bredni, więc zająłem miejsce w kącie hangaru i zmęczony czekałem na nadejście snu.

Rozdział III

Wstałem dosyć wcześnie, tuż przed siódmą rano. Byłem głodny, bardzo głodny, więc wyjąłem resztki prowiantu z plecaka i rozpocząłem poranny posiłek. Do zjedzenia miałem naprawdę niewiele – trzy kromki chleba, połowa jakieś konserwy w blaszanej puszcze i termos herbaty do popicia. Nie smakowało to jakoś wytwornie, ot zwykły, pożywny posiłek typowego stalkera.

O tej porze roku słońce dopiero miało wstać, więc w hangarze panował mrok, z którym walczyły płomienie ogniska. Drzwi były zamknięte. Przecież nikt nie chciał, by w hangarze panował chłód. W budynku poza mną siedziało przy ognisku jakichś dwóch stalkerów. Jeden z nich spojrzał na mnie i wrócił do swoich wcześniejszych zajęć. Nie byli jakoś specjalnie dobrze wyposażeni. Oceniałem ich na kotów, nowicjuszy, a może i trochę zwykłych stalkerów. Pierwszy z nich, wyższy miał na sobie kombinezon najemnika, lecz nic nie świadczyło, o tym że można go nająć na przykład do ochrony. Drugi jednak miał na sobie tylko poplamiony krwią, ciemnobrązowy sweter, a jego standardowy kombinezon „Świt” leżał obok. Był wyraźnie podniszczony i splamiony krwią, ciekawe co ci dwaj przeżyli jakiś czas temu.

Przerwałem w pewnym momencie swój posiłek i to co zostało z powrotem włożyłem do plecaka, nie było tego wiele. Poza tym co miałem z sobą wziąłem jeszcze stary, duży koc. Później się mi z pewnością przyda. Planowałem czym prędzej wyruszyć do Jantar, by zapolować na zombii, wyszedłem z hangaru

i opuściłem obóz.

Do Jantaru szedłem dłuższą trasą przez Wysypisko i okolice Agropromu. Nie zamierzałem walczyć z najemnikami oraz mutantami z Dzikcy. Droga minęła mi spokojnie. Mutanty, które napotykałem na swojej drodze nie miały najmniejszej ochoty ze mną walczyć, więc uciekały spłoszone przede mną. Wszystkie anomalie jakie czekały na nieuważnych stalkerów minąłem używając metody z śrubkami. Nie spotkałem nawet żadnego bandyty czy innego zawadiaki. Dzisiaj najwidoczniej miałem szczęście, chociaż nie do końca. Cały czas, w odległości co najmniej stu metrów szedł za mną jakiś stalker. Musiałem przyznać, że zaniepokoił mnie jego widok. Miał zapewne na sobie ciężki kombinezon „Bułat”. Nie widziałem z takiej odległości dokładnie. Ale co tam, nie ważne, najlepiej jest się nie przejmować.

Stałem na pagórku, przeze mną rozciągały się bagna, dawniej będące jeziorem oraz niedaleko trujących moczar stał bunkier jajogłowych. Daleko było widać masyw budynków starej,

opuszczonej fabryki, na terenie którego teraz grasowały zombii oraz snorki.

Jajogłowi czyli naukowcy stacjonujący w swoim bunkrze akurat tutaj zajmowali się przede wszystkim badaniem fal psionicznych, które zamieniał stalkerów w bezmyślne zombii. Bunkier broniony był przez jeden, liczny oddział najemników odpierający przeważnie ataki stalkerów, którzy już nie byli ludźmi. Snorki to natomiast przeważnie wojskowi w charakterystycznym maskach przeciw gazowych „Słoń” wystawieni na zbyt długi czas na radiację. Żołnierze przeszli mutację i przeistoczyli się w krwiożercze potwory poruszające się na czterech, mocno umięśnionych kończynach. Najczęściej kombinezon jest zerwany w wielu miejscach i można zobaczyć okaleczony, zakrwawiony tułów.

Udałem się w stronę drogi prowadzącej do fabryki, dzieliło mnie od niej około tysiąc metrów. Przedzierałem się przez krzaki leżące u podnóży stromych pagórków. Nie chciałem, żeby ktokolwiek mnie zauważył. Nie lubiłem tego miejsca, zawsze

było tutaj brzydko i nie poprawiał tego wrażenia biały śnieg. Po kilkunastu minutach marszu dotarłem do zwykłej, kiepsko utwardzonej drogi, po której bokach stały krzywo wbite słupki. Szedłem wzdłuż drogi do fabryki i mijałem co jakiś czas zdezelowany pojazd, czy to furgonetkę, czy to autobus. Miałem wrażenie, iż ktoś mnie cały obserwuje.

Odwróciłem się tknięty przeczuciem i wzrokiem szukałem potencjalnego prześladowcy. Nikogo nie zauważyłem, jeśli ktoś w ogóle za mną podążał musiał umieć dobrze się ukrywać. Dodatkowo łatwiej było jemu mnie śledzić, ponieważ zostawiałem w śniegu ślady wojskowych butów, przez niektórych potocznie nazywanych glanami. Zamiast dalej rozmyślać nad niewidzialnym wrogiem przyspieszyłem tempa. Zwolniłem dopiero niedaleko murów okalających dawny zakład pracy. Dopiero tutaj zwykła „wiejska” droga zmieniała nareszcie swoją powierzchnię na asfaltową. Na pokrywie śniegu przed główną bramą na szczęście nie było widać żadnych, nawet najmniejszych czyichś śladów.

Zbliżyłem się powoli do skrzyń leżących i tym samym prawie tarasujących wejście na teren fabryki i ostrożnie spoza z nich wyrzałem. Na widoku były tylko trzy zombii. Przyjąłem moją taktykę polegającą na wywabieniu stworów poza bramę, a następnie zlikwidowanie ich z ukrycia.

Jak znam życie kryje się ich tu więcej i zamiast trzech nadejdzie ich tutaj niewiele więcej. Sprawdziłem czy w magazynie mojego karabinu znajduje się amunicja, odbezpieczyłem, oparłem broń na swoim ramieniu, wycelowałem i oddałem dwa strzały w stronę najgroźniej wyglądającego zombii. Nim zrozumiał co się stało zdążyłem już wystrzelić do jego dwóch pozostałych kompanów. Takiego stwora ciężiej było pod pewnym względem zabić. Skóra podczas mutacji stwardniała, a wiele komórek odpowiedzialnych za odczuwanie bólu obumarło, przez co zombii miał jakby drugi pancerz. Oczywiście wraki dawnych stalkerów miały na sobie kombinezony. Czasami, lecz bardzo rzadko trafiają się mutanty w egzoszkieletach, lecz jeszcze nie przytrafił mi się taki pech. Odszedłem jakieś dwadzieścia me-

trów od bramy i kucnąłem za autobusem, zerkałem co chwilę czy nie nadchodzą przeciwnicy. I w końcu pojawił się jeden zombii, a za nim kolejne cztery. Stały w tym miejscu skąd oddałem strzały i nie miały pojęcia co robić. Odczekałem chwilę, by mieć pewność, że żaden kolejny mutant nie nadejdzie.

W końcu po kilku minutach czekania otworzyłem ogień. Strzelałem seriami do pięciu pocisków i starałem się, by pestki trafiały w głowę, bądź jej okolice. Już po chwili śnieg zabarwił się na czerwono i tylko jeden z ocalałych potworów otworzył do mnie ogień jednocześnie idąc w moim kierunku niemrawo. Wszystkie kule wystrzelone z jego karabinku Viper 5 świstały mi nad głową lub trafiały niewinny autobus. Spokojnie, nie zwracając uwagi na ostrzał przeciwnika sam odpowiedziałem jemu ogniem kończąc tym jego wędrówkę po ziemi. Podszedłem powoli do jednego z zombii i mocnym kopniakiem zakończyłem jego przedśmiertne konwulsje.

Jak każdy stalker nie zostawiałem łupu przy o ofiarach to też zacząłem przeszukiwać trupy. Przy pierwszym najbardziej

wojowniczym zombii znalazłem użyty zresztą karabinek Viper. Niechętnie wziąłem się przeszukiwania reszty ciał.

Szczególnie cennych łupów nie znalazłem, jednak trochę tego było. Wziąłem sporo egzemplarzy broni palnej, która była w różnym stanie. Poza Viperem znalazłem starą dubeltówkę, AK 74/u, dwa karabiny szturmowe AK 74/2 oraz mocno zniszczony IL86. No i oczywiście znalazłem broń mniejszego kalibru, czyli USP i dwie PMm'ki. Cały ten skromny arsenał poza pistoletami położyłem na wziętym wcześniej przeze mnie kocu i zacząłem ciągnąć go za sobą. Całą amunicję oraz trochę przydatnego prowiantu włożyłem do plecaka, który nie ciążył na plecach zbyt mocno, lecz odczuwalnie. Zdobytą broń mogę opchnąć taniej najemnikom, którzy później sami ją sprzedadzą, albo pomęczyć się i sprzedać ją na Pchlim Targu lub w Barze. Potrzebowałem jednak pieniędzy, więc postanowiłem zaryzykować i sprzedać drożej swój przyz.

Ehh... znów trzeba wracać tą, nudną drogą. To był właśnie ten minus dla samotnych samotników. Długo nieciekawe po-

dróże, choć lepsze gdy są nudne, niż kiedy zaatakują ciebie jakiś wróg. Nie można było powiedzieć, że nie lubię chodzić. Robiłem to nawet bardzo często. Tutaj jednak doskwierała mi samotność, teraz zapewne wracałbym z Ciągłem do Baru, jednak ten idiota musiał pójść na Arenę, eh. W innej porze roku takie samotne przemierzanie byłoby niebezpieczne, cholernie niebezpieczne. O tej porze jednak nie groziło mi wiele, szczęście i pech dla niektórych. A teraz wędrowałem przez te pustkowia z łupem i miałem obawy co do podróży. Mimo tego, że była zima to ktoś i tak może polować na nieuważnych wędrowców.

Rozwahałem nad udaniem się do siedziby Samotników mieszczącej się niedaleko. Ostatnio w Zonie jest mniej stalków, więc ciężko znaleźć kupca na broń, nawet tą w lepszym stanie. Idę cały czas drogą powrotną, czyli taką samą jak wcześniej jednak coś nie mi tutaj nie pasuje. Nie mam pojęcia co, może kruki i wrony są cicho?

– Musisz być czujny, Nullus. – podpowiadał mi mój cichy głosik w głowie. Co do cholery się dzieje? Można powiedzieć, że

wszystko ucichło. Nawet moje kroki na wilgotnym śniegu nie są takie... głośne. I nagle zobaczyłem to. Nie było to nic niezwykłego, lecz czułem się na ten widok dziwnie, bardzo dziwnie.

ON stał tam cały czas bez ruchomo. Niby to stalker, stalker w pancerzu „Bułat”, ale coś tutaj nie pasowało. Stałem dwadzieścia metrów od tego człowieka i nie mogłem uciekać. Do dwóch metrów brakowało jemu pewnie dziesięć centymetrów, albo ewentualnie trochę więcej. Nie widziałem jego twarzy, którą zasłaniała maska. Nic szczególnego się nie stało, ale się strasznie bałem. Panowała nienaturalna cisza i przeważnie tylko dlatego się bałem, jednak w tej złowrogiej postaci coś było...

W pewnym momencie dostrzegłem coś na jego ciemnym niczym atrament pancerzu. Czerwone, jaskrawe słowa w jakimś dziwnym, nieznanym alfabecie pojawiły się z nikąd. Jednak mimo, iż nie miałem pojęcia co to za dziwaczne znaki układające się w wyrazy, to znałem ich znaczenie. Mówiły wręcz do mnie – Zgiń! – Zgiń! Wtedy też odezwał się cichy głos – Nullus, uciekaj póki możesz, albo zgiń! Ledwo oderwałem ociężałe nogi od

ziemi i rzuciłem się do szaleńczego biegu w stronę bunkra naukowców. Nigdy nie biegłem tak szybko jak teraz, pewnie biję rekordy prędkości. Przerażony bałem się odwrócić, ale jednocześnie tego chciałem. Walczyłem sam ze sobą i jedna moja część wygrała. Spojrzałem za siebie i zauważyłem...

Rozdział IV

Spojrzałem za siebie zatrwożony i zauważyłem to, że nie było widać złowrogiej postaci. Odetchnąłem z ulgą. Strasznie bolała mnie głowa i nie tylko. W jednej chwili poczułem się bardzo zmęczony i ospały. Incydent wybił mnie z równowagi. Co się w ogóle stało? Jakiś stalker w pancerzu stał w miejscu i pewnie w masce przeciwgazowej miał zainstalowane dwie diody świecące na czerwono. Taki żart dowcipnisia, czego ja się wystraszyłem?

Przypomniałem jednak sobie tę chwilę, nienaturalną ciszę, złowrogą atmosferę i nie do końca wierzyłem w opcję, że ktoś

postanowił zażartować sobie kosztem innych. Szczerze mówiąc nie mam pojęcia co się stało chwilę temu, muszę odpocząć. Wciąż zszokowany tym jakże dziwnym wydarzeniem, szedłem powoli w stronę bunkra naukowców. A może oni coś będą wiedzieć na ten temat? Szybko odrzuciłem tą myśl, pewnie powiedzą, iż przez radioaktywność i fale psioniczne mam jakieś pieprzone majaki. Durnie, nie wyjrzą z tej swojej „twierdzy” i się wymądrzają. Muszę iść z powrotem do Baru, coś zjeść, pogadać, sprzedać i może pójdę do Ciągła... Aj, to nie ważne, jestem ciekaw co się stało chwilę temu. Kto może to wiedzieć? Medyk? Jajogłowi? Nie mam pojęcia. Dobra, później pomyślę, teraz muszę wrócić z tym co mam do 100Radów.

Droga minęła spokojnie, absolutnie nic się nie działo. I dobrze, pokonanie tej samej trasy samemu w lato, a nie w zimę jest naprawdę dużym osiągnięciem. Znużony zszedłem do zatechłej piwniczki nazywanej barem. Ostatni wypad poza małym łupem przyniósł mi tylko nie potrzebne zmartwienie, a zarazem tajemnicę. Podeszedłem do Kruka i zagadałem:

– Widzisz, mam problem wiążący się jakby z mitami Zony.

Czymś dziwnym... rzadkim. Kto może coś o tym wiedzieć?

– Jak to kto? Leśnik, chyba wiesz kto to. – Kruk odpowiedział z serdecznym, słowiańskim uśmiechem na twarzy.

Przyszedłem do Baru tylko po to i nic więcej, nie mówiąc nawet 'dzięki' wybiegłem z piwniczki na powierzchnię. Muszę sprzedać handlarzowi broń, która pozostawia wiele do życzenia. Od wczoraj w bazie praktycznie nic się nie zmieniło, tylko śniegu jeszcze napadało. Wszyscy sprawiali wrażenie ospałych i znużonych brakiem zajęcia. Nareszcie doszedłem do ośnieżonej kanciapy handlarza bronią. Zmierzył mnie swoimi oczami i czekał co zrobię. Położyłem na ladę znalezione pisi bez słowa czekałem na wycenę. Stalker wziął powoli do ręki Makarova i dokładnie go obejrzał, sprawdził czy się nie zacina, ani czy nie ma żadnych usterek. To samo zrobił z drugim pistoletem i wycenił:

– Pierwszy nawet nieźle się trzyma, wszystko chodzi jak należy, choć za jakiś czas ktoś musiałby go naprawić, trzysta rubli? – zapytał i skinąłem w zamyśleniu

głową – Drugi już taki świetny nie jest, jeśli w tydzień go nie sprzedam to będę musiał oddać go technikowi. Nie wygląda najlepiej, dam tylko sto pięćdziesiąt i ani rubla więcej. A za ten ostatni, USP dam tobie marne trzysta pięćdziesiąt, podniszczony mocno jest. Pasuje? – przytaknąłem głową i mężczyzna wręczył mi plik banknotów, wiele tego nie było.

Wyszedłem już bez skromnego łupu. Nie pozostało mi nic do roboty, więc znowu udałem się do Baru. Może ktoś będzie miał coś ciekawego do powiedzenia. Kątem oka zobaczyłem dwóch stalkerów idących za mną. Odniosłem wrażenie, że skądś ich znam. Odrzuciłem szybko tą myśl, przecież w Zonie jest wiele ludzi. Przyśpieszyli kroku wyraźnie idąc w moją stronę. Pierwszą myślą była ucieczka, tylko po co? Jestem zbyt nerwowy, opanuj się Nullus. Wyższy z stalkerów powiedział do mnie:

– Pójdiesz z nami, tylko niczego nie próbuj.

– Spieprzajcie, posłańcy. Nigdzie z wami nie idę. – odpowiedziałem na zaczepkę.

Zdawałem sobie sprawę, że mogą mi coś zrobić, a strażnicy

nawet nie ruszą palcem, by mi uratować. Ruszyłem szybkim krokiem w stronę Baru mijając dwóch... bandytów? Usłyszałem wtedy zirytowany głos jednego z nich:

– Nabój!

Ból rozsadzał moją czaszkę, widziałem jakieś niewyraźne kształty przed sobą. Spróbowałem dotknąć ręką swoją, ciężką, obolałą głowę. Nie mogłem. Coś krępowało skutecznie ruchy moich rąk i nóg. Siedziałem na starym krześle, przywiązany do niego. Gdzie ja jestem? Nagle ktoś wylał na mnie wiadro zimnej wody. Rozbudziłem się na dobre i zacząłem kaszleć ochryple. Podniosłem głowę i ujrzałem stare, masywne biurko. Nie sam mebel mnie zaintrygował, lecz postać przy nim siedząca.

– Widzisz Nullus, nie chciałeś po dobroci, to masz na przymus. Byśmy spokojnie pogadali, a tak to musisz siedzieć związany. Szkoda, że muszę cię zmuszać.

– Ty gnoju!

– Spokojnie, powinienesz dziękować. Chłopcy cię nieśli z Baru, aż do naszych skromnych magazynów wojskowych.

Musieli się zmęczyć. – drwiny przesiąkały słowa stalkera, a raczej dowódcy stalkerów.

– Ale po co ja tobie?! Spłaciłem dług, zostałem wolnym stalkerem i jesteście kwita!

– Nullus, szukam ludzi. W tym ciebie.

– Nie ma mowy, Łukasz. Od czarnej roboty to masz swoich durnych anarchistów! Chcesz, żebym dołączył do masakry pod Barierą? Myślisz, że nikt nie wie co tam się dzieje?! Wysyłasz tam dziesiątki stalkerów na bezsensowną rzeź z Monolitem!

– Czy ktoś mówił, że jesteś mi potrzebny akurat do tego? A ta cała twoja rzeź to próba powstrzymania fanatyków i ich zabójczych ideologii. Durna Powinność myśli, że to jedyne co robimy. Nie spodziewają się niczego.

– Łukasz, co ty do cholery kombinujesz?! – nic już nie rozumiałem.

– Chyba cię moi dzielni chłopcy za mocno zdziwili po łbie, haha. Mam mało ludzi, coraz mniej. Sam chyba wiesz

dlaczego. W zimę tylko Monolit jest aktywny i ktoś musi go powstrzymać. Zostało mi tylko kilku naprawdę dobrych stalkerów. Ty też do nich należysz.

- Tylko, że już nie jestem w Wolności i nie zmusisz mnie bym do niej wrócił.
- Czy ja mówię, że masz być w Wolności? Ja chcę tylko, żebyś mi pomógł w pewnej sprawie. Potrzebuję doświadczonych ludzi, a nie kotów. Zrobisz co miałeś zrobić i jesteś wolny. Oczywiście dostaniesz jakąś sumkę w nagrodę za służbę... – Łukasz przeszedł do konkretów.
- Naprawdę myślisz, że będę dla ciebie pracował? Nie żartuj sobie. Rozwiąż mnie i wypuść cholero.
- Mało kto teraz odwiedza wieżę ciśnień i pijawki są spragnione krwi, ktoś musi je nakarmić. – ta groźba do mnie trafiła. Czy w taki sposób chcę skończyć swoje życie?
- Mów o co chodzi.
- Dwie grupki naszych mają przejąć Agroprom. Znaleźliśmy ścieżkę, dzięki której podejdziemy prawie pod sam

Agroprom mijając wszystkie posterunki Powinności.

Pierwsza, czteroosobowa grupa ma przejść pod południową bramę po drodze eliminując wszystkie oddziały Powinności.

Druga grupa, co najmniej dwa razy większa dojdzie później i na sygnał zaatakuje od bramy wschodniej.

- Szaleńczy plan... jak niby w czterech mamy przejść przez wszystkie posterunki?
- O ludzi to się nie martw, lepszych ze świecą szukać. A sprzęt dostaniesz od Maksa, tylko później musisz go z powrotem oddać i weźmiesz to co miałeś, umowa stoi?
- No, nie mam wyjścia. – odpowiedziałem niechętnie.
- Dobra, to może się przebierzesz, ogarniesz i idź do Maksa. Poszedłem, świeży, umyty do jednego z baraków. Tam podobno przebywał Maks. Tutaj było całkiem inaczej niż u Powinności. Panowała samowola. Tu i ówdzie ktoś jarał skręta, wielu stalkerów grało w karty z pieniądze, wszędzie było słychać radośne okrzyki i rozmowy. Mimo luźnej atmosfery główna siedziba Wolności była dobrze chroniona przez przede wszystkim snaj-

perów. W końcu znalazłem Maksa, leżał na jednym z polowych łóżek i czyścił rewolwer.

- Łukasz mówił, żebym poszedł do ciebie po wyposażenie.
- O, Nullus! Brakowało tobie starych, dobrych kompanów, co?
- Można tak powiedzieć, gdzie ten sprzęt? – nie miałem ochoty na rozmowę.
- Czekaj, już daję. – mówiąc to podszedł do wielkiej skrzyni leżącej pod oknem i wręczył mi to czego potrzebowałem.
- Dzięki. – dźwigając sprzęt usiadłem na pryczy i przejrzałem to co otrzymałem. Kombinezon „Strażnik Wolności” miał w jednej z dodatkowych kabur pistolet Kora z tłumikiem. Z broni długiej dostałem wyciszony karabin snajperski L96A1. Najbardziej cieszył mnie jednak mały karabinek typu SMG Scorpion. Spojrzałem na sprzęt w uznaniem i odłożyłem go na bok.
- Maks, kiedy wyruszamy na Agroprom?
- Jutro rano, lepiej odpocznij. Skinąłem głową, a że było ciemno, położyłem się czekając na sen. W oknie

zobaczyłem ciemną sylwetkę, której oczy się jakby świeciły na czerwono. Podskoczyłem w pierwszej chwili na łóżku i nie mogłem oderwać wzroku od złowrogiej postaci. Było w niej coś hipnotyzującego. Zrobiłem jednak coś co przerwało ten nienaturalny trans. Mrugnąłem. Postaci za oknem już nie było.

- Nullus, co się dzieje? – Maks zapytał się mnie troskilwie.
- Nic, nic. Masz szluga? Muszę zapalić.
- Tak, mam. Łap. – mówiąc to towarzysz podał mi papierosa. Nie paliłem nigdy nałogowo. W ogóle paliłem tylko w momentach, gdy byłem naprawdę zdenerwowany, zatrwożony. A szczególnie, gdy wiele negatywnych emocji się skumuluje. Ten kawałek bibuły z mieszkanką tytoniu uspokajał moje psychiczne problemy, dzięki papierosom w trudnych sytuacjach umiałem spokojnie pomyśleć, zapanować na sobą. Narzuciłem na siebie kurtkę i wyszedłem z baraku zapalić. Jakieś dziwaczne monstrum z Zony postanowiło mnie śledzić czy co? Chyba tak. Na dodatek, w końcu kiedy postanowiłem udać się do Leśnika, to

Wolnościowcy musieli mnie porwać. Zajeście, no Nullus, po prostu zajeście... Jeszcze szanse na przeżycie tego durnego napadu na Agroprom są naprawdę małe. Taktyka do najlepszych nie należy... Ale trzeba w końcu spojrzeć też pozytywnie. Jeśli wszystko się uda to zgarnę trochę pieniędzy i wyjdę na prostą, może. Wtedy trzeba będzie pójść do tego dziadka, Leśnika i co nieco się dowiedzieć o tym czymś co mnie... śledzi? Może nawet bym opuścił Zonę? Chociaż to i tak nie ma sensu, bo co bym tam robił?

Teraz już tylko strażnicy stali na swoich wartach na zimnym powietrzu. Nie było ich i tak wielu, nikt nie spodziewał się jakiegokolwiek ataku. Wszyscy inni Wolnościowcy odpoczywali w starych, wojskowych barakach. Kiedyś było tu inaczej... Papieros wypalił się już prawie całkowicie, rzuciłem więc niedopałek w głęboki śnieg i wróciłem z powrotem do schronienia. Trzeba już iść spać, ciekawe co przyniesie kolejny dzień.



saku

Frakcja: Samotnicy

Ulubiona broń: Sniper Rifle

SVDm2

W cieniu

kilka słów o utworze, jakaś mapka czy cośtam :)

Spojrzał na zegarek

– 30 minut spóźnienia. Standard. Dziwne żeby w tym przeklętym miejscu ktoś miał przyjść na czas.

Kolejny raz, jak zawsze kiedy czekał na klienta, zastanawiał się skąd u diabła wziął się wagon w którym siedzi, 20km od najbliższej linii kolejowej. Może to nie była wymarzona praca, ale tam – daleko, miał żonę i dwójkę dzieci, a rodzinę z czegoś trzeba wyżywiać. Nikłe światło świeczki odbijało się na jego twarzy. Twarzy tak łagodnej, jedyne zmarszczki miał przy prawym oku, tak jakby tylko jego lewa strona twarzy się śmiała. Ale on wiedział że to ślad po ciągłym mrużeniu oka do celownika karabinu snajperskiego.

Ścisnął go mocniej – SVD Dragunov, ile ta broń dla niego znaczy! Z niej pierwszy raz zabił. Czuł się taki twardy, myślał że zrobi to bez problemu, a jednak. Ręka się zatrzęsała, musiał poprawić po pierwszym strzale, bo biedak się wykrwawiał, krzycząc jakieś przekleństwa na oprawcę, którego nie widział. Nie mógł dostrzec, bo on – Syrjan, leżał daleko w krzakach,

prawie 700m od swojej ofiary. Uważał się za tak twardego, a jednak przez całą noc się budził, widząc na siatce celownika twarz ofiary. Ale to dawne czasy, teraz jest inny, teraz naprawdę jest stalkerem! Kolba karabinu – pochyłymi literami napisane

KOCHAM MARIKA

a pod napisem namalowana róża. Czy on może mieć jeszcze takie uczucie jak miłość? Ale przecież robi to wszystko właśnie dla niej, i dla dzieci, więc może jednak...

Jakieś poruszenie w krzakach. Dobrze wiedział że to zapewne oni, ale zawsze był ostrożny. Odłożył swój karabin, i chwycił za AK47 – skrócona lufa i składana kolba, tak aby można było go przenosić w plecaku. Nigdy nie oddał z tej broni strzału do człowieka, ale nie wiadomo czy nie zajdzie taka potrzeba. Wycelował w zamknięty wąż wejścia do wagonu, gdyby połapał się że to nie oni, zaczniesz strzelać.

– Kto tam? – zapytał głośnym, wyzywającym tonem.

– Spokojnie, to my Syrjan!

Chwycił belkę blokującą wąż, i wyjął ją z zawiasów. Odsunął

wrota, za nimi ukazała się znajoma twarz Saszy, podał mu rękę i poklepał po ramieniu.

– Wchodźcie.

Kiedy jego przyjaciel wszedł do wagonu, a za nim dwójka umówionych klientów, nie wiedział czy parsknąć śmiechem, czy się załamać. „Jebani biznesmeni”, pomyślał na widok dwóch dość dobrze zbudowanych mężczyzn, w wieku około 40 lat, wchodzących do wagonu w garniturach.

– Chodźcie ubrani jak chcecie, ale buty ubieracie takie jakie ja wam dam. Zdrowe nogi to podstawa, jeśli chcecie tutaj przetrwać.

– Przetrwać? – zapytał podejrzanym głosem jeden z nich. „Ja pierdolę” jedyna myśl jaka przyszła Syrjanowi do głowy. „Kolejni turyści, myślący że Zona to idealne miejsce na wypoczek”.

– Sasza powiedział cennik?

Klienci pokiwali głowami. Wyjął ze skrzyni dwie pary starych, wojskowych butów, kałacha schował do plecaka, zarzucił na

plecy i wziął do ręki SVD. Spojrzał na dwóch mężczyzn w garniturach, którzy dopiero co ubrali śmierdzące glany. Uśmiechnął się pod nosem, pokiwał głową.

– W drogę.

Trasa ta co zawsze, wszystko bardzo dobrze zna, ale nigdy nie zaniża ostrożności. Od paru dni martwi się, że zaczął już sam oznaczać jego przechadzki, trawa powoli się ubija, niedługo będzie musiał znowu znaleźć nowe miejsca do oprowadzania „turyistów”. Coś błysnęło.

– O, te będzie dobre Andriej. – Tego już nie mógł wytrzymać, odwrócił się, i wycelował w jednego z klientów, trzymającego aparat.

– Ochujałeś? Jest noc! Każdy może nas dostrzec po tym błysku, a już o mutantach nie wspominam. Lepiej ich nie budzić! Powiedziałem, idziemy 4km do opuszczonego domu, tam czekamy do rana. W świetle słońca będziecie mogli robić zdjęcia! Trzymać się mnie blisko, ja mam licznik, wy nie.

Ruszyli dalej, cisza zdawała się przenikać przez nich, prześwieślać ich na wylot.

PIK, PIK, PIK

„Co jest ku*wa?”. Nie możliwe, czyżby wykrywacz się zepsuł? „Przecież tu nigdy nie było żadnej anomalii”. Ręką dał znać aby się zatrzymali. Włączył małą latarkę, wyszukał z jej pomocą kamieni na ścieżce. Wziął jeden do ręki, rzucił przed siebie. Szum, kamień uderzył go w tors. „Nowe anomalie? Nigdy nie pojawiały się same z siebie. Coś złego dzieje się w Zonie.”

Powoli obeszli miejsce, gdzie niewidzialna siła zdawała się przywoływać ich do siebie. Po chwili byli znów na ścieżce. Licznik zaczął stukać, to normalne w tym miejscu. Nigdy nie używał kombinezonów anyradiacyjnych, po co? Jak ma zginąć, i tak zginie. Kamizelka kevlarowa pod swetrem, i gruby skórzany płaszcz z kapturem, to mu wystarczy. Dom zaczął wyłaniać się z mroku. Piętrowy kamienny budynek, a zaraz przy nim stara, popękana i ledwo dostrzegalna droga. Wprowadził ich do środka, na pierwsze piętro. Rozpalił na kamiennej podłodze małe-

kie ognisko. Wyjął z plecaka dwie puszki fasolki, widelce i butelkę wody. Podał klientom, i w tym momencie usłyszał głosy. Wyrztał przez okno, w oddali zauważył światło latarek. Od razu wiedział że są one umieszczone na głowach obcych. „Hmm, 6. Nie! Jest siódmy.” Przytknął oko do celownika broni, po gościach poznał że to Powinność. Wcale nie zrobiło mu się lepiej, wiedział że z nimi nigdy nic nie wiadomo.

– Czekać tu – zwrócił się do mężczyzn.

– Zostawisz nas samych?

– Zaraz wracam, nie ruszać się stąd!

Szybkim krokiem ruszył w kierunku patrolu. Kiedy tylko zbliżył się do nich, usłyszał to co zawsze przy spotkaniu z nimi. Przytłumiony głos zza maski przeciwigazowej, sprytnie wkomponowanej w specjalny kombinezon, który trudno przebić nawet z AK.

– Stój wędrowcze, wiedzieliśmy że gdzie tu będziesz. Broń na ziemie, zdejmij plecak, ręce w górę! Tylko spokojnie.

Zachciało ci się robić zdjęć? – Syrjan wykonał polecenia,

po czym odpowiedział

- Nie ja robiłem, oprowadzam dwóch kolesi.
- Oprowadzasz mówisz? No to wiesz jak jest, na naszym terenie pobieramy „podatek”.
- Na WASZYM terenie? A od kiedy? WASZ teren zawsze był na zachód stąd. – Drugi strażnik zrobił krok do przodu
- Płacisz, czy wolisz się kłócić?

Po ostatnim słowie poklepał FAMASA po kolbie. Musiał być z niego dumny, taka broń to rzadkość w tych stronach. Może był jakimś kapitanem? Mało kto w Powinności może nosić własną broń. Zapłacił. Strażnik który odebrał opłatę, podszedł do niego, spojrzał zza maski, po czym powiedział.

- Uważaj na siebie stalkerze, podnosi się radiacja. Coś dziwnego się dzieje, anomalie pojawiają się w innych miejscach niż dotąd.
- Zauważyłem...

Kiedy wracał do klientów od razu coś go zaniepokoiło. Z okna nie wydobywało się światło ogniska, zapalił latarkę. Wszedł

ostrożnie do środka, zdjął plecak. SVD przewiesił przez ramię, a wyjął kałacha. Powoli ruszył na górne piętro, w pokoju, przy zgaszonym ognisku, leżały dwa ciała. Oba na plecach, oba z zakrwawionymi twarzami, całymi poharatanymi jakimiś diabelskimi sidłami. Ręce mieli blade, i jakoś nienaturalnie zmarszczone, tak jakby z ich ciał wyssano wszystkie soki. „Pijawka”, pomyślał Syrjan i spojrzał za siebie...



Canthir

Frakcja: Powinność

Ulubiona broń: Akm 74/2

Śpiąc w popiołach

Swego czasu popełniłem opowiadanko obarczone roboczym tytułem "Biba na skraju drogi". W prawdzie nie wiązałem z nim nadziei na dalszy rozwój fabuły, ale powołałem głównego bohatera, który niejako mi się spodobał. Wiele wody w Prypeci nie upłynęło a zabrałem się za pisanie czegoś, co może kiedyś osiągnie okazalszą objętość i poważniejszy poziom. Prolog zamieszczam tutaj. Wdzięczny będę za konstruktywną krytykę. Jeżeli ten fragment się Wam spodoba a poinformujecie mnie o tym będzie to dla mnie motywacją do dalszego pisania i zamieszczania historii.

Śpiąc w popiołach - I

Zimno... Twardo... Źle... Kurna, ileż można leżeć na gołym betonie przykryty tylko wojskową kurtką? Wiedziałem, że ta wycieczka do Chabna źle się skończy... Mówili przecież, że miasto puste, że żywej duszy nie ma, żeby sobie nim głowy nie zawracać, bo to strata czasu. Ale nie, mi coś nie pasowało i musiałem pójść i samemu sprawdzić. No i polazłem, jak inni przede mną. Którzy leżeli i nie wracali. Dlaczego? Niby płot zaraz dalej, ale przecież nie musieli tak daleko leżeć, żeby z Zony czmychnąć. To nie ma sensu...

Wstałem z podłogi, rozprostowałem kości i oparłem się o ścianę. Spękany tynk posypał się z cichym chrzęstem pod nogi. Otrzeptałem pył i kurz z ubrania, zebrałem plecak i wyrzuciłem przez okno. Szaro. Niebo zasnutie nieprzeniknionym ponurym stropem chmur, leniwy obłok mgły wypełzający spomiędzy drzew, pękający beton budynków i dziurawy asfalt zarastających dróg. Pustka. Pustka tak namacalna, że na wskroś prze-

nikająca człowieka jak zimny wiatr. Brrr, nie lubię tego uczucia. Mrozi krew w żyłach, pozbawia oddechu, mąci w głowie. To chyba nie jest normalne, nie czułem czegoś podobnego poza Zoną. A może tylko nie zwracałem uwagi? Z resztą czy to ważne co jest poza Zoną?

Na drodze pojawił się pies. Gdzieś dalej zaszczekał jeszcze jeden, po chwili kolejny. Dobry znak, jest jakieś życie. Mutasów nie spodziewałybym się, to nie ich region, tutaj tylko kundle... O ile nie są wygłodzone nie stanowią problemu, płoszy je strzał z śrutówki. Tylko u mnie z śrutem krucho, zostawiam na poważniejsze okazje. Psy, w sumie cztery, przeszły skrajem drogi pod wejście do budynku w którym byłem i siadły. Szybko jednak poderwały się i odbiegły wzdłuż bloku podkulając ogony. Kie lichy je spłoszyło? No nic, trzeba iść. Przewiesiłem kałacha przez ramię na wszelki wypadek i wyszedłem.

Przed budynkiem z chodnika wyrastała brzoza. Trochę powykręcana i dziwnie szara. Wszystko tu szare, aż się zaczynam bać, czy od wdychania tej szarości sam nie zszarzeję. A mo-

że to od radiacji coś mi się psuje w oczach? Cholera, lepiej o tym nie myśleć... No nic, idę przed siebie. Obłok mgły otwiera się przede mną i bezgłośnie zapieczętowuje tuż za mną. Kąsa chłodem i wilgocia. Wiatr zawodzi na liniach energetycznych, jęczą kołyszące się sosny. Nawet nieruchomy wrak przerdziałego Zaporozca bez kół zdaje się skrzypieć. A w tle, jakby z dala, spod ziemi, jakieś dziwne i niepokojące dudnienie. A może to krew w uszach? Serce się tłucze pod żebrami jak szalone, oddech mam płytki, jakbym się bał wziąć tej mgły do płuc. Zakładać maskę gazową? Nonsens... Radiacja ledwie co, żrących wyziewów ani śladu, to nie co te cholerne świecące bagna. Mgły się boję? Dureń ze mnie, może czas skończyć z tą zabawą...

Idąc tak krok za krokiem doszedłem do skrzyżowania gdzie skręciłem w lewo. Przechodząc wzdłuż szpaleru słupów lamp ulicznych poczułem się obserwowany. Ciężar czyjegoś spojrzenia leżący na barkach zdał się równie namacalny jak ten kałach. Nie, nawet bardziej, karabin wydawał się rozplływać we mgle, a wzrok wgryzał się w plecy. Ale się nie odwróciłem. Bo po co?

Zobaczyć obdrapany budynek z betonowej płyty z powybijanymi szybami, wrak Zaporozca i pokręconą brzózkę? Nie, gdybym za każdym razem się tak rozglądał odkąd jestem w Zonie to niechybnie bym sobie już dawno łeb ukręcił. Człowiek jest odcięty od źródeł bodźców, które to doznaje zewsząd przebywając między ludźmi, więc zaczyna głupieć. Od jednej strąconej wiatrem gałązki można zawału dostać, kurna, szaleństwo. W dupie mam, nikt na mnie się nie gapi, przylazłem tutaj i leżę dalej. Pewnie to tamte pieski wróciły jak mnie zwietrzyły, jak tylko usłyszę, że podchodzą to im wygarnę serią, a co...

Poszedłem dalej, po prawej za jakimiś chaszczami stał budynek szkoły. Gdyby nie wyasfaltowany plac apelowy nie byłoby jej widać zupełnie. Spomiędzy popękanych płytek chodnikowych wyrastała trawa do pasa, podjazd zarastały w poprzek jakieś kolczaste krzewy. Las normalnie, nie miasto... Placówka edukacyjna mieściła się w czterech budynkach, z jednej strony sala gimnastyczna, dalej parterowy pawilon stołówki, za nim czteropiętrowy dydaktyczny i przyrośnięty do niego niższy z aulą

na parterze a biurami na piętrze. Ten sam projekt co we wszystkich podobnych miasteczkach. Byłeś w jednej z tych szkół to jakbyś był we wszystkich. Większość zaopatrzona w schrony w piwnicach, na wypadek wojny, która nie nadeszła. Mnie zaś interesowały zapasy tam zgromadzone, środki opatrunkowe, zestawy do uzdatniania wody, filtry do masek, jakieś łachy, może dokumenty...

Wdrapałem się po skruszonych stopniach do kuchni i zapaliłem latarkę. Podłogę wyścielała bodaj centymetrowa warstwa pyłu, blaty tonęły w kurzu, wszędzie walały się poprzewracane garnki i talerze. Z sufitu rozpinały się pajęczyny rzucające na ściany długie cienie tańczące przy każdym poruszeniu źródłem światła. Nieco dalej od wejścia, na środku pomieszczenia, czernił się ślad po ognisku. Połamane krzesła leżały pod ścianą wręcz zapraszając do użycia ich w roli opału. Ale jeszcze nie czas na przerwę, najpierw muszę znaleźć tu coś ciekawego. W sali jadalnej stoły zepchnięte były pod ścianę w imponującą rozmiarami hałdę. Ku mojemu zdziwieniu połowa okien

przeszkłonej ściany nie była wybita. Bezmyślnie schyliłem się po kawałek gruzu nieco mniejszy od pięści, wziąłem zamach i zatrzymałem się w połowie ruchu. Co mi ze stłuczonej szyby? Cała przynajmniej cieszy oko, wybitych w Zonie pełno. Do dziś myślałem, że wszystkie... Szkło było brudne od lepkiego kurzu i marnie przepuszczało światło, potęgowało tylko wrażenie wszechobecnej szarości. Jednak swoją obecnością odgradzało wnętrze sali od zewnątrz dając coś w rodzaju poczucia bezpieczeństwa. W każdym radzie uczucie czyjegoś wzroku ustało. Odetchnąłem z ulgą, cisnąłem kawałkiem betonu w podłogę obserwując jak odbija się i toczy gdzieś dalej, w cień.

Korytarze między salami lekcyjnymi były co najmniej przynębiające. Tak samo tonące w kurzu, z łuszczącą się farbą olejną ze ścian. Ale na tych ścianach wisiały wyblakłe obrazki, z uśmiechniętym słońcem świecącym nad trójką postaci grających w piłkę, z rodziną siedzącą przy stole, z jakimiś zwierzętami w lesie. Prawie jak mutki, które można spotkać nieopodal, zaśmiałem się cicho. Dalej, w ramce, za stłuczoną szybą,

przebarwione zdjęcie trzech rzędów dzieci siedzących obok wychowawczyni z podpisem: klasa IIIc, rok 1985. Z rozmyślań wyrwał mnie trupi odór, zaskakując na tyle skutecznie, że mało nie spadłem poślizgnąwszy się na schodach. Stalkerska ciekawość została odsunięta przez stalkerską ostrożność, przynajmniej tak starałem sobie to wytłumaczyć. Trup w Zonie to nie nowina, co innego trup w szkole w mieście poza uczęszczanymi szlakami. Rozumiem na środku drogi, w rowie, przy wejściu, ale na piętrze? Rozejrzę się po budynku to do niego wrócę, przynajmniej mi nie ucieknie...

W części administracyjnej bez niespodzianek. Ślady ogniska z papierów i zacieki na ścianach od wody. Stojący w gabinecie dyrektora sejf otworzył ktoś przede mną, może i lepiej, bo nie mam środków gdybym miał z nim walczyć. Do plecaka wrzuciłem kilka pożółkłych zeszytów i jakieś ołówki, niby zabawki, ale mogą się przydać. Z ocalałych dokumentów moją uwagę przykuło parę z nich: rozkaz opuszczenia budynku z początku maja '86 i fragment korespondencji dotyczącej jakiś zamówień

z końca '85. Widocznie coś za plecami szerszej uwagi chcieli robić, bo tylko mowa o 'obiekcie', 'urządzeniach' czy też 'instalacji'. Zabrałem cały plik w nadziei, że znajdzie się ktoś, kto będzie wiedział o co chodzi. Po wyłamaniu paru szuflad wszedłem w posiadanie obiecująco wyglądającego pęku kluczy. Wyglądały na tyle solidnie, żeby sugerować, że nie sale lekcyjne im pisane czy składzik sprzętu sportowego. Humor mi się poprawił, już miałem wracać, kiedy z niższego piętra wyraźnie dobiegło mnie skrzypienie drzwi. Zamarłem. Wiatr ponuro szumiał za oknami, pogwizdywał w pustych korytarzach, ale nie był na tyle mocny, żeby ruszyć zastanymi od dziesięcioleci drzwiami. Czy mogłem usłyszeć jeszcze czyjeś kroki? Nie, krew szumiała w uszach, serce waliło w piersi, chyba nawet w oczach pociemniało... Czego ja się, kurna, boję? Jest dzień, mam w garści kałacha gotowego do strzału, powinienem czuć się panem sytuacji, biegać rażno jak po Uniwermagu, a nie trząść ze strachu galotami na jakieś odgłosy, które mogły równie dobrze mi się przyśnić. Dupa a nie Stalker ze mnie. Dzieci bawić a nie arte-

fakta zbierać, o.

Zbiegłem po schodach na tyle szybko na ile pozwalały obkruszone stopnie i sypki gruz uciekający spod butów. Lewą ręką trzymałem się poręczy, prawą karabinu. Ja tu zaraz, kurna, pokażę... Piętro niżej pusto, na parterze pusto, w auli pusto. Kie lichy? Z satysfakcją wybiłem butem drzwi wyjścia ewakuacyjnego z auli. Przeżarte przez mole drewno trzymane grubą warstwą olejnicy rozsypało się w drzazgi. Po mgle nie było już śladu, nawet słońce jakby skuteczniej przedzierało się przez chmury. Zmrużyłem oczy i rozejrzałem się po boisku. Ani żywej duszy. Tylko zarośla i sterta połamanych ławek i krzeseł. Noż do diaska...

Poszedłem przed główne wejście do szkoły z zamiarem odwiedzenia nieboszczyka, a później sprawdzenia piwnic. Bez ostrzeżenia znowu poczułem ten ciężar czyjegoś wzroku na sobie, zadrżałem, ale szybko odepchnąłem strach nie zatrzymując się.

- Zaczekaj!

Czyjś głos dobiegł mnie zza pleców, obróciłem się na pięcie i zrozumiałem jakie uczucie mają na myśli Stalkerzy mówiąc, że mało się nie posrali ze strachu. Kilkanaście metrów ode mnie stała dziewczyna. W czarnych spodniach i skórzanej kurtce, miała ciemne proste włosy do ramion, wiatr nimi poruszał leniwie.

- Zaczekaj! - powtórzyła wyciągając rękę w moim kierunku. Serce podskoczyło do gardła, nie mogłem złapać oddechu, nogi mało się nie ugięły w kolanach.

- Stój! Nie ruszaj się! - krzyknąłem mając nikłą nadzieję, że cokolwiek tymi słowami zdziałam. Dziewczyna zrobiła krok w moją stronę. Robiła wrażenie nienaturalnie bladej i chudej, podświadomie zacząłem porównywać ją z czymś z katalogu spotkanych mutantów. Wystrzeliłem parę razy w powietrze.

- Stój mówię! Nie zbliżaj się! - głos mi drżał, nogi mi drżały, ręce bez kałacha pewnie latałyby jak w epilepsji.

- Nie! Poczekaj! Nie strzelaj! - szła co raz szybciej w moim kierunku. Utkwiła kamienny wzrok we mnie tak, że czułem jak

mnie nim przewierca. Spanikowałem...

- Odejdź! Nie zbliżaj się! - wystrzeliłem w ziemię, gdzieś między nami. Kula świsnęła w powietrzu, dziewczyna zaczęła biec w moją stronę, przycisnąłem spust, broń szarpnęła. Pierwszy strzał poleciał gdzieś w krzaki, później broń się zacięła. Zamek się na łusce zaciął? Czort wie, zrobiłem dwa kroki do tyłu, a potem świat zawirował. Zobaczyłem niebo obramowane gałęziami pokrzywionych brzoźek a następnie ciemność. Ból...

Śpiąc w popiołach - II

Obudził mnie ból, promieniujący gdzieś z tyłu głowy i zalewający całe ciało. Sięgnąłem nie bez trudu ręką do potylicy, włosy lepiły się od krwi, pod nimi guz wielkości piłki golfowej. Zdrowo musiałem przypierniczyć... Otworzyłem oczy i rozejrzałem się z trudem łapiąc ostrość. Leżałem na podłodze sali gimnastycznej z głową opartą na stopniu trybuny. Plecak leżał gdzieś koło lewego kolana, broń trochę dalej, poza zasięgiem rąk. Spróbo-

wałem wstać, ale bez powodzenia. Po chwili szamotania dotarło do mnie, że nie mam czucia w nogach. Leżałem tak przez chwilę myśląc nad tym w jak beznadziejnym położeniu się znajduję. Nawet jeżeli dopełzłbym jakoś do kałacha to nabojów mi na długo nie staczy, później skończę jako jadło tutejszej fauny, albo po prostu padnę z głodu.

- Ku*wa... To nie tak miało się skończyć... - Ogarnęła mnie bezsilność. Najgorszemu wrogowi bym tego nie życzył, a tu masz ci los. Zona nie przepuściła... Chwilę gapilem się w sufit jakbym mógł tam znaleźć odpowiedź na dręczące mnie pytania jak wyjść z tej beznadziejnej sytuacji. Cholernie beznadziejnej... Najbliższe obozy są parę kilometrów poza zasięgiem nadajnika w moim PDA, nawet nie mam jak wzywać pomocy, nie mam kogo wzywać. Trzęsąc się z przerażenia straciłem przytomność nawet nie wiedząc kiedy.

~ (@) ~

Ocknąłem się wyspany i jakby mniej obolały. W stłuczonej głowie nadal się kręciło, ale póki leżałem nie sprawiało to dużego

problemu. Otworzyłem oczy i mało nie wyskoczyłem z własnego ciała ze strachu. Nade mną pochylała się ta dziewczyna patrząc się we mnie. Nie miałem siły nawet krzyczeć.

- Ty... Czego chcesz? – Wysapałem przez ściśnięte gardło. Zamknąłbym oczy, gdyby dziewczyna zniknęła gdy znowu je otworzę, ale nie miałem złudzeń, że to zadziała. Była realna, dość realna bym poczuł chłód jej dłoni na swoim czole.

- Nie bój się, nic ci nie zrobię... Myślałam, że się nie obudzisz. Długo spałeś. – Powiedziała siadając koło mnie na stopniu.

Kiedy już otrząsnąłem się z przerażenia zacząłem składać w myślach zdarzenia, które mnie tu przywiodły. Wycieczka do Chabna, szkoła, dziewczyna, strzały i gleba. Ale spotkałem ją przed szkołą, dlaczego więc budzę się oparty o trybuny?

- Gdzie... Gdzie ja jestem? – Zapytałem rozcierając obolałą głowę.

- To sala gimnastyczna szkoły. Przyciągnęłam cię tutaj z dworu, tam psy się kręciły jakieś i nie wiedziałam kiedy wróci ci

przytomność, a gdyby zaczęło padać... - Powiedziała przepraszającym tonem. Patrzyła na mnie jakimś dziwnym wzrokiem, którego nie widziałem od miesięcy w Zonie. Co to mogło być, troska? Przynajmniej zrozumiałem od czego mnie ręce tak bołą, musiała mnie za nie zawlec aż tutaj. Gdy kątem oka dojrzałem dwie koleiny wyciągnięte w pyłe kończące się u moich stóp zrobiło mi się jej żal. Ja prawie jej nie zastrzeliłem, a ona jeszcze mi pomaga, za co, dlaczego? Nie wiem...

Pierwszy raz miałem okazję się jej przyjrzeć od czasu kiedy mało jej nie zastrzeliłem na wszelki wypadek. Była młodsza ode mnie, mogła mieć dwadzieścia lat, może mniej. Ciemnymi oczami wpatrywała się w podłogę gdzieś koło moich nóg, ciemne proste włosy spływały wzdłuż ramion. Była śliczna i to nie dlatego, że była pierwszą dziewczyną jaką widziałem od dobrych kilku miesięcy. Jak z obrazka. A ja durny nie dość, że wystraszyłem się jej na śmierć to mało jej ołowiem nie poczęstowałem. Ale głupio...

Odepchnąłem się rękoma od podłogi doprowadzając się do

pozycji bardziej siedzącej. Chwyciłem za nogawki i przyciągnąłem nogi gdy nagle poczułem w nich ból. Spróbowałem nimi poruszyć i ból się nasilił, ale nogi drgnęły. Mrowienie było trudne do zniesienia, ale świadczyło, że paraliż mnie nie dotknął. Odetchnąłem z ulgą.

- Jestem Iwo, a ty? Tak w ogóle co to ty tu robisz? – Przerwałem niezręczną ciszę.

- Ja... Ja nie wiem, nie pamiętam... - Odpowiedziała opuszczając głowę i zalewając się rumieńcem.

- Ale jak to nie pamiętasz?

- No nie pamiętam... Obudziłam się w piwnicy tej szkoły trzy dni temu i nie pamiętam nic co działo się ze mną wcześniej. Nie wiem kim jestem, co to za miejsce, co ja tu robię. Nie wiem i boję się...

- Możemy tam pójść i rozejrzeć się, może znajdziemy coś co ci pomoże. Zaprowadzisz mnie tam?

Kiwnęła potakująco głową w milczeniu. Za oknami robiło się powoli coraz ciemniej, trzeba by miejsce na obóz znaleźć albo

przynajmniej nocleg jakiś.

- Chodź, trzeba nazbierać chrustu na opał, jutro rano ruszymy na poszukiwania.

Z trudem stanąłem na własnych nogach i jeszcze zataczając się zebrałem plecak i broń. Bez słowa wyszliśmy ze szkoły i zaprowadziłem ją do bloku, gdzie spędziłem poprzednią noc. Tam nazbieraliśmy gałęzi z rosnących pod budynkiem krzaków. Dziewczyna szybko zasnęła owinięta w moją kurtkę, ja siedziałem oparty o ścianę wpatrując się w ogień i zastanawiając co z tego wszystkiego wyjdzie. Szukałem artefaktów a znalazłem dziewczynę. Artefakty można sprzedać u Sidorowicza i mieć spokój, a dziewczynę... Nie, ja nie z takich, tak nisko jeszcze nie upadłem. Trzeba więc będzie się nią zaopiekować... No nic, czas pokaże.

(@)

Znowu obudził mnie chłód. Długą chwilę stałem w oknie próbując rozgrzać skostniałe z zimna dłonie. Miasteczko pograżone było jeszcze w porannych szarościach i otulone gęstą jak

wata mgłą. Na ulicach oczywiście ani śladu żywej duszy, ani psa, nic. Nawet wiatr jakoś tak leniwie porusza gałęziami zdziuczonych krzaków. Dziwne miejsce to Chabno, niby zwyczajna opuszczona miejscina, za spokojna na Zonę, a z drugiej strony... Diabli wiedzą.

Skończywszy rozmyślania zabrałem się za rozniecenie ogniska z pozostałego chrustu. Poszło szybko i sprawnie i nawet dziewczyna się nie obudziła. Ogień przyjemnie grzał i oświeślał odpędzając lęki minionej nocy, mój cień tańczył niezmordowanie nad naszymi głowami. Zajrzałem do plecaka, wygrzebałem dwie konserwy turystyczne, paczkę nabojów do kałacha, butelkę wody i scyzoryk. Doładowałem magazynek nabojami i zabrałem się za konserwy kiedy dziewczyna się obudziła. Ucieszyłem się w duchu, że nie zobaczyła mnie z bronią w ręku, głupio by to musiało wyglądać...

- Dzień dobry, jak ci minęła noc? Przygotowuję śniadanie. Może niezbyt okazałe, ale w Zonie trudno o lepsze.

- Dziękuję, dobrze... Gdzie, w Zonie? – Zapytała przeciera-

jąc dłonią zaspane oczy.

- W Zonie, czyli inaczej Czarnobylskiej Strefie Wykluczenia. To miasteczko to Chabno a jesteśmy jakieś sto kilometrów na północ od Kijowa. Mówi ci to coś?

- Nie... To znaczy słyszałam o Zonie, ale nie mam pojęcia co mogę tutaj robić. A co ty tu robisz?

- No widzisz, kilka lat temu coś walnęło w elektrowni albo jej pobliżu i od tego czasu w Strefie zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Między tymi dziwnymi rzeczami pojawiały się fragmenty odmienionej materii nazywane artefaktami. Naukowcy z całego świata gotowi byli płacić każde pieniądze za artefakty z Zony, tylko ktoś musiał im je przynieść. Wdzierających się do Strefy nazywa się Stalkerami. Jednego z nich masz przed sobą. Masz konserwę, pewnie głodna jesteś...

Tym sposobem uniknąłem nieuchronnie wiszącej w powietrzu lawiny pytań na mój temat. No, nie uniknąłem a raczej odroczyłem, ale dobre i to. Zresztą należy się jej trochę wiedzy o mnie, ale to nie dziś...

Śpiąc w popiołach - III

Zjedliśmy śniadanie i wyszliśmy z budynku zostawiając za sobą zgaszone ognisko, ostatnie źródło ciepła i światła na tym pustkowiu. Słońce było co prawda już nad horyzontem, ale nie możliwością było odgadnięcie jego położenia. Mgły podniosły się na tyle, że tworzyły teraz kożuch tuż nad naszymi głowami. Oblepiały swoją wilgocią drzewa, płoty, mury i rozpraszały światło słoneczne odbierając mu ostatnią cząstkę ciepła. Słyszałem tylko oddech swój i dziewczyny, niosące się echem nasze kroki i trzeszczący plecak pełen dobytku. Trochę mnie martwił brak psów, które widziałem wczoraj, niemniej na wszelki wypadek broń trzymałem w ręku.

Doszliśmy do szkoły nie zamieniając słowa po drodze. Dziewczyna była chyba głęboko zamyślona, bo z lekko opuszczoną głową wpatrywała się nieobecny wzrokiem, gdzieś w nieskończoność poza kurtyną gęstego oparu. Powrót do miejsca przebudzenia pewnie nie jest dla niej miłym wspomnieniem,

ale nie widzę innego sposobu, żeby dowiedzieć się czegoś o niej niż udając się tam.

- Dalej ty mnie musisz poprowadzić, nie zdążyłem wczoraj zejść do piwnic, bo... Zresztą... Mam nadzieję, że to nie problem dla ciebie tam wrócić? – Zagadnąłem specjalnie trochę głośniejszym głosem, jakbym obawiał się, że w przeciwnym wypadku mnie nie usłyszy.
- Tak, znaczy... Nie, nie ma problemu, chodźmy. Wejście jest obok tamtego budynku. – Wskazała ręką na część administracyjną.

Obeszliśmy szkołę szybkim krokiem. Dziewczyna prowadziła nie oglądając się za siebie, ja przeciwnie, nieustannie rozglądałem się na boki wypatrując jakiegoś urojonego zagrożenia. Czułem dziwny, nieopisany niepokój, jakby coś zaczynało się na nasze głowy i czekało tylko dogodnego momentu, żeby wyskoczyć z ukrycia. Ale nic nie wskazywało, żeby był tu ktokolwiek poza nami. Zatrzymaliśmy się przed parą blaszanych drzwi umiejscowionych w asfalcie przy ścianie budynku, jedno ich skrzydło

otwarte odślaniało prowadzące w mrok strome betonowe schody.

- Tędy... – powiedziała zatrzymując się i widocznie czekając aż pójdę przodem. Przełknąłem ślinę próbując ukryć zdenerwowanie. Założyłem i włączyłem latarkę czołówkę i otworzyłem drugie skrzydło drzwi. Odpowiedziało okropnym piskiem i skrzypieniem zawiasów po czym z łomotem opadły na asfalt rozsypując wokół rdzawy pył. Spojrzałem w ciemną otchłań i zważyłem w to, czy na pewno chcę tam schodzić...

Schody były śliskie od wilgoci, na betonowych ścianach spływały kolorowe wzory zacieków, rude od rdzy, zielone od glonów, białe od soli. Strop zdobiły ciągnące się, włochate girlandy pajęczyn. Pod nogami cmokała brunatna warstwa cuchnącej ziemi z gnijącą materią organiczną ze sterczącymi gdzieś ostrymi kawałkami bladego gruzu, przypominającego połamane kości. Światło latarki niechętnie oświetlało ten ponury widok, jakby chciało oszczędzić mi oglądania go.

Schody prowadziły do krótkiego niskiego korytarza, a ten

kończył się ciężkimi drzwiami jak od schronu przeciw lotniczego. Zatrzymałem się, żeby się im lepiej przyjrzeć. Były uchylone. Zgarnięte błoto na podłodze wskazywało, że były niedawno otwierane, w przejściu zobaczyłem ślad buta dziewczyny i... Jakiś inny? Złapałem się za głowę i westchnąłem nad swoją głupotą. Teraz, jak już wszystkie ślady zdeptaliśmy, to mogę zgadywać kto to mógł być. Trzeba było od razu zwrócić na to uwagę. No nic, może nikogo nie spotkamy. Oby...

Weszliśmy do przestronnego pomieszczenia, którego podłoga i ściany wyłożone były białymi kafelkami przywodzącymi na myśl łazienkę, szpital albo rzeźnię. Na wprost prowadził korytarz ginący gdzieś w ciemności, przed nim od ściany odchodził kontuar przypominający portiernię czy recepcję. Na prawej i lewej ścianie zauważyłem parę zamkniętych drzwi.

- Zaczekaj. – Poleciałem. Dałem dziewczynie zapasową czołówkę i chwilę się zawahałem. Gdy sięgnąłem po pistolet wyraźnie się przestraszyła, bo cofnęła się o pół kroku i wbiła wzrok w broń.

- Umiesz się tym posługiwać? – Zapytałem retorycznie i od razu przeszedłem do krótkiego szkolenia. – Tu masz spust, tu masz bezpiecznik, tym przyciskiem zwalniasz magazynek jak chcesz przeładować broń. To jest zamek, po ostatnim strzale zostaje w tylnym położeniu, po włożeniu pełnego magazynka automatycznie wraca. Celujesz zgrywając to, z tym... - Kontynuowałem pokazując na muszkę i szczerbinkę. Trochę się bałem, dając jej broń, ale gdyby coś mi się stało, to może uratować jej życie. Zresztą do czego mielibyśmy tutaj strzelać...

- Broń nosisz zawsze zabezpieczoną, chyba, że powiem inaczej, strzelasz z wyprostowanej ręki, najlepiej przytrzymaj sobie drugą, o tak. Niby takie gówno, ale kopie, jak źle złapiesz to możesz sobie łokieć albo bark uszkodzić. – Zademonstrowałem pozycję strzelecką przymierzając się gdzieś w kierunku końca korytarza. – Nie strzelaj, jeżeli jestem na linii strzału, jak się skończy magazynek to najpierw szukasz jakiejś osłony i chowasz się za nią, później przeładowujesz. Jasno się wyraziłem? Trzymaj...

Kiwnęła potakująco głową i przyjęła Makarowa. Dałem jej jeszcze jeden pełen magazynek, ot tak, na wszelki wypadek. Trzymała broń z przejściem oglądając ją uważnie, ważąc w dłoni.

Podszedłem do pierwszych drzwi po prawej. Namalowany na nich symbol czerwonej błyskawicy sugerował, że znajdę za nimi jakąś rozdzielnię elektryczną. I faktycznie, kiedy już z pomocą solidnego kopniaka pomogłem sobie otworzyć zaklinowane drzwi, miałem przed sobą dużą wajchę, zapewne wyłącznik główny oraz kilkanaście przełączników i kontrollek. Kolejne grupy były opisane: ośw. 1, ośw. 2, went. 1, went. 2, mag, apar, chłod, lab. Bez głębszego namysłu chwyciłem dźwignę włącznika i podniosłem ją do pozycji załącz. Mechanizm zazgrzytał metalicznie, syknęła iskra i kontrolki rozświeciły się na czerwono. Nie spodziewałem się tego. Stałem tak chwilę oniemiały wpatrując się w delikatnie mrugające kontrolki. Stalkerze, wiesz co robisz? Coś mnie znowu podkusiło i sięgnąłem do pierwszego przełącznika od oświetlenia. Chwilę go trzymałem nie będąc

pewnym czy na pewno chcę przekręcić, ale przekręciłem. Hol napełnił charakterystyczny klekot zapalających się jarzeniówek, a ich zimny blask odbijający się w kafelkach oślepił mnie na chwilę.

- I stała się światłość! – Zaśmiałem się głośno. Jakkolwiek obecność elektryczności była dość dziwnym znakiem, nasuwającym całą masę pytań, to jednak zdecydowanie wolę zwiedzać te lochy w świetle lamp, a nie tylko skromnej latareczki. Machnąłem ręką na cicho buczącą płataninę kabli i wróciłem do dziewczyny przymykając za sobą drzwi.

- Którędy dalej? – Zapytałem.

- Drugie drzwi po lewej.

Poszliśmy tam. Pokój przypominał salę szpitalną, izolatkę. Tak jak hol i korytarz, całe pomieszczenie było wyłożone białymi kafelkami. Przy jednej ścianie stało samotnie łóżko szpitalne z wygniecionym materacem i zwiniętą w nogach pościelą, na przeciwległej ścianie, na wprost łóżka zobaczyłem okno z zasłoniętą żaluzją, do dyżurki? W kącie, obok pustego rega-

łu, leżały przewrócone dwa krzesła i jakiś statyw albo pulpit, w drugim rogu umywalka. Poza tym pusto. Powietrze tu miało jakiś dziwny zapach, trochę duchoty i wilgoci, trochę jakiś środków czyszczących. Niby nic groźnego, ale zatęskniłem za powierzchnią...

Przeszliśmy do dyżurki, nieco węższej od sali. Na drugiej ścianie było okno do kolejnej sali. Było... Przez stłuczoną szybę zobaczyłem zakrzepłe ślady krwi na ścianach, rozmazane kałuże na podłodze, porozrzucane meble, krajobraz jak po bitwie.

- O ku*wa... - Wyrwało mi się. Początkowo rutynowa wyprawa nabierała rumieńców, a jeszcze nie znaleźliśmy tego, czego szukaliśmy. Przełknąłem głośno ślinę i wróciłem do przeszukiwania pokoju. Dziewczyna stała tuż koło mnie, patrząc co robię.

W dyżurce było biurko, dwa krzesła i dwie szafki, z czego jedna przeszklona z lekami. Ta, jako pierwsza zwróciła moją uwagę. Nazwy leków stojących na górnych półkach brzmiały dla mnie obco, połowy pewnie nie umiałbym nawet wymówić...

Niżej stały środki odkażające, opatrunki, przeciwbólowe. Cenny łup, bandaże mi mogą się przydać, resztę opchnę jajogłowym za jakąś okrągłą sumkę, oni już będą wiedzieli co z tym zrobić. Drzwiczki były zamknięte, więc bezceremonialnie stłukłem je kolbą od kałacha. Kiedy pakowałem leki do plecaka, dziewczyna mnie zawołała.

- Zobacz tutaj, teczka z moim zdjęciem!

Faktycznie, w otwartej przez nią szufladzie na wierzchu leżała papierowa teczka na dokumenty. Napis w rogu głosił: AK-TA 0/X-11/03-12/031, a obok przyklejone było jej czarno-białe zdjęcie. W sumie to nie domyśliłbym się, że to ona jest na tej fotografii, wyglądała na nim jak półtora nieszczęścia, z przymkniętymi oczami i twarzą bez wyrazu, jak na prochach jakich. Brak kolorów i mdłe oświetlenie tylko potęgowały ten efekt. Sięgnąłem po teczkę i zajrzałem do środka. Tam kolejne jej zdjęcie, trochę wyblakłe legitymacyjne ze szkoły średniej chyba... W nagłówku strony znowu numer akt, niżej: Obiekt 031, a niżej już dane biometryczne jak wiek, wzrost, masa ciała, kolor oczu,

grupa krwi... Na następnej stronie wyniki badania krwi chyba, na kolejnej też coś podobnego, bo tabelki z różnymi liczbami. Dalej złożony w harmonijkę elektrokardiogram z długim zygzakiem wykreślonym niebieskim flamastrem na papierze. Na kolejnej harmonijce też były wyrysowane zygzaki, ale miały inny kształt, piki były szersze i nieregularne, było też więcej wykresów. To samo na następnej, następnej, kolejnej i chyba wszystkich pozostałych... Przyjrzałem się opisom: płat czołowy, płat skroniowy, płat ciemieniowy, ... No jasne, to EEG!

- Świetnie, pokażemy jajogłowym, to pewnie coś wymyślą. Mają tam profesorka, co jest dobry w te klocki, jak go ładnie poprosimy, powinien ci pomóc. Co tam masz jeszcze? – Zadowolony pakowałem teczkę do plecaka.

- Teczki pięciu kolejnych osób...

- Widziałaś kogoś z tych ludzi wcześniej? – Zapytałem zaciekawiony. Pokręciła przecząco głową. Pozostałe teczki rzuciłem do stojącego w kącie kubła i wróciłem do przeszukiwania biurka. Pełno było w nim różnorakich papierów. Już miałem się

skierować do drugiej szafy, kiedy dziewczyna szarpnęła mnie za rękaw w kierunku drzwi.

- Chodźmy stąd! Tam ktoś jest! – Powiedziała z szczerym przerażeniem w oczach, nie przestając ciągnąc mnie za ramię.

- Nie bój się, nikogo tam nie ma, usłyszałbym. Poza tym mamy broń, hmm? – Próbowałem ją przekonać. Poza buczeniem świetlówek i szybkim oddechem dziewczyny zasadniczo nic nie było słychać.

- Jest, czuję go, idzie tutaj...

- Ech... Ale jeszcze... A, zresztą, niech ci będzie... - Dałem się jej przekonać, ale nie byłem pewien czy postępuję właściwie. Może ona chce mnie odciągnąć od znalezienia czegoś, albo prowadzi prosto w pułapkę? Bezsens, mogła mnie wcześniej rozwalić, ma przecież mój pistolet...

- Chodź, szybciej! – Wołała mnie już z korytarza.

Kiedy wyszedłem z dyżurki zobaczyłem w głębi korytarza czyjąś sylwetkę. Zatrzymałem się, żeby się przyjrzeć. To nie mogło być przewidzenie, faktycznie ktoś szedł w naszym kie-

runku. Nie słyszałem jego kroków, bo był boso. Co to za dziwolał, boso w Zonie? Na wszelki wypadek odbezpieczyłem kałacha i odciągnąłem zamek. Metaliczny szczęk broni poniósł się echem po korytarzu. Już przymierzałem się do celowania w nieznanego, kiedy sprawy przybrały bardzo zły obrót.

Nagle usłyszałem głuchy huk i okropnie zakręciło mi się w głowie. Świadomość wróciła mi sekundy później, kiedy kałach leżał na podłodze, a ja klęcząc próbowałem się z trudem podnieść. Nastąpiło kolejne uderzenie, jakby ktoś ścisnął mi czaszkę w wielkim imadle. Zrobiło mi się ciemno przed oczami. Myślenie w takim stanie zadawało fizyczny ból, ale zdałem sobie sprawę z beznadziejności sytuacji. Wskoczył na mnie kontroler, a ja nawet nie mogłem broni podnieść, a co dopiero z niej strzelać... Przypomniałem sobie o granacie zaczepnym przyczepionym do pasa, mojej ostatniej desce ratunku w tych okolicznościach. Kiedy sięgałem po niego nastąpił kolejny cios, jakby ktoś móżg wyżył mi jak mokłą gąbkę. Leżałem już całym ciałem na zimnych kafelkach. W uszach dzwoniło niemiłosiernie. Co tak szu-

mi? Krew w żyłach, czy to dziewczyna krzyczy? Chwyciłem zębami zawleczkę i wyszarpnąłem. Ścisnąłem cytrynkę w dłoni, spodziewając się następnego uderzenia. Zamiast tego, jakby z otchłani, niósł się huk wystrzałów. Otworzyłem oczy i podniosłem się na wolnej ręce. Kontroler trafiony w ramię zatrzymał się dobre kilkanaście metrów ode mnie trzymając się za ranę.

- Schowaj się! – Krzyknąłem ostatkiem sił do dziewczyny i rzuciłem granat. W połowie zamachu przeciwnik jednak ugodził jeszcze raz, granat wypuściłem za wcześnie... Zastłoniłem głowę rękami i otworzyłem usta oczekując wybuchu.

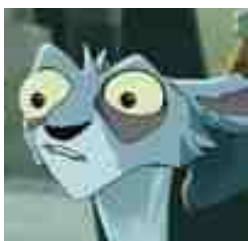
Huk był okrutny. Jeszcze czaszka nie przestała mnie boleć od ataków kontrolera a posypał się na mnie grad pokruszonych kafelków i gruzu. Zawyłem z bólu, kiedy odłamki rozcinały mi skórę ramion. Pył jeszcze nie opadł, w uszach jeszcze mi dzwoniło, kiedy dziewczyna podbiegła do mnie próbując pomóc mi wstać.

- Spokojnie, dam radę... - Skłamałem. Stojąc już na własnych nogach zatoczyłem się, oparłem o ścianę i zwróciłem

zawartość żołądka. Rany na rękach piekły jak ogień, ale jakoś nie zwracałem na to uwagi. Otarłem usta o ciemniejący od krwi rękaw.

- Dobra, wynosimy się stąd... - Wystękałem przyciągając dziewczynę do siebie. – Uratowałaś mi życie, wiesz? – Trzęsła się nie gorzej ode mnie.

Zabrałem kałacha i wróciliśmy do obozu. W drodze powrotnej nie było już mgieł, świat jakby nabrał trochę kolorów, nawet parę ulic dalej czekały psy. Otarłem się o śmierć, ale żyłem. Żyłem i czułem, że żyję.



Valentino

Frakcja: Naukowcy

Degradacja

Popuszczenie wodzom wyobraźni - na pewno nie każdemu taka forma i wymowa tekstu, sposób jego prowadzenia przypadnie do gustu. Miłej lektury... Oby xP

„Degradacja”

„Nie ma widoku bardziej przerażającego, upodlającego i żałosnego niż widok człowieka uciekającego przed własnymi demonami.”

1

Zbudził mnie ogłuszający huk.

Półprzytomny poderwałem się z materaca i jednym susem dopadłem leżącego pod kaloryferem rewolweru.

Czając się pod oknem próbowałem ustalić, co spowodowało ów tępy grzmot, który wyrwał mnie ze snu. Początkowo myślałem, że to bomba lub granat, z czasem jednak, w miarę powracania z otępienia do pełnej sprawności wszystkich zmysłów, byłem niemal pewny, że był to huk anomalii. W przypadku zaatakowania obozu czy chociażby rozlegnięcia się w dalekim sąsiedztwie pojedynczego strzału natychmiast rozległby się w nim alarm.

To nie mógł być wybuch granatu...

Podświadomość dopuściła do mnie jednak jedną potworną wizję – a jeśli była to dywersja? Co, jeśli strażnicy magazynu leżą z poderżniętymi gardłami, a mający przed chwilą miejsce wybuch miał jedynie rozpocząć serię eksplozji podłożonych przez skrytobójców ładunków, które w konsekwencji zmiotłyby z po-

wierzchni ziemi cały obóz?

Jeśli jeden jest niedaleko, dom się zawali, a na mnie runie gruz – czeka mnie więc powolna śmierć w męczarniach...

Uderzając pięścią w ścianę, co było pewnego rodzaju zrywem, wyrwałem się z ciągu czarnych, absurdalnych myśli o swoim losie. Traciłem nad sobą kontrolę – jeszcze tydzień temu nawet nie przyjąłbym się jedną silnie negatywną myślą, teraz, co gorsza nieświadomie, pogrążałem się w niemalże trans polegający na wyobrażaniu sobie siebie cierpiącego okropne katusze kończące się wybawczą, bo uwalniającą od bólu śmiercią. Tracąc nad sobą kontrolę, wpadałem w wir samo upodlenia i autodestrukcji.

Traciłem wolę przetrwania.

Sama egzystencja przestała być dla mnie specjalnie pociągająca i sensowna – to zaś, w połączeniu z ciągłym stresem wiążącym się z przebywaniem w miejscu takim jak Zona, powoli wpędzało mnie w obłąd.

-Ludzie! Zbierajcie szmal!!! – za oknem rozległ się radosny, dzi-

ki wrzask.

Przestałem myśleć o moich ostatnich niepokojących zachowaniach, notując sobie jednocześnie w myślach, bym później zajął się tym problemem. Choć blisko było mi do całkowitej obojętności wobec swojego losu, jeszcze zależało mi na tym, żeby żyć. Jeszcze się nie poddałem.

Jeszcze nie.

Lewy bark, którym przywarłem do ściany, zdążył mi już zdrętwieć, wyprostowanie się więc sprawiło mi nieco kłopotów. Kiedy w końcu to zrobiłem, zabezpieczyłem rewolwer, wciąż jednak trzymałem go w ręku.

Stojąc plecami do okna, zauważyłem cienie tańczące na wpadających przez nie promieniach słońca. Miały drobny, postrzępiony kształt – przypominały spopielone gazety lub ich pourywane strony, unoszone chwilowo przez wiatr, po czym swobodnie opadające w dół, niczym spadające z drzew liście.

Odwrociłem się o sto osiemdziesiąt stopni i natychmiast pożałowałem tej decyzji.

Szybę znaczyło kilkanaście małych kropel krwi, nad którymi górował szkarłatny, przypominający swoim kształtem ranę ciętą, rozprysk. Krwawe drobiny zmieniały co chwila swoją barwę, będąc zasłanianymi przez migoczące cienie.

Cienie prawdziwego deszczu, niemalże wiszącej w powietrzu, chmury postrzępionych banknotów.

Dziesiątki, nie, setki banknotów o identycznym nominale pięciu-set hrywien wirowały w górze – o zwęglonych bokach, zakrwawionych powierzchniach, niektóre stanowiące jedynie połowę, czasem nawet nie ćwierć, całego banknotu. Nieliczne w całości, z błogim spokojem, opadały na ziemię, inne zaś zostały zmielone w drobne kawałeczki, niektóre nawet w pył. Rój pieniędzy, który zdawał się brać udział w góry zaplanowanym układzie, majestatycznie przesłaniał świecące mocno słońce.

Widok ten był przerażający i niesamowity – przerażała ilość pieniędzy, jaka uległa zmarnowaniu, ale i ta część, która nie uległa zniszczeniu i była na wyciągnięcie ręki. Mogłem otworzyć okno i spróbować wyłowić niektóre z banknotów wirujących w powie-

trzu, korzystając z zamieszania, które miało zaraz nastąpić, z tłumem stalkerów, który zaraz zbiegnie się przy chmarze pieniędzy.

W jakby centrum owego niezwykłego układu znajdował się cały jego autor, sprawca – leżący na boku, nieżyjący już stalker z urwanymi przy samym pasie kończynami, które przerobione przez anomalię w krwawą miazgę, leżały metr dalej. Niedoszły rabuś oburącz kurczowo ścisnął rozerwaną w pół skórzaną torbę, z której niczym wnętrzości wypatroszonego zwierzęcia, wysypało się jeszcze całkiem sporo pieniędzy. Te, co dziwne, miały inny nominał niż wirujące nad trupem hrywny – poznałem wśród nich między innymi euro, ruble, polskie złote i dolary.

Kolejny złodziej, niedoszły sprawca udanego rabunku na skarb-
cu frakcji.

Uchyliłem okno i wyjrzałem przez nie w lewo, gdzie znajdowało się centrum obozu.

Tłum stalkerów z prawdziwym obłędem w oczach, dziką chęcią łatwego zysku, rzucenia się niczym zwierzęta, na pieniądze, na-

cierał w moją stronę. Żądza ta widocznie przyćmiła ich umysły na fakt, iż złodziej wpadł w anomalię, która urwała mu nogi. Nie obchodziło ich, że sami mogą w nią wdepnąć i podzielić los martwego stalkera.

Łatwo dostępne pieniądze, sumy, które dla zwykłych mieszkańców Zony mogły pozwolić na przekupienie granicznych strażników i jej opuszczenie, pieniądze, na których nawet nie jedną dziesiątą część sami muszą pracować, ryzykując życie, były ważniejsze. Desperacja osiągnęła szczytowy poziom – każdy ze stalkerów wołał zostać bezboleśnie rozerwany na strzępy przez anomalię i z tą świadomością zaryzykować, chapnąć trochę grosza, niż później żałować zaniechania, braku podjęcia chociażby próby odwrócenia swojego losu.

Kiedy tłum znalazł się około dziesięciu metrów przed pieniędzmi, z lewej nadbiegło kilkunastu wojskowych, którzy oficjalnie stanowili jedno z ramion zbrojnych frakcji. Kilku z nich stanęło obok, pod ścianą jednego z baraków, czterech z liczącego kilkunastu ludzi oddziału, wkroczyła w chmurę pieniędzy, któ-

ra zdawała się zwisnąć w powietrzu, niczym pszczelarze w rój owadów. Stojący przy rogu baraku żołnierz rzucił mi wyzywające spojrzenie, gestem ręki pokazując jednocześnie, żebym zamknął okno.

Natychmiast usłuchałem – zamknąłem okno wolną ręką tak gwałtownie, że jego szyba aż zadygotała i przez chwilę byłem pewien, że w końcu pęknie. Mimo, iż okno było zamknięte, miałem doskonały obraz całej sytuacji – tłum stalkerów i wojskowych dzieliła bardzo niewielka odległość.

Jeden z ubezpieczającej ciało złodzieja żołnierzy uniósł karabin w górę i oddał z niego krótką serię.

Tłum stanął jak wryty. W ich oczach, zaślepionych chęcią łatwego zysku, na chwilę pojawił się strach.

Około dziesięciu wojskowych, tych stojących pod barakiem, wyszło naprzód, swoją postawą i zachowaniem jednoznacznie dając do zrozumienia tłumowi, że nie zawaha się go wystrzelać – każdy z żołnierzy miał teraz za zadanie dostarczyć z powrotem do sejfu jak największą sumę, która ostała się ze zrabowanych

pieniędzy.

Trwała próba sił – tłum mierzył się spojrzeniem z oddziałem wojska; niczym biorący udział w pojedynku gladiator czekał na pierwszy ruch swego rywala.

Ku mojej uciechu, tłum zrezygnował – wizja, iż zostanie wybity w pień przez wojsko była dużo okrutniejsza w swojej prostocie niż ewentualność wpadnięcia w anomalię i przemówiła im do rozsądku. Zrezygnowany, z wyrazem gorzkiego rozczarowania, powoli zaczął się rozchodzić.

Nagle jeden, jedyny stalker odwrócił się na pięcie i sprintem ruszył w stronę okaleczonych zwłok. Były niemal całkowicie przykryte przez banknoty, które zdążyły już co do ostatniego opaść w dół.

Dowodzący oddziałem zorientował się, co jest w zamiarze stalkera. Wyjął z kabury wielki, czarny pistolet, wycelował nim przed siebie i jednym, nieludzko celnym strzałem uśmiercił zmierzającego ku zrabowanym pieniądzom mężczyznę. Ten padł głucho na ziemię, huk wystrzału zaś zwrócił uwagę tłumowi.

Mierzył wojskowych morderczym, wyzywającym od największych oprawców spojrzeniem. Żołnierze, całkowicie się tym nie przejmując, szybko ustalili położenie anomalii, po czym przy wzajemnej asyście w obserwowaniu zachowania tłumu, zebrali pieniądze do foliowego worka. Pozostawili po sobie jedynie kilkanaście, nic nie wartych strzępów – szanse, że wśród całego tego bałaganu znajdowały się całe banknoty, była nikła. Dowódca oddziału wydał rozkaz, po którym powoli, wraz ze swoimi podkomendnymi, oddalił się w stronę kwatery dowodzenia frakcji.

Noszony przez jednego z żołnierzy worek pieniędzy skupiał na sobie uwagę zgromadzonych stalkerów. Ostatecznie żaden z nich nie podjął jednak próby na jego odbicie – każdy, co do jednego, pozostawiając jednocześnie pasożytom ciało swojego kolegi, ze smutno spuszczoną głową poszedł w swoją stronę. Cały spocony i zszokowany, z rewolwerem ślizgającym się w mokrej dłoni, usiadłem na materacu.

Po raz pierwszy w całym moim stalkerskim życiu, w ciągu dzie-

sięciu lat przebywania w Zonie, zostałem zniesmaczony jej okropieństwem. Zdałem sobie po raz pierwszy sprawę, że tak być nie może, że coś jest tu nie tak.

Przed wszystkim jednak poczułem, że nie jest to miejsce dla mnie.

Muszę się stąd wydostać.

2

– On biję cię na głowę. Ty jesteś na prawie samym końcu łańcucha ewolucji, on osiągnął niemal szczytu. Ty byś granatnikiem przeciwpancernym szczura nie zabił, on podrzynał gardła rozwścieczonym, wygłodniałym psom! Ty...

Adam urwał, czknął, po czym zwałił się pod stół. Towarzystwo w barze rzuciło na niego spojrzeniem, po czym mruczając coś pod nosem o jego złych alkoholowych nawykach, wróciło do prowadzonych rozmów.

– Podnieść go? – spytał mnie Mikołaj.

– Nie... – rzuciłem. – Niech leży.

– Często się upija?

Sięgnąłem pamięcią wstecz.

– Odkąd go okradli, z dwa razy na tydzień.

– A czy... – Leon zdawał się ugryźć się w język. – A co mnie obchodzi jakiś pijak? – rzekł gorzko, zapowiadając zmianę tematu. – Zajmijmy się czymś naprawdę ważnym.

– A więc... – odłożyłem kieliszek na bok. Ta rozmowa wymagała pełnej trzeźwości umysłu.

Mikołaj postawił na stoliku wielką, skórzaną teczkę, odpiął oba jej zatrzaski i zaczął szukać czegoś wśród mnóstwa teczek, aktówek i luźno zbitych ze sobą dokumentów.

Obserwowałem go przez chwilę i nagle zdałem sobie sprawę z tego, co przed zapadnięciem w pijacki sen, mówił Adam. Mikołaj zaiste, bił mnie na głowę pod każdym względem.

Będąc stalkerem przed dziesięć lat czułem się prawdziwym weteranem Zony – myślałem, że niewielu wśród ogólnej społecz-

ności Strefy cieszy się takim uznaniem, jak ja; ludzie mówili o mnie, o moich wyczynach, często niezwykłych, zwykle jednak chwalono mnie za to, jak radziłem sobie w tym „państwie w państwie”.

Podziwiali moją wytrwałość i wolę walki – fakt, iż wybierałem się w niebezpieczne zakątki nie raz dwukrotnie w ciągu dnia, często wracając z niczym, tracąc zaś bardzo wiele. Niektóre z takich sytuacji trwale utkwіło mi w psychice – przykładowo, wypad do dzielnicy przemysłowej dwa lata temu, podczas którego miałem zamiar zapolować na mutantą. Nim jakiegokolwiek znalazłem, zostałem otoczony przez bandytów, którzy okradli mnie z absolutnie wszystkiego, poważnie pokieraszowali, kazali mi rozebrać się do naga, by w końcu pozbawić mnie przytomności i zostawić w jednym z napromieniowanych hangarów.

Nie wiem jakim cudem, nie zauważyli jednak szpetnego symbolu zdobiącego moje prawe ramię. Jeśli tak by się stało, prawdopodobnie ze wściekłości zatłukliby mnie na śmierć.

Zbliżała się zima, było zimno i wietrznie – kiedy się ocknąłem,

miałem wrażenie że skuł mnie lód – byłem sztywny niczym głaz, bezwładny i odrętwiały.

Ten jeden jedyny raz byłem całkowicie bezsilny i we władzy losu, który tego razu się do mnie uśmiechnął. Zostałem uratowany przez dwóch rodzonych braci, razem przebywających w Zonie od niedawna. Sposób, w jaki mnie potraktowali, na krótki czas przypomniał mi o istnieniu rzeczy zwanej dobrem. W tydzień doszedłem do siebie.

Przez następny tydzień kolejno lokalizowałem i eliminowałem napastników – każdy z nich skończył z obciętą ręką i kulą w głowie.

To był naprawdę trudny miesiąc.

– Już prawie to mam...

Ten wyczyn jednak, podobnie jak cały mój stalkerski dorobek, był niczym w porównaniu do rzeczy, jakich dokonał Mikołaj. Od wielu lat pracował dla rządu Ukrainy, był jednym z czołowych przedstawicieli ich głównego obozu w Zonie, w 2001 roku startego z powierzchni ziemi, później jednak odbudowanego, funk-

cjonującego do dzisiaj. Mikołaj był człowiekiem od wszystkiego – strzelał i walczył wręcz nie gorzej niż członek elitarnej jednostki wojska, był wyjątkowo inteligentny, sprawny fizycznie, znał się na informatyce, materiałach wybuchowych, technikach przesłuchań – swoją osobą mógł zastąpić tuzin ludzi o różnych specjalizacjach. Przy całej tej mądrości i umiejętnościach był jednocześnie wielkim stalkerem.

Nie była to wiedza dla każdego, ja znalazłem się jednak wśród tej wąskiej grupy, która znała skład pierwszej drużyny stalkerów, którzy zdołali przetrwać okropieństwa prypeckiego szpitala. W Zonie szpital był mitem – wystarczyło rzucić o nim słowo, by milkły rozjuszony tłumy; miejsce to urosło do rangi niemal legendy, potwierdzenie zaś, że kilku stalkerów przebyła w nim kilka godzin czasu i zdołała się z niego wydostać, tchnęło nowe życie w stalkerską społeczność.

Nikt nie powtórzył jednak heroicznego wyczynu grupy, w której znajdował się między innymi Mikołaj i jeden z najgorszych w historii Zony zwyrodnialców, Łazarz Niemierow.

Patrząc na przeszukującego teczkę Mikołaja czułem się jak w obecności Jeżozwierz – legendy, osoby kultowej, prawdziwej osobowości.

– Mam. – powiedział z ulgą, kładąc na stole kilka odwróconych wierzchem do góry kartek. Zamknął teczkę i postawił ją obok siebie, po czym przeciągnął stos kartek ku sobie, odwrócił je w sposób, w jaki pokerzyści umieszczają w talii nowe karty.

-Łukasz Aryndejski...

Sposób, w jaki wypowiedział moje imię i nazwisko, przypomniał mi szkolne lata.

– Nudzi mnie czytanie takich pierdoł jak twoja dotychczasowa kariera w Zonie. Nie każdy zasłuży sobie u nas na kartotekę jako stalkera – ty widniejesz raczej w ogólnym spisie, nie mamy o tobie zbyt wielu informacji. Twoje akta osobiste, które niejako rozstawiłeś przez pięcioletnią odsiadkę, są w tej sytuacji bezużyteczne. Granica między człowiekiem przed, a po przebywaniu w Zonie jest zbyt płynna. Niektórzy po przeżyciu w niej kilku lat zmieniają się tak diametralnie, że

nie można poznać ich nawet na dawnych zdjęciach. Pewne rzeczy się jednak nie zmieniają – wiesz, co mam na myśli? Pokręciłem przecząco głową, czując jednak niepokojący ścisk w dołku.

Mikołaj nachylił się do przodu i spojrzał mi prosto w oczy.

– Zona jest anonimowa. Wielu próbuje załapać się na legalny wyjazd, wielu podszywało się pod sławnych stalkerów, żeby uciec z Zony tak, jak ty usiłujesz w tej chwili. Dowiadywało się przez to rzeczy, których nie powinny wiedzieć – jeśli typowy stalker, który trafił do Zony przez swoją głupotę, podszyje się pod Łowcę i dowiadyuje się przykładowo o działalności Gomeza, my, ośrodek rządowy, mamy przez to poważne problemy. Zweryfikuj się. Tatuaż.

Moje ciało przebiegł silny, niepokojący dreszcz.

-A jeśli ktoś go zobaczy?

Mikołaj wstał z krzesła i stanął po mojej prawej stronie, skutecznie zasłaniając mnie przed większością klientów baru.

-Pokazuj. Widzę w tobie dobry materiał na kogoś, kto miałby się

zająć tą sprawą, poza tym słyszałem, że naprawdę ciągnie cię do domu i...

W gniewny i agresywny sposób zacząłem podwijać prawy rękaw swetra. Zatrzymałem się w zgięciu łokcia, rozejrzałem się dookoła chcąc się upewnić, że nikt nie zobaczy tatuażu. W końcu zdobyłem się na odwagę i podwinąłem sweter pod same ramię. Poczułem wstyd.

W skórę na moim prawym bicepsie, niczym wypalony przez hodowcę na byczym cielsku symbol, na stałe wryta była czarna swastyka.

Mikołaj spojrzał na nią z zaciekawieniem, sprawdził, czy nie jest tymczasowym malunkiem wykonanym na potrzeby mistyfikacji. W końcu dał mi znak, żebym zasłonił tatuaż, co uczyniłem z niewyobrażalną ulgą.

-Nieprzyjemną część mamy z głowy. – odetchnął Mikołaj, zajmując swoje miejsce. – Jak każdy stalker podejmowałeś się pewnie niejednej roboty. Zapytam wprost – zabijałeś na zlecenie?

W głowie przemknęło mi kilka obrazów. Bardzo nieprzyjemnych i teraz, kiedy żywiłem obrzydzenie do Zony, wstydliwych. O tak, miałem bardzo wiele grzechów na sumieniu.

Ten jeden raz będę się musiał po części wyrzec siebie.

-Tak. – odpowiedziałem.

Odpowiedział mi nieprzyjemnym, niepokojącym uśmiechem.

-Nic specjalnego, nic za bardzo trudnego, przynajmniej dla ciebie, a nie wolno ci w to wtajemniczyć nikogo, choćby miał załatwić ci broń. Działasz absolutnie sam.

Umilkł, po czym przybrał wyraz twarzy, jakby przypominał sobie ważne szczegóły, instrukcje, którymi chciałby się ze mną podzielić.

Ostatecznie nie odezwał się słowem – zmielił kartkę z moimi danymi, schował ją do kieszeni, wstał, zasunął za sobą krzesło i podniósł teczkę.

Ruszył do wyjścia. Już miałem zamiar zagrozić mu drogę i narzucać za jego dziwne zachowanie, Mikołaj jednak zatrzymał się tuż obok mnie, położył rękę na ramieniu, po czym nisko na-

chylił i szepnął do ucha:

-Za dwa dni o drugiej w nocy w szkole muzycznej. Wszystkich.

3

Po wyjściu z baru przeszył mnie wyjątkowo chłodny wiatr, tak mocny, że zgrzytnąłem zębami z zimna. W okolicy nie było śladu Mikołaja – prawdopodobnie oddalił się z obozu samochodem, mógł też zejść do któregoś z pobliskich domów – bardzo możliwe, że miał jeszcze inne sprawy do załatwienia.

Nie dał mi żadnych konkretów. Szedłem w ciemno – znałem tylko datę i miejsce, o którym wiem bardzo niewiele, gdyż na przestrzeni lat spędzonych w Zonie starałem się unikać Prypeci. To miejsce mnie przerażało i naprawdę nigdy nie przyszedłby mi do głowy pomysł, by dokładnie przeszukać któryś z tamtejszych budynków. Radioaktywne lasy, podziemia, jaskinie – wszystko to nie stanowiło dla mnie większej przeszkody, Prypecć jednak była dla mnie zbyt dużym wyzwaniem. Wewnętrzny opór nie po-

zwalał mi przebywać tam zbyt długo.

Teraz jednak nie miałem wyjścia. Moja determinacja, chęć wyrwania się z tego piekła była tak duża, że gotów byłbym nagi i bez żadnej broni udać się do szpitala.

„Piekła”

Zaskoczyłem sam siebie, używając tego określenia. Jeszcze nie tak dawno śmiałem się z ludzi, którzy określali Zonę takim mianem – nazywałem ich tchórzami, ludźmi nie potrafiącymi się przystosować do otaczających ich realiów, nie potrafiącymi wziąć się w garść. Teraz, samemu używając tego określenia, poczułem silny wstyd, ale i ulgę. Choć moja wizja Zony od dzisiejszego poranka zaczęła się zmieniać i musiałem „dojrzeć” do jej nowego obrazu, ostatnie dziesięć lat życia wydało mi się pewnego rodzaju wegetacją. Cieszyłem się z wizji porzucenia stalkerskiego rzemiosła, opuszczenia Zony; czułem się jak skazaniec po długim, ciężkim wyroku – na pewien czas przymuszony do zmiany swoich poglądów i zachowań, spuszczonego na dno moralności, by przeżyć pewnego rodzaju szok i móc się od tego

dna odbić tak wysoko, by znaleźć się na szczycie. To, co jeszcze niedawno uważałem za piękne, cała moja egzystencja w przeciągu ostatnich lat, poczynawszy od znalezienia się w Zonie, z której byłem dumny, teraz zaczęła mnie dołować, wręcz przyprowadzała mnie o poczucie winy, moralnego kaca.

Jak mogłem zmarnować taki kawał życia?

Kiedy pewne etyczne i moralne bariery, których odnowę rozpocząłem od początku dzisiejszego dnia, zaczęły pękać i pozwoliły mi na tak diametralną zmianę swojego wnętrza? Który wniosek przyczynił się do zmiany mego nastawienia – od kiedy zacząłem zabijać bez żadnych skrupułów, często w iście ohydny sposób i dla równie ohydnych celów?

Teraz, z upływem czasu, całkowicie straciłem w tym rachubę, w końcu uświadomiłem sobie, że nie na tym powinienem się skupić – ważne jest, że ta paskudna zmiana zaczęła się odwracać, „odkręcać”, że wracam do poprzedniego stanu ducha.

Zabicie nieznannej mi jeszcze ilości osób w prypeckiej szkole muzycznej.

Jeszcze wczoraj powiedziałbym o tym „Kolejne zadanie, kolejna porcja satysfakcji z jego wykonania i kolejne wynagrodzenie, które pozwoli mi godziwie pożyć do czasu znalezienia następnego zlecenia”.

Dziś mówię „Ostatnie w życiu wyrzeknięcie się siebie i długo oczekiwany koniec tego koszmaru”.

Udałem się do północnej części obozu – w schowanym tam pomiędzy dwoma warsztatami budynku znajdował się mój osobisty sejf, w którym trzymałem wszystko – od broni poprzez artefakty i pieniądze, na osobistych pamiątkach skończywszy.

Zdjęcia.

Byłem pewny, że teraz, w trakcie następującej we mnie przemiany, będę patrzeć na nie z zupełnie innej perspektywy.

4

W budynku było wyczuwalnie cieplej, niż na zewnątrz – była to zasługa stojącego w rogu pokoju parowego grzejnika.

Zamknąłem drzwi i nie odpowiadając na przywitanie Aleksego, bez słowa skręciłem w prawy korytarz. Był wąski na niecałe dwa metry i ciągnął się na ponad dwadzieścia – przejście dalej było zablokowane przez anomalię. Ściany miał pomalowane w kolorze zielono-białym, z podłogi zerwano wszystkie niegdyś zdobiące je płyty linoleum, na suficie zaś ciągnął się długi pas lamp, z których zapalona była obecnie jedna, ta najbliższej anomalii.

Mijałem umieszczone po lewej stronie korytarza drzwi – każde oznaczone było innym numerem i prowadziły do odrębnego magazynu – wszystkie z nich mogły zostać za odpowiednią opłatą wynajęte na dany okres czasu. Osoby, do których tymczasowo należały mogły korzystać z nich na wszelkie sposoby – trzymać tam swój dobytek, broń, sejfy, sprzęty elektroniczne i tym podobne, a nawet korzystać z pomieszczenia w ramach „pokoju” – przebywać w nim ile się chciało i nocować. Wielu nazywało magazyn Aleksego „drugą Polisią”.

Zatrzymałem się przy drzwiach opatrzonych numerem 10.

Budziły we mnie bardzo nieprzyjemne wspomnienia.

Klucz do nich, który znajdował się w tylnej kieszeni spodni, zdawał się nagle nieprzyjemnie ciążyć, jakby przybrał na wadze cały kilogram. Miałem również wrażenie, że bije od niego fala gorąca, która zaraz dosłownie mnie poparzy.

Jakimś cudem zdołałem wyrwać się z otępienia i uciec od „dzięsiatki”.

Mimo chwiejnego kroku i zawrotów głowy dotarłem do mojego „apartamentu”, magazynu z numerem 15. Włożyłem rękę do kieszeni kurtki i zacząłem szukać odpowiedniego klucza spośród wielu, wypychających kieszeń po brzegi, śmieci. W końcu go znalazłem – stary, lodowato zimny i błyszczący mimo wielu szpecących jego powierzchnię rys. Wepchnąłem go w zamek drzwi, przekręciłem dwa razy w prawo, wszedłem do środka, po czym rzuciłem go na materac.

Zamknąłem za sobą drzwi i zapaliłem światło, uderzając machinalnie w znajdujący się na wysokości klamki przełącznik.

Nic. W pomieszczeniu nadal było nieludzko ciemno – z chwi-

lą zamknięcia drzwi nie docierało do niego żadne wypełniające korytarz na zewnątrz światło.

Poirytowany uderzyłem w przełącznik jeszcze dwa razy. Nadal żadnego skutku.

Westchnąłem gniewnie, położyłem lewą dłoń na przycisku i zacząłem go non stop wciskać, w górę i w dół, z nadzieją, że żarówka w końcu zaskoczy.

Nie zaskoczyła.

Wściekły grzmotnąłem pięścią w przełącznik.

Żarówka huknęła jak przy krótkim spięciu, rozświetlając na ułamek sekundy pokój mdłym, niebieskim, elektrycznym blaskiem. Zdołałem ujrzeć wnętrze pokoju i widok ten przeraził mnie tak bardzo, że zemdlałem.

Był pusty – nie znajdowała się w nim żadna z moich rzeczy, nie było szafy, sejfu, śpiwora i materaca. Ściany pełne były zaschniętych, osobiwie błyszczących w świetle wielkiej iskry, krwawych skrzepów. Na każdej z nich wisiało krystalicznie czyste lustro, odbijające w swojej gładkiej tafli ten sam widok, uka-

zany z różnych perspektyw.

Dokładnie pośrodku trzech luster ze sufitu na grubym, trzeszczącym sznurze zwisały zwłoki – gołe, poznaczone ranami ciała, odwrócone do mnie plecami. Nie zapamiętałem niczego poza wzrostem i kolorem skóry ciała oraz faktu, iż nieszczęśnik miał całkowicie łysą, naznaczoną guzami, głowę.

Z lustra naprzeciwko mnie spoglądało na mnie nienaturalnie białe, przekręcone w pionie w wyrazie agonii i bólu, oko.

Ocknąłem się.

Czułem wewnętrzny strach przed tym, żeby otworzyć oczy. Bałem się czegoś.

Lęk wzmógł się, kiedy zdałem sobie sprawę, że coś uciska mi szyję.

Wpijający się w skórę, gruby, cuchnący potem i skrzepłą krwią, sznur. Suchy, twardy jak z drewna bezlitośnie cisnął mi szyję.

Wstrząsnęły mną silne dreszcze. Stałem na czymś niestabilnym.

Zebrałem w sobie dość siły, by w końcu rozszerzyć powieki.

Byłem w śmieszne wąskim... pokoju? Nie mogłem nazwać tego pokojem – pomieszczenie miało niecałe pół metra, przypominało raczej wnętrze rury, pionowego kanału. Panował w nim półmrok rozświetlany przez mdłą poświatę księżyca – nie wiedziałem, jak wpadała do środka, prawdopodobnie jednak za moimi plecami znajdowało się okno lub spora dziura w murze.

Ściany były wilgotne i wiało od nich chłodem, sprawiały wrażenie niesamowitej wilgoci, która parowała z ich powierzchni i czyniła w środku zaduch porównywalny z wnętrzem łaźni parowej. Drobnny pył zmieszany z kurzem wisiał w powietrzu, majestatycznie uwydatniany przez światło księżyca.

Te oświetliło również niewielki kołek, na którym stałem. Miał wysokość dziesięciu centymetrów i choć zrobiony z wyglądającego na solidne, drewna, nie wydawał się zbyt stabilny. Wręcz czułem w stopach, jak powoli próchnieje i zbliża się ku całkowitemu załamaniu pod moim ciężarem, skazując mnie na upokarzającą śmierć. Za wszelką cenę próbował bym oprzeć

się końcami butów o podłogę, zapierałbym się rękoma i nogami o tak blisko położone mnie ściany, walcząc o przetrwanie.

W końcu jednak straciłbym siły i powoli się udusił.

Ręce. Nie skrępowano mi ich.

Dramatyzm sytuacji na kilka sekund wyostrzył mi wszystkie zmysły. Myślałem szybciej, niż kiedykolwiek. Kołek zaczął głośno trzeszczeć, początek mojej śmierci był bliski.

Po omacku wyrwałem z zapiętej na udzie kabury nóż i machnąłem nim w stronę sznura, z którego zwisałem.

Moją twarz oblała rzadka, oleista ciecz, cały jej strumień wylał się na mnie, jak z przechylonego gwałtownie wiadra.

Spadając w dół, znów czując, że tracę przytomność lub wchodzę w następną fazę traumy, o ile wszystko było to koszmarnym snem, ujrzałem drobną, biały kwadrat w górze. Kawałek nieba widoczny u wylotu tego wąskiego pomieszczenia.

Stały nad nim trzy osoby – trzy owalne głowy były nisko pochylone w dół i najwidoczniej bacznie mnie obserwowały.

5

Pianino.

Ktoś grał na pianinie.

W młodości interesowałem się muzyką klasyczną, pianino zaś było moim ulubionym instrumentem – jeździłem po kraju na rozmaite koncerty, miałem półki pełne płyt z muzyką Chopina, Mozarta i innych mistrzów światowej sławy. Znałem się na tym, miałem na koncie nawet trzy artykuły pewnym specjalistycznym, zajmującym się muzyką poważną, piśmie.

Osoba, która zbudziła mnie uderzaniem w klawisze instrumentu, była niewątpliwie wielkim wirtuozem. Piękno gry, jaką tworzył, docierało do mnie stopniowo – taką miałem „muzyczną duszę”, niejednokrotnie musiałem usłyszeć coś kilkanaście razy, by móc to docenić, tak było też tym razem – muzyka stawała się piękniejsza z sekundy na sekundę, wprawiała mnie stopniowo w jakieś duchowe uniesienie.

Zdając sobie sprawę z tego, że leżę na podłodze, wciąż nie

otwierając oczu, dźwignąłem się na lewym ramieniu.

Kiedy pianista wykonał pauzę, przetarłem oczy, otworzyłem je i rozejrzałem się dookoła.

Księżyc musiał być skryty za chmurami, gdyż znajdowałem się w absolutnej w ciemności – czerń była nieprzenikniona aż do framug pokoju, z którego na korytarz, jak się okazało, wąski na jakieś trzy metry, wylewało się mdłe światło. Ogień – w pokoju tym musiało się coś palić.

Miałem wrażenie, że to z tego pokoju rozgrywała się cudowna gra na pianinie.

Zdałem sobie sprawę, że jestem w szkole muzycznej. Nawet nie próbowałem dociec, jakim cudem się w niej znalazłem, jak się domyślałem, dokładnie o drugiej w nocy zaraz po tym, jak zemdlałem w wynajętym przeze mnie magazynie.

Coś we mnie pękło. Jak zahipnotyzowany czarodziejską melodią, wstałem i machinalnie sięgnąłem lewą ręką za plecy, wymacałem kolbę broni, później pas nośny – chwilę później trzymałem skróconego SIG'a w rękach. Nie obchodziło mnie,

jak znalazł się na moich plecach ani czy jest chociażby załadowany – panowało we mnie jakieś przeświadczenie, potężna, wciąż nie odkryta przez moją świadomość pewność, która kierowała mnie niczym nadnaturalne moce kierowały ciałem opętanego.

A jeśli byłem opętany?

Stąpałem powoli, wbrew własnej woli – czułem, że jedyne, nad czym mam teraz panowanie, to wczuwanie się w wypełniającą pachnący pleśnią i kurzem korytarz, muzykę. Zdawała się trzymać mnie w ostatnich ryzach zdrowych zmysłów, działając niczym ostatnia lina asekuracyjna podczas długiego upadku w dół. Gdybym nie mógł skupić się na pięknie tejże muzyki, tajemnicza siła, która właśnie mną kierowała pozbawiłaby mnie wszelkiej świadomości. Byłbym jak zombie.

Zbliżyłem się do przejścia w lewo i przywarłem doń, nasłuchując. Trzaski ognia, płonących w ich gałęzi i wyskakujących na zewnątrz iskieł. Co dziwne, muzyka nie była głośniejsza, jakby miała swoje źródło gdzie indziej; mogłem się też wczuć w nią

tak bardzo, że niektóre granice jej odczuwania uległy zatarciu. Brzmiała bezpośrednio w mojej głowie.

Odkleilem się od ściany i susem wpadłem do środka. Gdyby nie to, że nie panowałem nad swoim ciałem, byłem jedynie „obserwatorem samego siebie”, krzyknąłbym z przerażenia.

Przy prawej ścianie starej szkolnej klasy rzędem stało około sześciu mężczyzn – wszyscy mieli związane ręce za plecami, nogi rozstawione szeroko, czoła zaś bezwładnie oparte, niemal wbite w ścianę, jakby stali w takiej pozycji od dłuższego czasu. Wyglądali jak jeńcy czekający na rozstrzelanie.

Z lewej, na środku całego pomieszczenia, znajdowało się stare, spróchniałe, pozbawione wierzchniej pokrywy pianino przy którym siedział tajemniczy wirtuoz, który wręcz przywołał mnie do siebie swoją muzyką. Siedział bokiem do mnie, na zniszczonym obrotowym krzeselku, ubrany w skórzaną, czarną kurtkę z wysokim kołnierzem i powycierane, brązowe sztruksy. Widziałem jego prawy profil – grubo ciosaną twarz, płaski podbródek, zarosnięte krótkim, sztywnym, siwym włosiem

policzki, wysokie czoło i zaczerwienione oko ze spuchnięta powieką. Niewątpliwie wkładał w grę całą swoją duszę, całkowicie się dla niej poświęcał; mimo to zdawał się być zmęczony i zniechęcony, niczym robotnik po wielogodzinnej harówce bez ani minuty na odsapnięcie.

Cała ta sytuacja mnie przerosła – omamy i nagłe utraty przytomności, koszmary sen i niespodziewane znalezienie się w szkole muzycznej, fakt iż poruszałem się mimo woli i znalazłem się w tak niesamowitej sytuacji; obok ludzi czekających niewątpliwie na śmierć, którym przygrywał niezwykle utalentowany pianista sprawił, że coś we mnie pękło, zerwałem ostatnie więzy łączące mnie ze zdrowymi zmysłami i normalnością.

Moja dusza została zdegradowana. Najbardziej bolało mnie jednak to, iż nie wiedziałem dlaczego ani z jakich konkretnych przyczyn – co symbolizował wisielec otoczony przez lustra, ja bliski takiej samej śmierci w wąskim pokoju, niemalże kominie, obserwowany z góry przez nieznanomych... ludzi? Dlaczego Zona przyszykowała dla mnie wszystkie swoje największe

wynaturzenia, postanowiła „obdarować” mnie nimi akurat w dniu, w którym postanowiłem ją opuścić? Mściła się? Za to, że ją znienawidziłem, że dałem Jej poczucie, iż jestem Jej własnością by następnie spróbować z Niej uciec? Zdradziłem Ją?

Moja rozważania ustały w chwili, w której nacisnąłem spust karabinu – nawet nie zauważyłem momentu, w którym wycelowałem w rząd stojących pod ścianą stalkerów. Kanonada, która się rozległa była ogłuszająca, a jej odbijane przez wąskie ściany echo dosłownie wstrząsało moimi wewnętrznymi organami, mimo to muzyka pianisty była wciąż słyszalna, co dziwne, dopiero teraz jej piękno zdawało się rozkwitnąć w pełni.

Dźwięki były czystsze i lepiej słyszalne, każda nuta przybliżała mnie do ekstazy, cała melodia zaś przerażająco wpasowywała się w masakerę, której byłem sprawcą – czas zdawał się zwolnić, by móc uwydatnić i podkreślić każdy pojedynczy wystrzał, stukot każdej z łusek, mdlący odgłos kuli wrzynającej się w ciało, łomot opadających, zalanych krwią zwłok nieznanomych,

którzy osuwali się po zabryzganej juchą ścianie jeden po drugim. Trwała okropna symfonia, przerażające połączenie muzyki z mordem, które uzupełniały się wzajemnie i zdawały się tworzyć jedną, nierozłączną całość. Powoli rośło we mnie poczucie ulgi, z każdym zabitym nieznajomym, zgodnie z poleceniem Mikołaja swoją drogą, zbliżałem się do ostatniego samo upokorzenia siebie, tego, po którym miał dla mnie nastąpić nowy etap w życiu.

Ostatni z milczących skazańców padł martwy. Wnętrze wypełniło się dymem, tynkiem i zapachem prochu. Ogień pięknie podkreślał długie, tłuste smugi dymu i wzbity w powietrze kurz. Nagle poczułem, że odzyskuję nad sobą kontrolę. Muzyka przestawała mnie hipnotyzować, a jedynie zachwycać, zacząłem odczuwać wszystkie mięśnie i kończyny, słuch znów sprawiał wrażenie przestrzennego i zależnego od bliskości źródła dźwięków; muzyka brzmiała tuż obok mnie, nie w mym samym. Wykonując pierwszy od kilku minut, w pełni świadomy ruch, odwróciłem się za plecy. Nieznajomy grał dalej, jak gdyby

nigdy nic.

„Wszystkich”.

Ostatkiem sił wycelowałem w pianistę i nacisnąłem spust. Zamiast huku wystrzału rozległ się nikły trzask iglicy, na równi z wydaniem przez wirtuoza dźwięku, który zepsuł całą harmonijną kompozycję granej do tej pory melodii – uderzył w ostatni klawisz po lewej, wydając złowieszczą, przejmującą nutę, której echo zdawało się nieść bez końca. Przerwał.

Zerwał się z krzesła, podbiegł do mnie i uderzył w brzuch.

Nie widziałem, aby trzymał coś w ręku, mimo to ból był tak wielki, jakby ugodzono mnie haczykowatym, postrzępionym ostrzem potrafiącym zahaczyć o jelita.

Na zewnątrz rozległ się potężny grzmot, któremu towarzyszyła eksplozja zielonawego światła. Zbliżało się Zwarcie.

Drugi cios sięgnął mnie pod lewą pachę, trzeci i ostatni roztrzaskał mi prawe biodro. Tracąc dech, nie mając siły na nic ponad spazmatyczne jęki i sapania, osunąłem się na dół. Na zewnątrz błyskało już w wszystkich tak bardzo przywo-

dzących na myśl Zwarcie kolorach – purpurze, czerwieni, mdłym błękicie. Zostałem uderzony gołą pięścią, a czułem, że umieram. Czułem się tym niezwykle upokorzony. Pozbawiony życia, kiedy te zaczęło zapowiadać jakąś zmianę, dawało o sobie znać, że jest w nim coś więcej, niż do tej pory mi się zdawało. Zdołałem jedynie liznąć Prawdy na jego temat – nie zdążyłem odkryć jej nawet w najmniejszym stopniu, jedynie zdać sobie sprawę z jej istnienia. Ogrom gorejącej we mnie z tego powodu rozpachy przyspieszył mój zgon, zniszczył we mnie jakąkolwiek wolę walki, uświadomił wielkość klęski, jaką właśnie poniosłem. Chłód ogarnął całe moje ciało, podobnie jak ciemności, które przysłoniły obserwującą mnie na tle sufitu szkoły twarz nieznajomego.

Przez pięć sekund słyszałem jeszcze milknące echo emisji, później nie było już niczego.

Zdążyłem zdać sobie sprawę, że ostateczną formą wyzwolenia jest śmierć. Gdybym był tego świadom wcześniej, przywitałbym ją z otwartymi ramionami.